

LORD TERROR #8

Anarcho Animals Zine



Piotr Kropotkin * Leon Czolgosz * Proces Rewolucyjny i ALF * Aborcja * Milicja
Praw Zwierząt * Powstanie w Kronstadzie * Nowomowa * Prymitywizm *
Leszek Kołakowski Autorytet Moralny? * Sacco i Vanzetti * Noam Chomsky *
Globalizacja * Edward Abramowski * Krzywda Zwierząt *

Krótki Wstęp

Po 6 latach przerwy trzymasz w rękach nowy numer Lorda Terrora. Czemu tak długo? Z wielu względów, których nie czas i miejsce wymieniać. Oddajemy Wam więc piśmiennictwo w którym powinniście znaleźć coś dla siebie i które tak jak dawniej ma na celu propagowanie pewnych idei i stylu życia. Będziemy wdzięczni za wszelkie uwagi oraz materiały do kolejnych numerów.

Seksa

Adres redakcji:

„Centrum Inicjatywy Lokalnej”
z dopiskiem Lord Terror
PO BOX. 203
90-950 Łódź 1
E-mail: czsz@czsz.prv.pl

ON THEIR GROUND:
OBSCURIA, INDIENI, ZBIÓRNI, MUSE, STORGE,
100 AMERIKAN ZIN I ZINNY... (S. 113)

death, black, trash, power,
speed, new metal, grind core,
hc, punk, ska, reggae, dub,
obscure industrial, wave,
gothic rock/metal,
dark ambient,
power electronics,
literatura i poezja niezależna,
literatura wojennolubna,
anarchistyczna, ekologiczna,
zine'y

Placzkowska 55 w Końcu podwórze

otwieramy, kiedy się wysypimy (12:00 - 13:00)
zamykamy kiedy nam się chce (około 20:00)
nie wybieramy najlepszych tytułów -
przyjmujemy całe kolekcje na nośnikach:
CD, 7", 10", 12", LP, MC, VHS + gry PC/PSX

Łódź

Czarny Sztandar

www.czsz.prv.pl
internetowe pismo wolnościowe

- artykuły
- wywiad
- filmy
- zdjęcia
- mp3



liberation
POLECA



Antologia zine'w 1989-2001.
Książka zawiera około 1500
tytułów zine'w hip-hop, reggae,
anarchistycznych, ekologicznych,
art zine'w itp.



Nowy numer punk zine'a. W środ-
ku m.in.: Lolomuz, A-tak,
Parodia, Przechodnik, Płegwa,
Through Fire Of Maskind

Ciągle pojawiają się: Liberation #1, #5, #6, Przechodnik #1, #2

Ilustracje także produkty innych wydawnictw m.in. Wywołanie, Shing,
Thru's Talk, En/zo/nc, SNNK/Pasder

Po katalog przesyłać adres: AA154

Katka Rossiemik ul. Wypiankiego 4/34 25-409 Kielce
e-mail: liberati@interia.pl

Walka, walka, sen, ferment i sen. To świat, przyjacielu, walka,
ciągła walka.

F. G. Lorca

"Nie przerażają nas ruiny. Odziedziczymy cały świat - to jest
całkowicie pewne. Burżuazja może niszczyć i rujnować swój
świat, zanim opuści scenę historii. My nosimy nowy świat, tu, w
naszych sercach. Ten świat właśnie dojrzewa".

Buenaventura Durruti

Pieśni zgromadzone na tej płycie towarzyszyły najpiękniejszym
i najsmutniejszym momentom hiszpańskiej rewolucji.
Towarzyszyły walce proletariatu, chłopów, analfabetów i
intelektualistów zjednoczonych przeciw obrońcom
hierarchicznych stosunków społecznych, kapitalistycznego
wzysku i klerykalnego porządku; w tej walce, a także w
solidarności, którą ochotnicy z całego świata okazali
rewolucjonistom najpełniej ucieleśniła się istota projektu
poetyckiego i wolnościowego projektu politycznego: zmiana
życia i całościowe przekształcenie świata pojmowane jako
jednolite, niepodzielne zadanie.

Pieśni te wyrażają nienawiść do starego świata i nadzieję
zdobywaną podczas walki o świat lepszy, radykalnie różniący
się od istniejącego; powstający entuzjazm, radość rewolucji, a
także poczucie osamotnienia tych, którzy utracili swoją młodość
lub życie nad Ebro, w Barcelonie czy w dolinie Jarama -
pokonani, zdradzeni, pozbawieni broni.

Są one także przykładem spontanicznej kreatywności i
inteligencji rewolucyjnych mas. Gdy brakuje broni, trzeba
walczyć za pomocą tego, co jest pod ręką: *przechwytywać*.
Tradycyjne ludowe pieśni (jak choćby te, które zostały
przypomniane na początku lat trzydziestych przez F. G. Lorcę:
Los cuatro muleros, Anda Jaleo itd.) zostają wzbogacone o
nowe słowa, próbujące opisać chwilę bieżącą i wyrazić sens
procesów historycznych: w ten sposób wyzwolona
subiektywność usiłuje pochwytać swój świat. Warto o tym
pamiętać: autentyczna rewolucja sprowadza się właśnie do tego,
że lud odzyskuje to, co sam - i najczęściej *przeciw sobie* -
stworzył... Zaczyna się tym posługiwać, przeobrażając całą
otaczającą rzeczywistość.

Aczkolwiek rewolucja hiszpańska wybuchła w połowie 36 roku
i została zdławiona w maju 37 roku (później na scenie
pozostaną już tylko dwa obozy kontrrewolucji - faszystowski i
stalinowski - z których zatrumfuje najsilniejszy), nasza
kompilacja nie trzyma się sztywno tych ram chronologicznych,
przekracza bariery czasowe, geograficzne i stylistyczne,
podobnie jak próba rewolucyjnego obalenia represyjnego
porządku społecznego nie zakończyła się wraz ze śmiercią
Durrutiego i nie była czysto iberyjskim kaprysem.

Federico Garcia Lorca został zamordowany przez faszystów w
Grenadzie, Buenaventura Durruti zginął w Madrycie,
zastrzelony przez stalinowców. I chociaż ani razu się nie
widzieli, to jednak się spotkali, czego dowodzi ta płyta. Takim
właśnie wybuchowym spotkaniem usiłują przeszkodzić wszyscy
faszyści i biurokraci - wczorajsi i dzisiejszy - którzy nad poezję
i rewolucję przedkładają marsze wojskowe, niewolnicze
obyczaje, apele o ład oraz dyscyplinę pracy. Żyją jednak ludzie,
którzy przygotowują takie spotkania. Tym *incontrolados*
dedykujemy tę płytę.



Nakładem wydawnictwa Czarny Sztandar Records ukazała się
płyta CD "Pieśni Anarchistycznej Hiszpanii"

Płyta zawiera 23 utwory z czasów rewolucji hiszpańskiej, w
przeważającej większości nie znane wcześniej w Polsce - w
sumie prawie godzina muzyki z anarchistycznym przesłaniem.

Cena płyty: 15 PLN przy zamówieniach do 10 sztuk (13 PLN
powyżej tej ilości) + koszty przesyłki (7.20 PLN za pojedyncze
egzemplarze lub 8.50 przy większej ilości)

Płytę można zamawiać luk@emapa.pl

Spis Treści

Czy Kropotkin kochał zwierzęta ...1
Leon Czolgosz...7
Proces Rewolucyjny i ALF...13
Głos w sprawie Aborcji...14
Milicja Praw Zwierząt...16
Tutaj jest wielka rewolucja etyczna...16
Powstanie w Kronsztadzie...18
Słowniczek Autorytarnej nowomowy...22
Prymitywizm...22
Szybkie jedzenie? - nie dziękuję...24
Leszek Kołakowski—autorytet
moralny?...25
Proces Sacco i Vanzettiego...28
Noam Chomsky o kapitalizmie...29
Czy tylko globalizacja?...31
Edukacja czy indoktrynacja?...32
Idee Kooperatywizmu...33
Krzywda zwierząt jako problem
moralny...36

INNY ŚWIAT
KOBIECY - FEMINISTKI - ANARCHISTKI

Wydawnictwo
„INNY ŚWIAT”
Janusz Krawczyk
Ul. Kędziora 2/8
39-300 Mielec

a-tak
nowy numer już wkrótce

a-tak
WIEKOWA
DEMOKRACJA

w środku m. in.:

- eko-kapitalizm
- tragedia kobiecej
emancypacji
- anarchitektura
- Porto Alegre
- 10 mitów o pracy

Więcej informacji:
atak@poprostu.pl
cały czas do dostania ##1,3,4,5

CZY KROPOTKIN KOCHAŁ ZWIERZĘTA? GRANICE MORALNOŚCI W ANARCHIZMIE.



W X I X obfitował w nowe odkrycia naukowe, zmieniające dotychczasową wizję świata i dotychczasową filozofię. Rozwój nauki i rosnące wciąż pokładane w niej zaufanie stały się przyczyną powstania antymetafizycznego, empirystycznego i mechanistycznego ugruntowanego trendu w filozofii. W 1859 r. Darwin ogłosił swoją teorię ewolucji biologicznej w dziele *O powstawaniu gatunków*, niedługo później uzupełnioną w *Pochodzeniu człowieka*. To nowe spojrzenie na człowieka, na jego pochodzenie i wynikające stąd właściwości jego natury, wraz z równoczesnymi badaniami, rozszerzającymi wiedzę fizyczną, chemiczną, biologiczną, zaczęło być szeroko dyskutowane wśród filozofów. Darwinizm stał się powszechnym źródłem odniesienia i inspiracją. Antropologia filozoficzna zaprzęstała "błądzenia na wyznach metafizyki" i spojrziała na człowieka inaczej - od strony jego fizyczności. Badania przyrodnicze dowiodły, że człowiek jest w gruncie rzeczy zwierzęciem, jednym z wielu gatunków zamieszkujących Ziemię. Ze świata zwierzęcego się wywodzi i jego naturę należy rozpatrywać z punktu widzenia biologicznego. Dlatego badania natury człowieka wychodziły od założenia ewolucji naturalnej, która łączy człowieka w łańcuch z pozostałymi formami życia. Poznanie człowieka rozpoczynało się od obserwacji i analizy zachowania zwierząt, odnoszonej następnie do ludzi jako posiadających tę samą strukturę.

Przyswajając tezy Darwina, przyczepiono się przede wszystkim do obserwacji dowodzącej istnienia w przyrodzie nieustannej, bezwzględnej walki o byt. To była podstawowa inspiracja dla koncepcji człowieka i - co za tym idzie - systemów etycznych takich filozofów, jak np.: Spencer, Stimer, Huxley, Tennyson. Życie zwierząt widziane było poprzez pryzmat ciągłej walki "wszystkich przeciw wszystkim", powodowanej przez instynkty samozachowawcze i przyczyniającej się do rozwoju gatunków. Przyroda okazała się nagle zapełniona krwiożerczymi, morderczymi potworami, myślącymi wyłącznie o własnym, osobistym przetrwaniu, spędzającymi życie na poszukiwaniu jedzenia i stacjonarnym bitew z "wszystkim, co się rusza", jako że każde inne stworzenie jest wrogiem i zagrożeniem. Ciągła walka ma być tą koniecznością, która powoduje ewolucyjne rozwijanie się zwierząt w coraz wyżej uorganizowane gatunki. Jest więc czynnikiem rozwoju. Człowiek, jako część i wytwór tego łańcucha, również potraktowany został jako egoistyczny, bezwzględnie walczący dla zapewnienia sobie przetrwania. Według krytykującego te poglądy Kropotkina *doszli oni do tego, że widzieli w świecie zwierząt jedynie wieczną walkę pomiędzy jednostkami zgłodniałymi, żądnymi krwi, rzucającymi się wzajem na siebie. Pisarze ci wypełnili literaturę współczesną okrzykiem wojennym: biada zwyciężonym, uważając go za ostatni wyraz biologii współczesnej. Podnieśli oni bezlitosną walkę o korzyści osobiste na wyżyny zasady biologicznej, której podlega zarówno człowiek jak i zwierzę, i głosili, że kto nie stosuje się do tego, ten zginie w tym świecie, którego treścią jest tępienie się wzajemnie.*

Dlatego wszelka moralność, "uczucia wyższe" o charakterze altruistycznym zostały ocenione w ramach umowy społecznej, konwencji, tradycji, racjonalnie sobie narzuconej, wyłącznie w celu lepszego, wygodniejszego funkcjonowania w społeczności, również będącej sztucznym wytworem ludzkiego intelektu. Bowiernego egoistyczny człowiek nie mógł być istotą samą z siebie społeczną, skoro pierwotny instynkt każe mu doszukiwać się we wszystkim zagrożenia dla swojej egzystencji. Tylko więc przez wyrafinowane rozumowanie mógł stworzyć społeczność i tylko ograniczając się różnymi przepisami, może w niej funkcjonować. Cała moralność zostaje przez to zredukowana do wyrozumowanych i narzuconych sobie

wytucznych, a żadne skłonności czy uczucia etyczne, altruistyczne, nie znalazły miejsca w ludzkiej naturze. Tym, co kieruje zachowaniem człowieka na najbardziej podstawowym, instynktowym poziomie, są: egoizm i walka o własny byt. Tak, ogólnie rzecz biorąc, wyglądały przeważające tendencje filozoficzne u schyłku XIX w. W opozycji do takiego rozumienia człowieka staje Kropotkin ze swoją heroiczną etyką poświęcenia. Korzystał w pełni z naukowych zdobyczy swoich czasów i również mieścił się w tym nurcie antymetafizycznym, zgodnie ze scjentystycznymi zapatrywaniami współczesnego sobie świata. Opiera się w swoich rozważaniach na tradycjach pozytywizmu, empiryzmu i ewolucjonizmu. Również dla niego, podstawowe w badaniu człowieka jest darwinowskie ujęcie przyrody w nie wspólne początków i rozwoju. Jednak odczytuje filozofię Darwina zupełnie inaczej, niż czyni to większość ówczesnych myślicieli. Główny nacisk w rozważaniu czynników rozwojowych kładzie nie na walkę o byt, której rola i zasięg zostały jego zdaniem znacznie wyolbrzymione i przesadzone. Oprócz niej zauważył przecież Darwin i przedstawił drugi czynnik, prowadzący do rozwoju gatunków, pomijany przez darwinistów, a mający wielką wagę. Ta jednostronność interpretacji prowadzi, według Kropotkina, do wykrzywionego rozumienia ewolucji i samej istoty człowieka, do zaprzeczenia jego wrodzonego poczucia moralności: *Darwiści przedstawiali przyrodę, jako olbrzymie pole walki, na którym widzimy jedynie wyniszczanie słabych przez silnych i najbardziej sprawnych, najbardziej dostępnych. Wynikało stąd, jakoby od przyrody człowiek mógł się nauczyć wyłącznie zła.*

A przecież rozważając człowieka, nie można nie przyznać, że w nim istnieje wyższe pojęcie "dobra" i że wiara w stopniowy triumf dobra nad złem jest głęboko założona w ludzkiej naturze. Nie jest owa wiara niczym, co powstało z jakiejś umowy, tak jak i samo pojęcie dobra musi wywodzić się z natury samego człowieka, by być przez niego rozumiane. Gdyby przyjmować, że darwinistami, walkę o byt jako jedyną, a w każdym razie dominującą, wewnętrzną instynkt, jaki rządzi człowiekiem, źródło jego poczucia moralności należałoby szukać w jakimś "czynniku nadprzyrodzonym", który poddaje człowiekowi pojęcie "naczelnego dobra" i prowadzi rozwój człowieka ku wyższym celom. Trzeba by zakładać, że istnieje jakaś nadrzędna w stosunku do człowieka, odrębna substancja, która wprowadziła do jego istoty kategorie etyczne. Trzeba założyć ducha i jego oddzielność od ciała i budowy fizycznej. Jak pisze materialista Kropotkin, taki sposób wywodzenia uczuć moralnych z zewnątrz człowieka stanowi - częsty u filozofów - błąd, wynikający z niewłaściwego zrozumienia natury ludzkiej. Krytykuje koncepcje nadnaturalnej genety moralności w człowieku jako wymagające obecności ducha i wkraczające w metafizykę, czyli "oddalające się od życia i świata" i zaprzeczające naukę.

Koncepcje wcale zresztą niekonieczne, nieprawidłowe nawet, gdyż nie ma potrzeby abstrahowania od fizycznej budowy i natury człowieka w poszukiwaniach moralności. Wystarczy odczytać teorię Darwina rzetelniej, niż uczynili to krytykownicy przez Kropotkina współcześni, by wiedzieć, gdzie należy szukać uczuć moralnych: *W samej przyrodzie - pisał Darwin - widzimy obok wzajemnej walki odmienną kategorię faktów, mających całkowicie odmienne znaczenie: są to fakty wzajemnej pomocy wewnątrz tego samego gatunku; i fakty te posiadają o wiele większe znaczenie niż pierwsze, ponieważ są niezbędnie potrzebne do zachowania gatunku i jego pomysłowości.*

A zatem obserwacje życia zwierząt ujawniają ich wzajemne uczucia sympatii, przywiązania i towarzyskości, których widocznym obrazem jest życie w gromadach, pomagających sobie i wspierających się nawzajem. Stanowiąca większość gatunków zwierząt prowadzi życie stadne, przynajmniej okresowo. Fakt zbierania się i organizowania w społeczności stanowi o tym, czy i jak potrafili poradzić sobie z niesprzyjającymi życiu warunkami. Tak zresztą właśnie - według Kropotkina - powinna być rozumiana owa ulubiona przez darwinistów walka o byt. Nie jako ciągłe wzajemne mordowanie się

czyli:
czy anarchista może być wegetarianinem?
czy wegetarianin może być anarchistą?

OGRANICZANIE CIERPIENIA ZWIERZĄT POPURZEC TWOJE WŁASNE ŻYCIE

1. **UBIÓR** Kupując buty, płaszcze, ubrania weź pod uwagę alternatywę dla skór i futer. Równie atrakcyjne materiały syntetyczne są ogólnie dostępne i zwykle tańsze. Pamiętaj, że statusu społecznego nie zapewni ci powodowanie cierpienia zwierząt.

2. **ŻYWNOSĆ** Zredukuj spożycie mięsnych i mlecznych pokarmów w twojej rodzinie. Warunki na fermach hodowlanych są nieludzkie. Mięso, jajka, przetwory mleczne mają bezpośredni związek z całą gamą śmiertelnych chorób, w tym rakiem i chorobami serca. Wegetarianizm oznacza dietę życia...twojego i innych!

3. **WYBÓR** Poszukaj pokarmowej i ekonomicznej alternatywy dla produktów zwierzęcych. Używaj margaryny roślinnej nie zawierającej cholesterolu zamiast masła. Jedz wypieki bez jajek. Używaj sojowej, zbożowej czy orzechowej proteiny zamiast mięsa.

4. **KOSMETYKI** Nie popieraj firm testujących swoje produkty na zwierzętach, próbuj nie kupować takich, które zawierają składniki pochodzenia zwierzęcego.

5. **LOWIECTWO** Zniechęcaj swoich znajomych i sąsiadów do polowań wędkarstwa, zastawiania sidła. Poza spustoszeniem siąnym wśród zwierzyzny łownej polowania i sidła narażają na niebezpieczeństwo również ludzi pozostającą część zwierząt oraz środowisko.

6. **NIEWOLA** Naucz się cieszyć zwierzętami w ich naturalnym środowisku. Sama niewola jest męcząca dla najbardziej dzikich zwierząt, a tresura i codzienne traktowanie są często niewłaściwe. Unikaj ogrodów zoologicznych, cyrków itp. *

7. **EDUKACJA** Protestuj przeciw eksperymentom na zwierzętach w szkołach średnich i wyższych. Odmawiaj udziału w eksperymentach powodujących ból, strach i frustrację u zwierząt. Proponuj alternatywny program, filmy, demonstracje komputerowe i preparaty nie będące pochodzenia zwierzęcego.

8. **SCHRONISKA** Przed powierzeniem swego zwierzątka, czy zabłąkanego psa lub kota do schroniska dla zwierząt zapytaj jak z nim postąpią. Niektóre schroniska trzymają zwierzęta tylko 2 tygodnie i usypiają je, inne przekazują je laboratoriom dla potrzeb eksperymentów. Staraj się znaleźć nowy dom dla niechcianego zwierzątka.

9. **OPIEKA** Upewnij się, że twoje zwierzęta są odpowiednio pielęgnowane. Zbyt wielu ludzi odczuwających sympatię dla cierpiących zwierząt zapomina, że ich zwierzęta domowe potrzebują miłości, towarzysstwa i uwagi. Odpowiednie pożywienie, woda, legowisko, opieka weterynaryjna są niezbędne. Regularne zabawy i ćwiczenia znaczą tak wiele dla zwierząt, których całe życie składa się z oczekiwania aż wrócisz do domu.

10. **TY** Spraw, żeby twój głos w obronie praw zwierząt się liczył.

przez zwierzęta, lecz jako walka z przeszkodami nieożywionymi, niezależnymi - z klimatem, pogodą, katastrofami naturalnymi, niesprzyjającym terenem, ewentualnie z tymi zwierzętami, które stanowią "wrogów naturalnych" (drapieżniki dla przezuwaczy). Nie występuje natomiast w przyrodzie żadne brutalne tępienie się nawzajem zwierząt jednego czy pokrewnych gatunków, rzekomo z powodu pożywienia czy terenu. Obserwując naturalne zachowania zwierząt (na czym spędzał wiele czasu, mieszkając w zapadłej miejscowości z dala od cywilizacji), Kropotkin stwierdził, że: *okresy ostrego współzawodnictwa bynajmniej nie są okresami rozwijania się gatunku. Zwierzęta współpracują ze sobą, tworząc społeczności, oparte na pewnych wewnętrznych*

etycznych zasadach, służących ku ogólnej korzyści: *Skoro istnieje współzycie, to muszą się w nim kształtować pewne formy życia, pewne zwyczaje i obyczaje, które, gdy są uznane za pożyteczne i gdy stają się utartymi drogami myślenia, przechodząc nasamprzód w nawyki instynktowe, a później stają się regułami życia. Tak kształtuje się własna moralność, własna etyka. I tutaj właśnie pomoc wzajemna okazuje się główną dźwignią postępowej ewolucji świata zwierzęcego, rozwoju długowieczności, rozumu oraz tego, co my w łańcuchu istot żywych nazywamy wyższym typem.*

Z tych to pierwotnych uczuć i instynktów rozwinęły się, drogą ewolucyjną (jako sprzyjające rozwojowi gatunkowemu), uczucia moralne: *W tym właśnie instynkcie [wzajemnej pomocy] spoczywa początek uczuć przychylności i utożsamienia się jednostki z jej grupą, które stanowią punkt wyjścia dla wszystkich wysokich uczuć etycznych.*

I wszystko to znajduje Kropotkin w darwinowskiej teorii, odczytując z niej wiele razy twierdzenia o górowaniu instynktu społecznego nad "egoistycznym instynktem samozachowania": *Darwin wyprowadza pochodzenie uczucia moralnego z uczuć towarzyskości, które istnieją w sposób instynktowy, które są wrodzone u niższych zwierząt i zapewne także u ludzi. Prawdziwą podstawą wszelkich uczuć moralnych Darwin widział "w instynktach społecznych, dzięki którym zwierzę czerpie zadowolenie z obcowania z współtowarzyszami, w uczuciu pewnej sympatii dla nich oraz w świadczaniu im rozmaitych przysług". Przy tym Darwin pojmował uczucie sympatii (współczucie) w jego ścisłym znaczeniu, nie w sensie współubolewania czy "miłości", lecz w sensie "uczucia solidarności". "Wzajemnej wrażliwości" - w tym sensie, że na człowieka dołże się wpływać uczucia innego człowieka lub innych ludzi.*

Moralność okazuje się więc naturalną, nieodłączną cechą człowieka, wrodzoną mu w procesie rozwoju biologicznego. Nie tylko zresztą człowieka, bo nie jesteśmy przecież w tym punkcie wyróżnieni z reszty żyjących stworzeń. Przeciwnie, moralność pochodzi z przyrody i z całym światem żywym jest nam wspólna. Zwierzętom również przydaje Kropotkin skłonności do zachowań moralnych. Ewolucyjnie moralność rozwinęła się z instynktu społecznego i pomocy wzajemnej, jakiej udzielają sobie zwierzęta jednej grupy. Instynkt ten spowodował narodenie się poczucia sprawiedliwości i postępowania osobników względem siebie zgodnie z nim, co już stanowi znak pewnego wartościowania etycznego. W miarę rozwoju danej grupy (gatunku), oprócz odnoszenia się do siebie równoprawnego, zaczęły się pojawiać - jak pisze Kropotkin - działania altruistyczne, nie wymagające i nie zakładające już żadnej zwrotnej "zapłaty" zgodnej z poczuciem sprawiedliwości. I to już są w pełni uczucia moralne: *gdy posuwamy się w każdym dziale zwierząt ku wyższemu przedstawicielom tych działów (ku mrówkom, osom i pszczołom u owadów; ku żurawiom i papugom wśród ptaków; ku wyższym przeżuwającym, małpom i wreszcie ku człowiekowi wśród zwierząt ssących), znajdujemy, że solidaryzowanie się jednostki z interesami grupy, a niekiedy nawet poświęcanie się dla dobra grupy stają się coraz częstsze, gdy przechodzimy od niższych przedstawicieli każdego działu ku wyższym. Oczywiście nie można w tym nie dojrzeć wskazówki przyrodniczego pochodzenia nie tylko zaczątków etyki, ale także i wyższych uczuć moralnych.*

Rodowód i przyczyny uczuć moralnych upatruje więc Kropotkin wyłącznie w przyrodzie i w ewolucji rządzącej jej przemianami. Ewolucji, dążącej do coraz wyższego organizowania życia, przystosowywania go do trwania i rozkwitu. A właśnie towarzyskość zwierząt okazuje się być

czynnikiem ułatwiającym im przetrwanie. Instynkty wzajemnego etycznie pozytywnego traktowania się powodują umacnianie się społeczności i zachowują jej interesy całościowe, co powoduje ułatwienie egzystencji i rozwoju gatunku: *Pomoc wzajemna, sprawiedliwość, moralność - oto kolejne szczeble wstępującego szeregu tendencji, jakie poznajemy w trakcie badania świata zwierząt i ludzi. Przedstawiają one organiczną konieczność mającą w samej sobie swoje usprawiedliwienie, a potwierdzaną przez cały rozwój świata zwierzęcego, poczynając od pierwszych jego szczebli (pod postacią kolonii zwierząt najniższych) i przechodząc stopniowo do wyższych społeczeństw ludzkich. Mówiąc obrazowo, mamy tu przed sobą powszechnie, światowe prawo organicznej ewolucji; a więc uczucia pomocy wzajemnej, sprawiedliwości i moralności są głęboko założone w człowieku, z całą mocą wrodzonych instynktów; przy tym pierwszy spośród nich - instynkt pomocy wzajemnej oczywiście - jest z nich najsilniejszy, trzeci zaś, który się rozwinął później niż tamte obydwie, jest uczuciem nieistotnym i jest uważany za najmniej obowiązujący.*

Ten ostatni fakt, podkreślany przez Kropotkina, wydaje się mu wyjaśniać, dlaczego, skoro skłonności do poświęcania dla innych (co w gruncie rzeczy znaczy moralność), mamy wrodzone, mimo tego nie zjemy wyłącznie wśród altruistów. Ludzie raczej nie przejawiają powszechnie swoich instynktów poświęcania się, ponieważ jest to kolejny produkt ewolucji, nie tak widać mocno jeszcze utrwalony, jak jego poprzednie stadia. Dlatego może być nieświadomiany i przez to "nieczynny". Jednak nie zmienia to faktu, że podobnie jak potrzeba jedzenia, schronienia i snu, tak samo te trzy instynkty są instynktami samozachowania.

Takie pochodzenie uczuć moralnych, jakie podaje Kropotkin, i wskazywanie na ich obecność i powszechne działanie w świecie zwierząt przybliży znacznie do nich człowieka. Nie jest to już obraz "pana stworzenia", może i mającego wspólne cechy fizyczne ze zwierzętami, ale diametralnie różniące się od nich zawartością swojej istoty. Cechy etyczne i zdolność człowieka do uczuć altruistycznych nie są żadnym wyróżnikiem z reszty świata przyrody. Opisując liczne fakty, wskazujące na istnienie takich uczuć u zwierząt każdego rodzaju i tłumacząc ich pochodzenie tak samo, jak za chwilę tłumaczy je w społecznościach ludzkich, Kropotkin wykazuje wielkie między nimi pokrewieństwo. Nic chyba w człowieku nie można znaleźć nowego, czego nie można wskazać i u zwierząt lub wywieść od nich w prostej linii. Wszystko, co znajdujemy w człowieku, pochodzi od natury i jest mu z nią, mniej lub więcej, wspólne. Człowiek zostaje tym samym włączony w przyrodę jako jej część integralna, ważna tylko tak samo, jak inne. Jak pisze Kropotkin, możliwość przejścia w filozofii do takiego widzenia świata i człowieka, dokonała się dzięki rozwojowi nauki. *Bowiem to nauka udzieliła człowiekowi niezmiernie cennej lekcji skromności. Nauczyła go, że stanowi on zaledwie nieskończenie drobną cząsteczkę wszechświata. Wydostała go z ciasnego egoistycznego odosobnienia i zniweczyła jego zarozumiałstwo, które doprowadzało go do uważania siebie za ośrodek świata i za przedmiot szczególnej troski Swórcy. Uczy go zrozumieć, że bez wielkiej całości nasze "Ja" jest niczym; że "Ja" nie może nawet siebie określić, jeżeli nie ma jakiegos "Ty".* Te słowa filozofa wydają się być akurat bardziej afirmacją nauki niż głoszeniem jedności wszechświata. Ale jak widać, stanie na gruncie naukowości i patrzeć stamtąd na świat, nie muszą wcale oznaczać antropocentrycznego patrzenia na niego "z góry", co nauka wtedy ciągle robiła. Fakt posługiwania się nauką nie jest bynajmniej dla Kropotkina dowodem jakiejś nadzwyczajnej wyższości człowieka. A w każdym razie nie upoważnia go do abstrahowania siebie z otoczenia i osobnego, lepszego traktowania się. Nie da się zaprzeczyć, że

wielokrotnie znajdujemy w jego tekstach sformułowania świadczące o takim przekonaniu. Wychodząc od założeń ściśle materialistycznych i sejentystycznych, empirystycznymi wyłącznie metodami, dochodzi do konkluzji, które zdają się chwilami brzmieć niemal tak samo, jak twierdzenia współczesnych filozofów piszących w nurtach New Age. Jedność wszechświata akcentowana jest też przez ekofilozofów, często opisują go oni w kategoriach piękna i dobra. Również takie spojrzenie znajdziemy u Kropotkina. Oczywiście to jest bardzo daleka i samowolna analogia i mało uprawnione byłoby twierdzenie, że Kropotkin położył jakieś zasługi u podstaw powstania tych późniejszych filozofii. Jednak zauważalne jest, że pomimo mocno przez niego akcentowanej postawy antimetafizycznej trzymania się naukowości i empiryzmu, co stawia go na drugim (w stosunku do ekofilozofów zrywających z zachodnim światopoglądem wielbiącym naukę i technikę) krańcu, charakterystyczny jest jego uczuciowy, poetycki sposób odbierania świata, nacechowany jakąś idealistyczną (w sensie potocznym) fascynacją, optymizmem i afirmacją. A na źródła takiej swojej postawy wskazuje właśnie naukowy punkt widzenia, odlegający się od ducha i metafizyki. *Bo i bez nich nauka może zainspirować wielką filozofię: Po założeniu podstaw filozofii świata, wolnej od hipotez o siłach nadprzyrodzonych, lecz równocześnie pełnej majestatu i poezji, filozofii zdolnej wpoić w człowieka najwznioślejsze porwy - nauka współczesna nie widzi już potrzeby zwracania się do wpływów nadprzyrodzonych w celu usprawiedliwienia swoich ideałów moralnego piękna.*

Nie jest to jedyny raz, gdy porównuje filozofię do poezji i gdy przywołuje wzniosłość uczuć wzbudzanych przez nią i przez odczuwanie piękna świata: *Kiedy zaś poeta odnajduje istotny wyraz swego uczucia wspólnoty z Kosmosem i zjednoczenia się z całą ludzkością, wówczas staje się zdolny natchnąć miliony ludzi swoim wzniosłym porwyem.*

Zagłębianie się w tę "filozofię świata" powoduje w człowieku, jak mówi Kropotkin, *przebudzenie poczucia poezji przyrody*. Świat odbiera więc w kategoriach piękna i wspaniałości, co przecież zupełnie nie zgadza się z potocznym poglądem o przyziemnie, "sucho" myślącym materialistycznym. Mimowolnie nasuwa się tutaj skojarzenie z twierdzeniem Bakunina, dla którego materialistyczny punkt widzenia był również (między innymi) motywowany względami moralnymi. *Bowiem zgodnie z dialektycznym rozumieniem wszelkiego rozwoju każdy wyższy stopień zawiera w sobie negację swojej podstawy. A zatem ci, którzy w teorii wychodzą od poglądu idealistycznego, w praktyce życiowej, nadając charakter boski rzeczom ludzkim, doprowadzają zawsze do zwycięstwa brutalnego materializmu.*

Ci, jak powiada Bakunin, stają się najgorszymi oprawcami i ciemiężycielami mas ludowych. Przykład to Niemcy, kraj "najbardziej wzniosłego idealizmu" w filozofii oraz "brutalnej i triumfującej służalczości" w życiu realnym, absolutnego posłuszeństwa najbardziej nieludzkiej władzy. Natomiast we Włoszech, kraju o cywilizacji materialistycznej, można - jak twierdził Bakunin - żyć w wolności i swobodnie. Ta teza Bakunina, o wzajemnym zastępowaniu się materializmu i idealizmu przy przechodzeniu od teoretycznych postulatów do praktyki, wydaje się być właśnie przez Kropotkina zrealizowana. W wielu ideach Bakunin był dla niego nauczycielem lub inspiracją i tutaj znajdujemy taki wpływ. Wychodząc przecież ściśle od założeń materialistycznych, przy badaniu świata odkrywa w nim wiele idealnego piękna i dobra. Negując zupełnie wyjściowe twierdzenia o jakiegokolwiek nadprzyrodzonej sile, która przepajałaby świat owymi wartościami, odnajduje je, i to zakorzenione w samej materii, nieodłączne od niej i - przez ten swój naturalny rodowód - niezaprzeczalne. Równie pozytywne i afirmatywne jest jego podejście do samego

człowieka. W społeczeństwie ludzkim mamy do czynienia z nieświadomym uznaniem tej siły, którą każdy człowiek czerpie z pomocy wzajemnej; mamy tu do czynienia ze ścisłą zależnością szczęścia każdego od szczęścia wszystkich; wreszcie z poczuciem sprawiedliwości, które doprowadza jednostkę do stawiania praw każdego ze swych bliźnich na równi z prawami własnymi. Na tej szerokiej i koniecznej podstawie założone są wyższe uczucia moralne.

Wrodzone nam uczucia moralne to przecież nie tylko skłonność do postępowania względem innych uczciwie, sprawiedliwie, na zasadzie odwzajemniania się sobie i "nieczynienia drugiemu, co mnie niemiłe", choć to właśnie jest podstawa, punkt wyjścia do kształtowania się wyższej moralności. Moralność to również - i przede wszystkim - poświęcanie się dla innych, działania skierowane na czyjąś korzyść bezinteresownie, bez założenia, że oczekuje się jakiegokolwiek zadoskuczynienia: *Istnieją takie postęпки, które są bezwarunkowo konieczne, o ile pragniemy żyć w społeczeństwie... i tych postępków nie należałoby w żadnym razie nazywać altruistycznymi: mają one charakter wzajemności i leżą we własnym interesie osoby działającej w tym samym stopniu, jak wszelki postęp mający na celu samozachowanie. Lecz na równi z takimi postępkami istnieją inne, które absolutnie nie posiadają charakteru wzajemności. W tym przypadku osoba działająca oddaje swe siły, energię, entuzjazm - nie oczekując żadnego odwzajemnienia, nie licząc na żadną nagrodę.*

Pierwsze z nich w trakcie rozwijania się społeczności ludzkiej przeszły w sferę prawodawstwa, stając się regulami powszechnymi pomiędzy ludźmi. Drugimi, które z tamtych się wyłoniły w toku ewolucji, nadal zajmuje się etyka.

W konfrontacji ze światem kropotkinowska teona człowieka posiadającego wrodzone uczucie miłości i poświęcającego się instynktownie dla innych potrzebuje jakiegoś dowodu, wyłumaczenia, dlaczego w związku z tym nie panuje w ludzkich społecznościach idylla. Bo raczej nie widzimy naokoło samych gotowych do pomocy, ofiarnych altruistów. Nawet uczucie sprawiedliwości nie wydaje się dominować. Na gruncie społecznym Kropotkin (jak to anarchista) stał na stanowisku "antysystemowym" - winę więc ponosi tu sztuczna instytucja, państwo, ograniczające człowieka i tłumiące jego naturalne instynkty. Narzucone człowiekowi autorytety, władza, instytucjonalne życie zniewalają go i nie dają dojść do głosu jego wrodzonemu dobru: *kiedy instytucje pomocy wzajemnej - takie, jak: klan, wspólnota wiejska, gilda i grody średniowieczne - poczęły w ciągu dziejów tracić swój charakter pierwotny. (...) powstały na nich narosłe pasożytnicze i instytucje te stały się już tylko zawadą na drodze postępu.*

Przejęta od Bakunina i innych idea anarchizmu rewolucji - "zniszczyć wszystko, co istnieje, myśląc tylko o tym, by uczynić to możliwe jak najpóźniej i jak najszybciej" - została przez Kropotkina przekształcona i rozszerzona o rewolucję moralną, "rewolucję serc i umysłów". Przez to traci swój wyłącznie nihilistyczny charakter i przynosi również wartości pozytywne, stając się rewolucją etyczną. Jej ostatecznym celem jest bowiem to, by ludzie stali się sobą - by uwolnieni od ograniczeń aparatów systemowych mogli dostrzec i obudzić w sobie wrodzone uczucia moralne. Kropotkin głosi więc pewną formę "powrotu do natury", rozumiejąc przez to poddanie się tokowi ewolucji, która buduje w nas uczucia etyczne, i która, mimo posiadanego przez nas instynktu towarzyskości i uspołecznienia, nie działa w sztucznych strukturach, ograniczających indywidualność i wolność jednostki. Etyczny postulat dążenia do "największego dobra największej liczby ludzi" zakłada bowiem, że w społeczności, koniecznej dla przetrwania, jednostki będą mogły realizować swoją indywidualną naturę. Dążenie do dobra innych członków społeczności jest czymś, do czego popycha nas wrodzony instynkt, jeśli zatem pozwolimy mu ujawnić się i działać, będzie to równoznaczne z osobistą samorealizacją. Najpierw jednak trzeba oczyścić społeczność ludzką ze sztucznych struktur, jakie się wytworzyły w ciągu historii, tłumiące naturalność człowieka. Narzucone jednostce autorytety, system państwowy ograniczający jej życie do sztywnych ram tego, co "powszechnie poządane", zagubiły ją w nienaturalnych hierarchiach wartości. Przez zinstytucjonalizowaną władzę człowiek jest zniewolony do podążania za odgórnym ustalonym modelem życia,

niezgodnym z jego naturalnymi skłonnościami. Władza zamienia jednostki w masę - każdego człowieka, który sam w sobie jest indywidualny i samodzielny, włącza w ten sam schemat, uśrednia i uprzeciętnia. W ten sposób powstaje jednolita, szara masa, która nie myśli i daje sobą



sterować, narzucać sobie sposób życia, cele i ideały. Indywidualność i niepowtarzalność człowieka zostają wykorzenione. Dlatego potrzebna jest rewolucja, która najpierw zniszczy cały ten zwyrodniały, szkodliwy aparat zniewolenia, dając oczyszczone miejsce dla naturalnych ludzkich społeczności, w których możliwe będzie następnie działanie zgodne z uczuciami moralnymi, jakie są właśnie wyrazem istoty indywidualnej jednostki.

Celem etyki jest więc wskazanie człowiekowi, w jaki sposób ma osiągać szczęście, czyli obudzić w nim uczucia moralne i pozwolić na swobodny, dalszy ich rozwój. *Określa ona i objaśnia nieliczne podstawowe zasady, bez których ani zwierzęta, ani ludzie nie mogliby żyć społecznie. Lecz później nawołuje ona do czegoś wyższego: do miłości, do męstwa, do braterstwa, do poszanowania samego siebie, do życia zgodnego z ideałem. I wreszcie mówi człowiekowi, że jeżeli pragnie on żyć życiem, w którym wszystkie jego siły będą się mogły w pełni przejawiać, to musi raz na zawsze wyrzec się myśli, że można żyć nie licząc się z potrzebami i pragnieniami innych.*

Kropotkin nie dokończył swojej *Etyki* - dzieła, które uważał za najważniejsze. Nie określił więc do końca wszystkich istotnych założeń, według których ma następować rozwój uczuć etycznych człowieka. Określając uczucia moralne, zakreślał ich granice raczej do społeczności ludzkich, nie zajmując się wiele tym, jaki powinien być stosunek człowieka do zwierząt. Jednak postęp moralny ma polegać na ciągłym rozszerzaniu tych granic, od czasów plemion ludzi pierwotnych, o czym pisze wielokrotnie: *pojęcia wzajemnego popierania i wzajemnej obrony wciąż ulegają rozszerzeniu: z rodu na plemię, na naród i wreszcie na międzynarodowy związek narodów. Z drugiej zaś strony, pomijając chwilowe ruchy wsteczne, jakie dają się zaobserwować w najbardziej nawet cywilizowanych narodach, widzimy - przynajmniej pośród przedstawicieli czolowej myśli w narodach cywilizowanych i w postępowych ruchach narodowych - pragnienie ciągłego rozszerzania przyjętych ogólnie pojęć o ludzkiej solidarności i sprawiedliwości: w pojęciach tych odbija się wyraźnie dążenie do doskonalenia charakteru wzajemnych stosunków i widać również zjawienie się w postaci ideału pojęć o tym, co pragniemy osiągnąć w dalszym rozwoju.*

Te słowa, napisane na początku naszego wieku, można równie dobrze odnieść, jako trafną obserwację, do jego schyłku, do czasów teraźniejszych. "Chwilowe ruchy

wsteczne", o których mówi Kropotkin, to powstające w różnych miejscach nurty nacjonalistyczne i rasistowskie czy jakkolwiek inny szowinizm, ograniczający pojęcie społeczności do wybranych według jakiegoś dyskryminującego kryterium. Równocześnie, znajdujemy przecież wiele głosów nawołujących do etycznego traktowania nie tylko wszystkich ludzi, ale także zwierząt czy nawet Ziemi jako całości. Można by się pokusić o stwierdzenie, że te właśnie, rozszerzające tak dalece granice moralności, koncepcje, są wynikiem rozwoju poczucia moralności, jaki zakłada Kropotkin. Nawet, jeżeli nie miał określonego takiego zamiaru, by zawrzeć w dalszej, nie napisanej części *Etyki*, wskazania dotyczące moralnego podchodzenia do zwierząt, można spróbować, czy takiej konsekwencji nie daloby się z jego koncepcji wyprowadzić.

Rozszerzenie takie, wynikające z ewolucyjnego doskonalenia się uczuć etycznych, wrodzonych człowiekowi, jest jak najbardziej do pomyślenia. Zwłaszcza, jeżeli się weźmie pod uwagę, do jak wielkich uczuć ma człowiek zdolności w ramach etyki Kropotkina i jak entuzjastycznie on sam wielokrotnie opisuje piękno przyrody, nadając mu nieraz bardzo duże znaczenie. Znajdujemy wiele fragmentów w jego *Pomoce wzajemnej*, a nawet w *Etyce*, gdzie rozwodzi się nad szczegółami krajobrazu, pogody na jakimś terenie, lub z wyraźną przyjemnością opisuje zachowanie zwierząt. Nie są to nigdy suche opisy, ale wizje chwilami niemal poetyckie. Zakłada chyba istnienie w każdym człowieku takiej wrażliwości na otaczający świat, skoro mówi, że nawet naukowe podejście może ten zachwyt wzbudzić. Oczywiście zachwyt nad przyrodą to jeszcze nie jest wystarczający powód, by zakładać cokolwiek. Nawet jego stwierdzenia o tym, że cały świat stanowi organiczną całość, w której człowiek jest tylko cząstką, pokrewną innym i od innych zależną, nie mogą być rozstrzygające. Można by próbować interpretować je zupełnie mechanistycznie, jako suche stwierdzenie istnienia sieci powiązań i wspólnych źródeł, z których pochodzi życie. Zwrócenie uwagi na te zależności w przyrodzie wynikało przecież ze spojrzenia naukowego. Jednak przytoczone zostało do celu napomnienia człowieka i ostudzenia jego wszechstronnych zapędów do wywyższania się - czyli w celach etycznych. Podejście etyczne wydaje się w ogóle charakterystyczną postawą Kropotkina. Cały jego system, zarówno antropologia, rozważania społeczne i polityczne wydają się "prześiąkniętą" etyką. Cały jego anarchizm można by nazwać etycznym, bo nawet z rewolucji zrobił działanie w tej dziedzinie. Co prawda środki, jakimi ma być osiągnięta wolność człowieka, która polega na swobodnym rozwijaniu się jego skłonności do poświęcania się, są zupełnie niezgodne z tymi skłonnościami. Postuluje przecież radykalnie zniszczenie aparatu państwowego, podobno wypowiedział nawet takie stwierdzenie, że nie zostanie osiągnięty cel rewolucji, dopóki *ostatniego burzaja nie powiesimy na kischkach ostatniego klechy*. Z drugiej strony jednak, potępia np. stosowanie kary śmierci (*Etyka*, przypis na s.75), co wydaje się pozostawać w większej zgodności z jego szacunkiem i afirmacją życia, ludzkiego i w ogóle. Ten szacunek dla życia, żeby mógł stanowić podstawę do rozciągnięcia moralności poza samych tylko ludzi, powinien stanowić również cechę każdego człowieka, nie tylko indywidualne podejście samego Kropotkina. Zagłębiając się w jego rozważania nad rozwojem uczuć moralnych, znajdujemy tę właśnie tezę. Przechodząc od społeczności zwierzęcych, w których odnalazł już uczucia etyczne, zastanawia się dalej nad człowiekiem pierwotnym: *Byłoby czymś przeciwnym wszelkim prawom natury - pisać - gdyby człowiek stanowił tu jakiś wyjątek: gdyby istota tak bezbronna, jak człowiek w początkach swojego istnienia, nie znajdowała oparcia w pomocy wzajemnej, jak inne zwierzęta, i gdyby oddając się nierozsądnie współzawodnictwu o korzyści osobiste, nie dbała zupełnie o interesy gatunku. Tego rodzaju przypuszczenie jest nie do przyjęcia dla umysłu zytego z ideą jedności przyrody.*

W pierwotnych rytach religijnych, w mitycznych opowieściach i całym znanym nam sposobie życia ludzi okresów górnego paleolitu i neolitu odnajduje wpływ bliskiego kontaktu i wielostronnych związków z przyrodą, ze zjawiskami pogody, roślinnością, i "bracmi-zwierzętami". Taka bliska znajomość owocowała pełnym szacunkiem odnoszeniem się ówczesnych ludzi do zwierząt. Stąd poczucie jedności, w której nie jest się wcale najlepszą ani najgłupszą częścią. Pierwotny człowiek

nie stawiał siebie na szczycie hierarchii ważności, nie miał jeszcze tego antropocentrycznego światopoglądu, charakterystycznego dla późniejszych wieków. Częstość nie radził sobie z przyszłościami, jakie stawała przed nim przyroda, wielu zjawisk nie rozumiał i obawiał się ich. W odnajdywaniu środków zaradczych pomocne okazały się obserwacje sposobu życia, prowadzonego przez zwierzęta. Psychologia zwierząt była pierwszą psychologią poznaną przez człowieka, jak twierdzi Kropotkin. Od nich człowiek otrzymał pierwsze "lekcje etyczne", które - obok wrodzonych skłonności - były motorem do zrzeczenia się we wspólnie żyjące grupy i zjedzenia się w nich zasadami moralnymi. To obserwowanie zwierząt nauczyło ludzi, jak pomocne dla przetrwania jest życie w społeczności i że konieczne jest, w każdy jej członek identyfikował się z nią, rozumiejąc, że dbając o korzyści wspólne, zapewnia pomyślność sobie. A dalej w tym właśnie nieustannym utożsamianiu się jednostki z całością tkwi pochodzenie całej etyki: z tego utożsamienia rozwinęły się wszystkie dalsze pojęcia o sprawiedliwości i wyższe jeszcze pojęcia o moralności.

Mając świadomość, że uczą się tego od zwierząt, pierwotni ludzie uważali je za znacznie mądrzejsze od siebie i otaczali wielkim szacunkiem, doceniając ich wstędy o wielu rzeczach, których sami nie rozumieli. Poza tym świadomość podobnej zależności od przyrody i wspólne, "sąsiedzkie" życie były źródłem poczucia wspólnoty ze zwierzętami. Odносили się do społeczności zwierzęcych tak, jak i do ludzkich plemion. W mitach wielu plemion, wyprowadzających istnienie człowieka od jakiegoś zwierzęcego "świętego przodka", Kropotkin przypatruje śladów tego poczucia wspólnoty. Opowieści, w których główną rolę gra mądrość, odwaga lub ofiarność zwierzęcia, mają być dowodem szacunku, jakim otaczał je człowiek. Liczne rytuały związane z polowaniami świadczą o tym, jak wielką wartość miało dla człowieka życie. Zwierzę, które zostało upolowane, było przepaszane. Cały "ród", do którego należało, był prześlągiwany rytuałami i ofiarami, by uniknąć zemsty. Składną również mitologiczne wyjaśnienia takich rytuałów, potwierdzające stanowisko Kropotkina. Planując polowanie, zawierano rodzaj magicznej umowy z Wielkim Ojcem zwierząt danego gatunku. Jedno zwierzę zostaje przeznaczone do zabicia, by nakarmić ludzi, jednak jego dusza, dzięki pomocy rytuałów, wykonanych przez myśliwych, powróci do swojego Wielkiego Ojca i następnie znów się odrodzi. W ten sposób jego życie zostaje zachowane, o ile rytuał będzie dokładnie przestrzegany. Nawet obecnie dziki człowiek jest obowiązany w czasie polowania przestrzegać pewnych zasad w stosunku do zwierząt i po skończonym polowaniu musi dopełnić pewnych ceremonii odkupienia winy. Niektóre z tych ceremonii są bardzo surowo i teraz przestrzegane, zwłaszcza w stosunku do zwierząt uważanych za sojuszników człowieka.

Wielka waga, jaką do tego przywiązywano (o czym mówią mity), świadczy, że życie stanowiło dużą wartość samą w sobie dla naszych przodków. Można więc wnosić, że szacunek dla każdego życia, jaki przejawiali nasi przodkowie, został nam przez nich przekazany, podobnie jak inne instynktowne skłonności. Co prawda sposób, w jaki są traktowane teraz zwierzęta przez większość ludzi, skrajnie odbiega od tamtych, pierwotnych uczuć wspólnoty i szacunku. Nie tylko nie uważamy ich za równych sobie, ale często nie przyznajemy im nawet racji bycia istotą, traktując je jak rzeczy. Jednak związane jest to najczęściej z postępującym oddalaniem się człowieka w ogóle od natury, przez otaczanie się techniką i życie w sztucznych systemach. Można więc ten zanik wrażliwości na inne życie tłumaczyć zubożeniem wpływem instytucjonalizacji życia, tak jak Kropotkin tłumaczy brak przejawiania się naszej wysokiej moralności dotyczącej drugiego człowieka. Nasze sposoby zabijania zwierząt są teraz rzeczywiście opanowane przez technikę. To, co się dzieje w rzeźniach, fermach futrzarskich, laboratoriach i innych miejscach masowego zwierzbójstwa, to jest instytucjonalizowane, fabryczne "przetworstwo", działające na takich samych zasadach, jak np. produkcja plastikowych butelek. O tym, że "przerabia" się tam żywe stworzenia, dawno już zapomniano, zza szyb sterowni automatycznych urządzeń. To okrutne uprzedmiotowienie zwierząt możemy traktować jako

jeden z owych "ruchów wstecznych", które mają pojawiać się co jakiś czas w całym rozwoju moralności i - miejmy nadzieję za optymistą Kropotkinem - że nie powodują całkowitej degeneracji, a jedynie opóźniają dalsze doskonalenie.

Argument, uznający za ważki sposób, w jaki odnosili się pierwotni do zabijanych przez siebie zwierząt, można próbować odwrócić, mówiąc, że przecież - tak czy inaczej - zabijali je! Podczas gdy krzywda uczyniona człowiekowi była w ogóle niedopuszczalna etycznie. Jednym z wytłumaczeń może być przytoczony już przykład, co właściwie oznaczało upolowanie zwierzęcia. Było to tylko jakies czasowe "odesłanie" go ze świata, na który znów powróci, otoczone wieloma zabezpieczeniami. W rytuałach człowiek oddawał się w opiekę owemu duchowi, którego nazywał wprawdzie Ojcem Zwierząt, ale sam również uważał się za jego potomka (opowieści mityczne). Duch ten miał zapewnić mu przetrwanie, dostarczając pożywienia. Nigdy zresztą zwierzęta nie były zabijane bez wyraźnej potrzeby. Nie uprawiano polowań dla samej przyjemności, jak odbywa się to teraz. Ograniczono jak najbardziej korzystanie z łaskawości Ojca Zwierząt, mając wciąż na uwadze także jego groźną moc. U Kropotkina możemy jednak znaleźć słowa, które mogłyby sugerować także inne wytłumaczenie.

W odnoszeniu się do zwierząt ważna była sprawiedliwość. Bowiem w świecie, którego wszystkie elementy są równie wartościowe, muszą - zgodnie z tą równością - sprawiedliwie się do siebie odnosić. Na pewnym etapie swojego rozwoju człowiek rozumiał to jako konieczność odkupienia - aby uniknąć zemsty - tego, że zabijał zwierzęta. Jednak: to pojęcie ["uczciwego" pomszczenia] musiało zaistnieć w czasach bardzo odległych - wówczas gdy człowiek nie był jeszcze wszytkozernym i nie polował na ptaki i ssaki w celu zdobycia pożywienia. Wszytkozernym zaś stał się człowiek prawdopodobnie w ciągu okresu lodowego, kiedy roślinność ginęła od groźnie nadciągającego zima.

Nie będzie to chyba tendencyjna interpretacja powiedzieć, że Kropotkin uznaje roślinożerność za wrodzoną cechę człowieka (!), a przejście na inny sposób odżywiania - wymuszone jedynie zewnętrznymi koniecznościami. I to jest bardzo ważny argument, gdyż główny przykład i powód traktowania zwierząt przez ludzi inaczej niż siebie samych to właśnie zabijanie ich po to, żeby je zjeść. Człowieka pierwotnego zmusiły do tego warunki przyrodnicze. Zachwiała się w ten sposób równowaga całości przyrody, tak, jak ją pojmował. Z krewniaków zwierzęta stały się ofiarami. Przedsięwziął więc próby ratowania harmonii poprzez czynności rytualne. Świadczą one jasno o tym, jakie niewłaściwe wydawało się człowiekowi zabijanie i zjedanie zwierząt, które zamieszkiwały z nim wspólnie Ziemię, i stanowiły, w pewien sposób, jego "rodzinę" (pochodził przecież od totemicznego przodka - zwierzęcia). To uczucie "niestosowności" leczyło, tworząc teorie, które zmieniały status polowania i zabicia na czasowe odesłanie duszy zwierzęcia gdzie indziej.

Poważną przeszkodą w uzasadnieniu rozciągnięcia uczuć etycznych na zwierzęta może być fakt, że wśród nich obowiązuje ono gatunkowo. Osobnicy tego samego gatunku traktują się nawzajem w ramach pomocy wzajemnej i sprawiedliwości, inne zwierzęta uważając za wrogów. U niektórych, jak zauważa Kropotkin, uczucia te nie wzniosły się nawet do poziomu całego gatunku, dotycząc tylko grupy, w której egzystuje dane zwierzę. Tak jest u wielu owadów, np. u mrówek, które prowadzą zaciekłe wojny między poszczególnymi mrowiskami (jest to jednak, jak twierdzi Kropotkin, dowód niskiego stopnia rozwoju, jeżeli walczą między sobą osobniki tego samego gatunku). A więc skoro moralność w świecie zwierząt ogranicza się do ram gatunkowych, dlaczego także i człowiek nie miałby dbać jedynie o innych ludzi? Wiele różnic gatunkowych u zwierząt jest nie do przekroczenia z biologicznego punktu widzenia. Bo nawet jeżeli znajdziemy przykłady na współpracę całych kolonii mrowisk, należących nawet do różnych gatunków mrówek, to zawsze będzie panowała wrogość między drapieżcami a stanowiącymi ich pożywienie przeżuwaczami. Tutaj nie można oczekiwać dalszego rozwoju moralnego, dzięki któremu mięsożerne zwierzęta przestaną polować - ewolucja musiałaby być biologiczna i



doprowadzić do zmiany budowy ich organizmów. Wielka liczba przykładów, jakie podaje Kropotkin na współdziałanie zwierząt różnych gatunków, skłania jednak do rozprawienia się z tą przeszkodą. Różne małe ptaki, mieszkające na jednym terenie, ostrzegają się nawzajem przed niebezpieczeństwem (pojawieniem się drapieżnika), informują się o smaczny pożywieniu, razem spędzają czas na wspólnych zabawach. Często młode ptaki kilku gatunków wychowują się razem. Ptak drapieżny, napadany przez całą chmurę tych, spośród których chciał wybrać swój posiłek, musi często uciekać. Walczą z nim wspólnie różne gatunki ptaków, łącząc się szczególnie w tym celu. Drapieżnicy również współdziałają ze sobą. Różne gatunki sokołów zwolują się do wspólnego polowania, razem latają dla przyjemności i w jednym miejscu sypiają. Są też ptaki zawsze ochoczo służące innym i stające w ich obronie w razie potrzeby. Jako przykłady takich ptaków podaje Kropotkin kanię i tłumacza (wszystkie przykłady - *Pomoc wzajemna*, ss 40-46). Podobnie mówi o międzygatunkowych skupiskach małp (str. 62). Przyjmując to wszystko, podział między zwierzętami można sprowadzić najogólniej do mięsożernych i niemięsożernych. Te, które są zjadane, współpracują ze sobą, fakt wspólnego zagrożenia uważając chyba za dowód pokrewności. Wśród nich można mówić o "moralności" obejmującej taką całość. Zjadający też mają między sobą pewne zasady - nawet wśród drapieżnych panuje jedno powszechne prawo: one nigdy wzajemnie się nie zabijają. Trzeba tutaj pamiętać, że są to cały czas wnioski, jakie można wyciągnąć z ustaleń Kropotkina. Od jego czasów badania przyrodnicze posunęły się naprzód i teraz nie wszystkie jego obserwacje byłyby prawomocne. Zbyt może idyllicznie widział Naturę, stosunki między różnymi gatunkami stworzeń nie zawsze są takie łagodne. Jednak wiele z jego obserwacji jest trafnych. Z drugiej strony to, jak rozumiał człowieka - bardzo etycznie, na pierwszym miejscu stawiając jego skłonności do pomocy i poświęcenia, może być źródłem "uetyczniania" w ten sam sposób całej przyrody. I stąd może tak pozytywne podejście w interpretacjach badań. Tak czy inaczej, nie tylko według Kropotkina, nie do końca jest tak, że gatunek stanowi sztywne ramy, poza które nie może się wydostać. Rzeczywiście, najmocniejszą taką granicą jest sposób odżywiania. Ostatecznie, w mniejszym lub większym stopniu, tutaj się z nim trzeba zgodzić.

Odnosząc to do człowieka, można wrócić znów do tego miejsca, gdzie Kropotkin zdaje się sugerować nam wrodzony wegetarianizm. Skoro początki człowieka opierają się na roślinozerności, to w podzielonym na dwie części świecie staliśmy się po stronie zjadanych raczej niż zjadających. Przynajmniej biologicznie, bo rzeczywistość teraz oczywiście sugeruje co innego. Nie mamy zatem dostatecznego uzasadnienia odgradzania się od np. wszystkich przeżuwaczy, które zjadamy, zamiast traktować je jak pobratymców. Fakt, że nie jesteśmy już w bezpośrednim niebezpieczeństwie ze strony drapieżników, mógł spowodować takie osłabienie (zaniknięcie) poczucia więzi. I oczywiście wiele innych czynników, które z czasem powodowały coraz lepszą samoocenę człowieka i wywyższanie się nad resztę "gorszych" stworzeń. Pierwotnie jednak inny był człowieka ogląd rzeczywistości. Ani siebie nie uważał za oddzielnego od reszty natury, ani podziałów między zwierzętami nie odbierał tak ostro. Zwierzęta, poza tym, że tworzyły ściśle grupy jednego gatunku, z których to człowiek brał przykład, stanowiły jeszcze większą całość: *Zmije i ptaki (...), drapieżce i owady, jaszczurki i ryby - wszystkie one wzajemnie się rozumieją i komunikują sobie nawzajem swe spostrzeżenia. Wszystkie one tworzą jedno bractwo, do którego niekiedy dopuszczają człowieka. Bo przecież także i człowiek należy do tej wielkiej wspólnoty. Ślady tego, że tak uważano, znajdziemy znów w mitach: tego rodzaju sojusze były również nader częste między człowiekiem i różnymi zwierzętami. Bajki wciąż o nich wspominają: na przykład zwierzę widząc, że myśliwy ma zamiar je zabić, prosi go, aby tego nie czynił; myśliwy zgadza się i wówczas staje się braciem. Wówczas małpa, niedźwiedź, sarna czy ptak, krokodyl czy nawet pszczoła (w ogóle jakiegokolwiek zwierzę żyjące społecznie) troszczy się o człowieka-brata w krytycznych momentach jego życia. Śląc mu na pomoc braci swych z tego samego rodu lub też z rodów innych.*

Kropotkin nie tylko zresztą mityczne przytacza. Te mówią wiele o tym, jak człowiek rozumiał swoje stosunki ze zwierzętami. Traktował je jak równych sobie współmieszkańców świata, z którymi można się porozumieć i zawrzeć "sojusz" - nie są tylko wrogami. Tak jak w mitach - w codziennym również miał z nimi bliski kontakt: *Człowiek pierwotny żył w ścisłym obcowaniu ze zwierzętami. Według wszelkiego prawdopodobieństwa dzielił on z niektórymi spośród nich swoje schronisko pod maszynami skał, w rozpadlinach skalnych, a niekiedy i w grotach; nader często dzielił się z nimi również i pożywieniem.*

A możliwe było to wszystko dzięki temu, że istniała w człowieku świadomość tego, że stanowi częścią wielkiej całości, jaką jest natura. Rozumiejąc to, odnosił się z szacunkiem do życia innych jej części tak samo, jak szanował swoje, i te same zasady sprawiedliwości stosował do wszystkiego, co żyje. Istniało w nim bowiem przedstawienie o wielkiej całości złączonej określonymi więzami wzajemnego popierania się; *ona - ta wielka całość - obserwuje wszystkie postępy wszystkich żywych istot i na skutek tej istniejącej w całym świecie wzajemności bierze na siebie obowiązek odwetu za złe postępy.*

I w tym wypadku nie można powiedzieć, że Kropotkin znów zbyt daleko poszedł w swoich idealistycznych poglądach na Naturę. Opisy tego, jaką ścisłą jedność stanowiła dla naszych przaprzodków, może wydają się przesadzone. Ale to nie tylko Kropotkin tak twierdzi. W badaniach religioznawczych bezsprzecznie zauważono taki właśnie światopogląd pierwotnych: *W umyśle ówczesnych ludzi powstaje błędne, fantastyczne wyobrażenie o tożsamości człowieka z przyrodą, którą wyposażył on błędnie w swojej wyobraźni w to życie, jakim sam żyje (...). Animizmowi towarzyszył już wtedy totemizm, czyli przekonanie o tajemniczym związku między człowiekiem a światem zwierzęcym, także roślinami, a nawet przedmiotami nieożywionymi, o pochodzeniu klanu ludzkiego od określonego zwierzęcia, rośliny lub zjawiska przyrody i o pokrewieństwie wszystkich członków rodu z wszystkimi przedstawicielami danego totemu, protoplasty rodu.*

Można tylko różnić się co do interpretowania tych wierzeń. Zacytowany pan Szafranski jak tylko mógł, dał wyraz swej dezaprobaty co do tego "niskiego poziomu umysłowego", prezentującego się w przekonaniach o jedności świata. I nic dziwnego, bo w ogóle, jak na religioznawcę, reprezentuje on postawę wybitnie "antyreligijną", jak to zresztą bywało w pewnym, niedawno obowiązującym, systemie. Wszystkie co wcześniejsze znaleziska archeologiczne, pozwalające przypuszczać istnienie kultu,

bardzo ładnie tłumaczy przypadkiem lub znajduje im prozaiczne zastosowania. A więc fakt, że pomimo takich skłonności nie zaprzeczył istnieniu światopoglądu jedności natury, może być tu dowodem na jego obowiązywanie. Negowanie jego wartości to po prostu inny rodzaj materializmu niż ten kropotkinowski. Bo Kropotkin nie tu nie wyśmiewa, a właśnie wręcz przeciwnie - znajduje inne podstawy, które ten sam pogląd potwierdzają (choć - oczywiście - nie na tym samym poziomie).

Bo wiem to samo pojęcie, całości pełnej powiązań, które pierwotny człowiek posiadał z obserwacji przyrody, teraz narzuca nam się na powrót, w postaci wyników badań naukowych. Jak twierdzi Kropotkin, powróciliśmy, po wiekach "czczej metafizyki", do badania przyrody i powracamy znów do podobnych stwierdzeń. Nauka wskazuje nam na wszechstronne powiązania w świecie. To ona "udzieliła człowiekowi lekcji skromności", zaprzeczając naszej rzekomej wyższej pozycji wśród całego życia. Odsyła nas do przyrody jako do korzeni nas samych, naszej towarzyskości, moralności, a także zdolności umysłowych: *uspołecznienie przyczynia się do rozwoju zdolności umysłowych, umysłowe zdolności zwierząt różnią się od zdolności ludzkich tylko stopniem rozwoju, nie zaś ich istotą.*

Połączenie też Kropotkina o tym, że moralny stosunek do innych mamy wrodzony; że podlega prawom ewolucji i rozwija się, osiągając z jednej strony stadia coraz bardziej wysubtelnione i mniej interesowne, a z drugiej rozszerzając swoje granice; że rozwój ten nie stanowi jednej prostej linii, zakłócany regresjami; że jest już w nas skłonność do poświęcenia i miłości, choć na razie stłumiona przez system państwowości; że świat stanowi całość równie ważnych części, powiązanych ze sobą; że stanowimy jedną z tych części; i przy założeniu również, że zwierzęta nie są naturalnie przeznaczonymi nam ofiarami do zjedzenia, a etyczny stosunek do nich, jaki przejawiał człowiek pierwotny, wynikał ze świadomości wspólnoty, a nie np. z zaborowości, że brak takiego podejścia teraz jest wynikiem chwilowego tylko cofnięcia się w rozwoju moralności i że wśród zwierząt taka wspólnota istnieje, a człowiek też do niej należał u swoich początków - to wszystko razem skłania do stwierdzenia, że ów instynkt moralny, który ma się w nas wywołuje dzięki rewolucji, powinien objąć całe życie, nie tylko nasze. Idealistyczne (pomimo naukowo-materialistycznego uzasadnienia) podejście Kropotkina do człowieka, takie samo opisywanie życia zwierząt i jego wiara w zbawcze działanie "rewolucji moralnej" pozwalają wierzyć, że nie jest całkiem nieuzasadnione oczekiwanie, że w chwili, gdy nasza moralność miałaby wreszcie uwolnić się i dojść do głosu, otoczylibyśmy nią także i zwierzęta, traktując je znów jak "braci" w tej całości świata, do którego wszyscy należymy.

Podsumowując jeszcze raz, tym razem praktycznie, wydaje się, że ta rewolucja wciąż czeka na nas. Albo to może my na nią ciągle czekamy. A powinniśmy zrobić coś, by wspomóc rozwijanie się i ujawnianie w nas tej moralności, którą Kropotkin tak ładnie i z zaangażowaniem przedstawiał. Mówiąc prosto - nie wystarczy tylko dążyć do zniszczenia, żeby pokazać, że się jest anarchista. Nie wystarczy tylko nie jeść zwierząt, by pokazać, że odczuwa się jedność z wszechświatem. To nie wystarczy, jeśli chce się coś osiągnąć nie dla siebie, ale dla świata właśnie (pamiętając, co twierdził Kropotkin o szczęściu człowieka - tylko działając zgodnie z głęboko zakorzenionymi w sobie skłonnościami do poświęcenia i działania na korzyść innych, można osiągnąć własną, osobistą satysfakcję). Samorealizacja jednostki polega na tym, że robi coś dla innych, dla społeczności (w żadnym razie nie mylić ze społeczeństwem ujętym w państwo!). Wolność polega na tym, że nie tłumisz się w sobie wewnętrznej dziedziny moralnej, skłaniającej nas do czynienia dobra. Rewolucja moralna polega na tym, że umożliwia się dalszy rozwój zablokowanej ewolucji moralnej. A rewolucjonista (cały czas według Kropotkina) ma swoim własnym przykładem świadczyć o tym, jacy będą wszyscy ludzie, gdy cel rewolucji moralnej zostanie osiągnięty.

I to tyle. Żadnych konkretnych postulatów ani określenia, co to wszystko właściwie znaczy i co w związku z tym powinno się robić. To tylko zachęcenie do własnych przemyśleń i może poszukiwania gdzieś w sobie, czy ta szlachetna, wzniosła moralność faktycznie się tam znajduje. Prawdopodobnie tylko potencjalnie, jeżeli tak. To może popracujemy nad jej urzeczywistnieniem. I dajmy się ponieść sumieniu?



W Buffalo, na skraju Delaware Park - zaprojektowanego przez F. L. Olmsteada, twórcę Central Park na Nowojorskim Manhattanie - wznosi się o k a z a l a . neoklasycystyczna budowla, zbudowana z vermonckich marmurów, naśladująca swym stylem kształtem ateński

partenon. Gmach ten jest jedyną, trwałą pozostałością po kilkudziesięciu obiektach, które - w związku z organizacją wystawy panamerykańskiej w 1901 r. - zostały wzniesione w Buffalo, na terenie ulokowanym pomiędzy dwoma ważnymi arteriami miejskimi Elmwood Avenue i Delaware Avenue. Obecnie, ów budynek jest siedzibą buffalońskiego towarzystwa historycznego i jego większa część jest okupowana przez muzeum historyczne miasta Buffalo. Wśród eksponatów muzealnych, uwagę zwraca młoty rewolwer marki Iver Johnson, przy pomocy którego Leon Czolgosz, w dniu 6 września 1901 r., dokonał zamachu na prezydenta USA Williama McKinleya.

EKSPOZYCJA

Przełom XIX i XX wieku był dla Buffalo okresem wielkiej prosperity. Osmy co do wielkości przeladunków port świata, jeden z największych amerykańskich węzłów kolejowych (przez miasto usytuowane w połowie drogi między Nowym Jorkiem i Chicago - przeciętnie co 6 minut przejeżdżał pociąg), rozwijający się dynamicznie ośrodek hutniczy w Lackawanna na przedmieściach Buffalo (Bethlehem Steel Corporation z siedzibą w Lackawanna, był jednym z największych koncernów stalowych w USA), wreszcie zawsze bardzo prężny sektor handlowy, wszystkie te czynniki jednoznacznie przesądzały o rosnącym znaczeniu miasta. Z populacją prawie czterystatusięcną, Buffalo było czwartym co do wielkości miastem w skali kraju, a dla jego mieszkańców perspektywy przyszłości rysowały się w różowych barwach. Dzisiaj mieszkańcy Buffalo - podupadłego ekonomicznie skutkiem otwarcia drogi morskiej Św. Wawrzyńca (pozostawia port Buffalo na uboczu) z końcem lat 50-tych oraz spadkiem popytu na produkty hutnicze w latach 70-tych - z nostalgiczną nutą wspominają ów okres "gdy Buffalo było Silicon Valley". Z końcem lat 90-tych XIX wieku, władze miasta i miejscowi przedsiębiorcy, chcąc uświetnić sukces ekonomiczny Buffalo, jak również zaakcentować powitanie nowego stulecia wiekopomnym wydarzeniem, podjęły decyzję o zorganizowaniu w mieście wystawy panamerykańskiej. Idea międzynarodowych ekspozycji sięga swymi początkami roku 1851, kiedy to z inicjatywy księcia Alberta, małżonka królowej brytyjskiej Wiktorii, zorganizowano w Londynie wielką wystawę (Grand Exposition), zakończoną wielkim sukcesem. Końcówka XIX wieku obfitowała w USA w szereg wystaw międzynarodowych, cieszących się wielką popularnością. W 1893 r. zorganizowano wystawę międzynarodową w Chicago, zakończoną wielkim sukcesem. Dwa lata później, w Atlancie, miała miejsce Atlanta Cotton Exposition - również udana.

W 1897 r. zawiązała się w Buffalo Panamerican Exposition Company - zrzeszająca organizatorów planowanej wystawy - której członkowie postavili sobie za cel zorganizowanie przedsięwzięcia w następnym roku. Jednakże ostatecznie, z powodu wybuchu wojny amerykańsko - hiszpańskiej, datę otwarcia ekspozycji przelożono na rok 1901. Organizatorzy wystawy zdolali zebrać bez większych kłopotów niezbędną kwotę 4 milionów USD. Miejscowi przedsiębiorcy nie poskąpili środków, licząc na to, iż zakończone sukcesem przedsięwzięcie, zwróci im wszelkie poniesione koszty z nadkattkiem. Do prac nad wystawą przystąpiono w roku 1899. Trwały one 18 miesięcy, w trakcie których prowadzono intensywną akcję promocyjną, mającą zapewnić jak największą liczbę zwiedzających. Na wykupionych stukilkudziesięciu hektarach (zwanych Ramsey land), ograniczonych ulicami Elmwood Avenue i Delaware Avenue, postawiono w ekspresowym tempie kilkudziesiąt obiektów. Wszystkie one - z wyjątkiem pawilonu stanu Nowy Jork - zostały zbudowane z wielkich płyt gipsowych, ujętych w drewniane ramy.

Budowle te, mające charakter prowizoryczny, miały służyć tylko celom ekspozycji i tym samym, ich eksploatacja została przewidziana na maksymalny okres 7 miesięcy. Wystawę otwarto w dniu 1 maja 1901 r. Oprócz 23 pawilonów, mieszczących ekspozycje krajów Ameryki Łacińskiej i Kanady, wystawa obejmowała szereg budynków z ekspozycjami poszczególnych stanów USA oraz US government building, mieszczący wystawę osiągnięć rządu federalnego. Poza tym, zbudowano



świętynie muzyki, the ethnology building (z wystawami traktującymi o życiu Murzynów amerykańskich, obfitującymi w utarte stereotypy), stadion magocy pomieszczenie 12 tysięcy ludzi, the electric tower - wieżę elektryczną iluminowaną nocą milionami żarówek, umocowanych na budowli według określonych wzorców. Wieża elektryczna - zwieńczona dwutonową sylwetką bogini światła i dominującą nad całą wystawą - stanowiła niewątpliwie największą atrakcję ekspozycji, której specyficzną cechą - różniącą ją od poprzednich tego typu imprez - była powódź światła elektrycznego, w której co wieczoru tonęła cała wystawa. Warto dodać, iż energia elektryczna niezbędna do tego celu, była przesyłana - dzięki odkrytemu właśnie przez Nikole Tesle zjawisku prądu zmiennego - z The Adams Power Plant, elektrowni wodnej wykorzystującej moc pobliskich wodospadów Niagary, skonstruowanej tuż przed otwarciem wystawy. W części ekspozycji zwanej The Midway, skoncentrowano wszystko to co było śmieszne, egzotyczne, dziwaczne, groteskowe. Wystawiono tam - między innymi - replikę norymberskiej starówki, małą Wenecję, zaułek Kairu, eskimoską, indiańską, filipińską i murzyńską wioskę, karli kabaret. W wiosce indiańskiej "zamieszkiwało" 500-700 Indian, którzy zjechali do niej na "indiański kongres". Występowali oni w indiańskich strojach (koniecznym ze stereotypowym indiańskim pióropuszem), urządzali festiwale "pow - pow", stacjali inscenizowane bitwy i potyczki (zawsze rzecz jasna przegrywane przez Indian) z "amerykańskimi kawalerzystami". Wśród zatrudnionych Indian był słynny wódz Apaczów Geronimo (ostatni z niezależnych wodzów indiańskich, poddał się władzom USA dopiero w 1886 r.), cieszący się wielkim zainteresowaniem wśród zwiedzających wystawę.

WIZYTA PREZYDENTA

Kulminacyjnym wydarzeniem wystawy miała być wizyta prezydenta Williama McKinleya. Swą drugą kadencję postanowił on rozpocząć od długiej podróży, objazdu pociągami całego kraju. Przybycie prezydenta do Buffalo przewidziano na 3 czerwca 1901 r. W trakcie podróży, żona prezydenta Ida McKinley, cierpiąca na ciężkie ataki depresji z towarzyszącą jej epilepsją, zaniemogła poważnie w El Pas (Teksas) i po przewiezieniu jej do San Francisco, pozostawała tam przez kilka tygodni pod stałą opieką lekarską. McKinley - znany ze swego niewolniczego przywiązania do żony i troskliwej opieki nad nią - pozostawał przy jej boku przez cały ten okres. Skoro tylko stan zdrowia prezydenckiej małżonki poprawił się na tyle, iż lekarze zezwolili na podróż kolejną, powróciła ona natychmiast z prezydentem do Waszyngtonu, po czym wkrótce para prezydencka udała się spędzając letnie wakacje do Canton (Ohio), rodzinnej miejscowości Idy. Termin wizyty w Buffalo przełożono na 5 września 1901 r.

William McKinley urodził się w 1843 r. w Niles (Ohio), w rodzinie robotniczej. W 1861 r. wstąpił ochotniczo w szeregi armii Unii i wziął udział w wojnie secesyjnej, wyróżniając się talentem i odwagą. Koniec wojny zastał go w stopniu majora. Po zakończeniu działań wojennych, McKinley porzucił karierę wojskową i wstąpił do Albany Law School (Albany, stan Nowy Jork), z zamiarem zostania adwokatem. W 1871 r. poślubił Idę Saxton, po czym młoda para przeniósła się do rodzinnej miejscowości Idy, Canton w Ohio. McKinleyowie doczekali się dwóch córek, jednakże obydwie dziewczynki zmarły w wieku niemowlęcym. Tragedia ta, położyla się długim cieniem na życiu Idy McKinley, która po doznanej traumie nigdy już nie odzyskała pełni sił. William McKinley natomiast, otoczywszy troskliwą opieką podpadłą na zdrowiu żonę, zdołał znaleźć czas i energię na poświęcenie się karierze politycznej, w czym pomógł mu niewątpliwie talent krasomówczy. Siedmiokrotnie był wybierany do Izby Reprezentantów ze stanu Ohio. Dwa razy przyszło mu być gubernatorem tego stanu.

W 1896 r. McKinley pokonał Williama Bryona w wyborach prezydenckich i został prezydentem USA. Ogromną rolę w karierze politycznej McKinleya odgrywał wpływowy i bogaty senator Mark Hanna z Clevelanda (Ohio), władający partią republikańską niczym swym prywatnym rancho. McKinleyowi przyszło zapłacić słono za to wsparcie. Hanna został jego alter ego, ingerując często w kompetencje prezydenta, wywierając na niego presję, kształtując w dużym stopniu treść decyzji podejmowanych przez McKinleya. Opozycyjna prasa złośliwie - i raczej trafnie - porównywała McKinleya do marionetki, pociąganej za sznurki przez Hanne. W 1900 r. McKinley, będący u szczytu popularności, cieszący się ogromną popularnością w społeczeństwie, z łatwością został wybrany - po raz drugi - prezydentem. Najistotniejszą cechą prezydentury McKinleya, była polityka utrzymywania wysokich cel na towary importowane, w celu chronienia rodzimego przemysłu i rolnictwa. W zakresie polityki zagranicznej, lata 1896 - 1901, to szczytowy okres amerykańskiego imperializmu, charakteryzujący się aneksją Hawajów (1898 r.) oraz wejściem w posiadanie - skutkiem wygranej wojny z Hiszpanią - Filipin, Puerto Rico, Guam oraz uzależnieniem Kuby.

Późnym popołudniem 4 września 1901 r., specjalny pociąg wiozący prezydenta wraz z małżonką, jak również szereg osobistości amerykańskiego życia politycznego, wyczołżył się na stacji Terrace Station w Buffalo. Prezydenta powitał salut armatni. Działa jednakże zostały ustawione zbyt blisko peronów, skutkiem czego, od huku wystrzałów popękały szyby w wagonach pociągu i w oknach pobliskich budynków. Ida McKinley szczególnie ciężko przeżyła incydent. Wyprowadzona z równowagi, znalazła się w stanie bliskim atakowi epilepsji. Prezydent zachował zimną krew i z wyrazem beztróski na twarzy pojawił się na platformie widokowej wagonu, witając zgromadzony wokół tłum gapiów. Ktoś z podekscytowanego odgłosem pękającego szkła tłumy krzyknął, że anarchiści wykołobili skład prezydencki. Reagując na te słowa, spora gromada gapiów ruszyła w stronę stojącego przy torach osobnika, niedbale ubranego, biorąc go za rzekomego anarchистę. Nie jest wykluczone, iż całe zajście zakończyłoby się klasycznym linczem, gdyby nie interwencja nieznanego, gustownie ubranego mężczyzny, który wychyliwszy się ze swojego powozu, gromkim głosem oświadczył, iż ścigany nie jest niczemu winien i że pękające szkło to wynik zbyt donośnych salw armatnich. Wielu z obecnych na stacji i witających prezydencką parę, uznało ów przykry incydent za złowieszczy omen, źle wróżyący prezydenckiej wizycie w Buffalo.

Po niefortunnej powitalnej ceremonii, pociąg prezydencki zajeżdżał na peron dworca Amherst Station, usytuowanego

tuż przy terenie wystawy. Stąd prezydencka para, z towarzyszącą jej okazałą świtą, przy aplauzie wielotysięcznych tłumów, udała się na przejażdżkę dorożką po terenie ekspozycji. Po zakończeniu przejażdżki, prezydent z małżonką udali się do domu Johna Milburna - bogatego prawnika z Buffalo, przewodniczącego komitetu wystawy - którego okazała, pokryta dzikim winem rezydencja przy Delaware Avenue, reprezentacyjnej ulicy miasta, miała być miejscem zamieszkania McKinleyów podczas ich pobytu w Buffalo. Następnego dnia rano, na terenie wystawy, prezydent wygłosił przemówienie do tłumy około 50 tysięcy osób, zgromadzonego wokół specjalnie na tę okoliczność wzniesionej trybuny.

W swej mowie McKinley wskazał na dobrobyt panujący w USA, na rosnącą z każdym rokiem produkcję, na niezbędność - w związku z tym - rozwoju międzynarodowego handlu i zarzucenia polityki izolacjonizmu, konieczność pokojowego rozwiązywania konfliktów międzynarodowych. Oracja została nagrodzona rzesistymi oklaskami i w ogólnym entuzjazmie niewiele zwróciło uwagę na to, iż postulaty prezydenckie miały się nijak do zasad i charakteru jego polityki, która była w swej istocie tak izolacjonistyczna jak i imperialistyczna. Po zakończeniu przemówienia, McKinley - przy akompaniamencie wiwatujących tłumów - udał się w odkrytym powozie do amfiteatru, gdzie dokonał przeglądu zgromadzonych tam oddziałów wojskowych oraz spotkał się z grupą wyselekcjonowanych na tę okazję, znacznie szerszych obywateli Buffalo. Zaraz potem wziął udział w wypuszczeniu 7000 gołębi (które poniosły w USA wieść o pobycie prezydenta w Buffalo), a następnie zwiedził kilka pawilonów wystawy, zatrzymując się na dłuższą przy ekspozycji kanadyjskiej - z powodu białego jeżozwierza, stanowiącego maskotkę tej wystawy - oraz w pawilonie kubańskim, gdzie oglądał maskę pośmiertną Napoleona, dzieło Antomarchiego.

Ostatnim obiektem zwiedzianym przez prezydenta, był okazały, wznoszący się nad sztucznym jeziorem, pawilon wystawowy stanu Nowy Jork. Tutaj McKinley, w towarzystwie wysokich dygnitarzy państwowych i przedstawicieli korpusu dyplomatycznego, spożył lunch, dostarczony z hotelu Iroquois w centrum miasta. Po posiłku, prezydent udał się z wizytą do siedziby władz federalnych w Buffalo, gdzie spotkał się znow z grupą wyselekcjonowanych na tę okazję osób, w tym kapitanem Richmondem E. Hobson, bohaterem niedawno zakończonej wojny z Hiszpanią (zatopił węglowiec na redzie portu Santiago de Cuba, celem zablokowania znajdującej się tam flotyli okrętów hiszpańskich) oraz dr. Hermanem Mynter, chirurgiem duńskiej marynarki wojennej, praktykującym podówczas w Buffalo, który miał odegrać istotną rolę w nadchodzących wypadkach.

Późnym popołudniem, McKinley zmęczony intensywnym programem dnia, udał się na zaszukany odpoczynek do domu Milburna, gdzie oczekiwała na niego Ida, która właśnie powróciła z przyjęcia, wydanego na jej cześć przez żony członków komitetu wystawy panamerykańskiej. Wieczorem prezydenta para udała się na teren ekspozycji, w celu obejrzenia pokazu fajerwerków, przygotowanego przez słynnego pirotechnika Henry'ego Pain'a. Po obejrzeniu pokazu świateł, przejażdżkę łodzią po jeziorze, obejrzeniu baletu na wodzie z tańcem nimf, przyszła kolej na główną atrakcję wieczoru. Pain przeszedł samego siebie i dał przedstawienie, zgodnie ocenione przez wszystkich zgromadzonych, jako absolutnie wyjątkowe i niepowtarzalne. Na samym końcu pokazu, girlandy sztucznych ogni eksplodowały z hukiem wokół unoszącego się w powietrzu portretu prezydenta, pod którym widniał napis: "witaj - McKinley - wódz naszego narodu i naszego imperium". Następnego dnia, wczesnym



rankiem, McKinley wraz z żoną i towarzyszącym im orszakem - przy akompaniamencie wiewających tłumów - udali się koleją w kierunku Niagara Falls, zwiedzając atrakcje kanionu Niagary. Prezydencka para rozpoczęła wycieczkę od obejrzenia Lewiston, uroczego miasteczka leżącego nad rzeką Niagara, niedaleko od jej ujścia do J. Ontario, miejsca akcji ulubionej książki prezydenta "The Spy" ("Szpieg") pióra Fenimore Coopera, rozgrywającej się w okresie wojny o niepodległość USA. Następnie skład prezydencki pojechał na górę rzeki, zatrzymując się na chwilę w Devil's Hole (szczególnie imponujący fragment kanionu rzeki Niagary) oraz w Whirlpool, miejscu gdzie rzeka Niagara zmienia raptownie swój bieg, tworząc imponujących rozmiarów wir wodny. Po przybyciu do Niagara Falls, prezydencka para udała się na most wiszący, spinający brzozi Niagary i tym samym łączący USA z Kanadą. Prezydencki powóz zatrzymał się kilka metrów od białej linii, narysowanej przez środek mostu i wyznaczającej granice państwowej. Przybycie prezydenta na most wiszący, stało się przedmiotem ogromnej wrzawy rozpetanej przez prasę, już na kilka dni przed zaplanowanym zdarzeniem. Dowodzone mianowicie, iż przekroczenie przez pomyłkę - nawet o kilkadziesiąt centymetrów - linii granicznej przebiegającej przez most, zaskutkowało może skandalem międzynarodowym, kładąc się tym samym cieniem na stosunkach amerykańsko-kanadyjskich. Co szczególnie interesujące - zwłaszcza z dzisiejszego punktu widzenia - to powód, dla którego owe stosunki między obydwojma państwami miałyby się popsuć. Sugerowano, iż Kanadyjczycy, nieprzygotowani na wizytę głowy obcego państwa, nie byłiby w stanie należycie, zgodnie z protokołem, powitać szacownego gościa, co stanowiłoby wystarczający powód do ciężkiej obrazy, ze wszystkimi smutnymi konsekwencjami tego faktu. Należy pamiętać, że McKinley nigdy nie postawił stopy na obcej ziemi (zagraniczne wycieczki polityków były wówczas rzadkością, w porównaniu z dzisiejszymi realiami), tym niemniej historii, rozpetanej przez gazety - szczególnie te spod znaku "złotej prasy" - nie da się niczym usprawiedliwić. Cała powyższa przedstawiona sytuacja nosi - jakże obecnie dobrze nam znane - znamiona tworzenia "faktów prasowych". Wizyta prezydenta na moście przebiegła bez żadnych zakłóceń. Zaden ze złowieszczych scenariuszy wykreowanych przez prasę nie zmaterializował się.

ZAMACH

Po krótkiej wycieczce nad wodospady Niagary i zwiedzeniu elektrowni wodnej w Niagara Falls, prezydent zdecydował o powrocie do Buffalo. Pociąg wiozący prezydencką parę zjechał na dworzec kolejowy ekspozycyjny około godziny 15.30. Ida McKinley pojechała natychmiast do domu Milburna, odpocząć po dniu pełnym wrażeń, natomiast prezydent udał się do świątyni muzyki na spotkanie z publicznością. Po krótkim zwiedzeniu budynku, McKinley dał znać żęby rozpocząć audiencję. Dźwięki muzyki wypełniły salę koncertową, gdy organista zaczął grać "Sonatę F" Bacha. McKinley - mający po lewej ręce Milburna, po prawej Cortelyou, swojego prywatnego sekretarza, od dłuższego czasu obawiającego się zamachu na prezydenta - rozpoczął spotkanie z publicznością. Nad bezpieczeństwem prezydenta czuwało trzech detektywów, usytuowanych w jego bezpośrednim pobliżu. Na wiele godzin przed przybyciem McKinleya, na zewnątrz świątyni muzyki zgromadził się kilkutyśięcny tłum osób, spragnionych bezpośredniego kontaktu z prezydentem. Po otworzeniu bram budynku, służba porządkowa sprawnie uformowała napływającą masę ludzi w długą kolejkę, szybko przesuwaną się w stronę prezydenta. McKinley ścisnął ręce podchodzącym do niego ludziom, czasami zamiast kilka słów z daną osobą, pogłaskał dziecko po głowie. 6 września był dniem wyjątkowo upalnym. Na zewnątrz panowała temperatura rzędu 30 stopni Celsjusza. W środku świątyni muzyki było trochę chłodniej, tym niemniej i tutaj wysoka temperatura dawała się we znaki. Generalną zasadą, ustanowioną i skrupulatnie przestrzeganą przez szcypulę, lecz elitarną ochronę prezydenta - obowiązującą podczas tego typu publicznych imprez jak ta w świątyni muzyki - było podchodzenie do

prezydenta z odkrytymi, niczym nie zasłoniętymi rękami. Upalna pogoda, spowodowała pojawienie się chusteczek do ocierania potu, w rękach wielu osób ustawionych w kolejce po prezydencki uścisk. Nie chcąc powodować zamieszania i konsternacji - tym razem na zasadzie wyjątku - detektywi strzegący bezpieczeństwa prezydenta, odstąpili od zasady "odkrytych rąk". Po upływie kwadransa, na polecenie znicierpliwonego i nieufnego Cortelyou, postanowiono zakończyć audiencję, pozwalając na kontakt z prezydentem tylko tym szczęśliwcom, którzy już znajdowali się wewnątrz budynku. Zaraz po zamknięciu drzwi świątyni muzyki, miał miejsce drobny incydent, który na moment zakłócił przebieg uroczystości. Jeden z podchodzących do prezydenta mężczyzn, niewysoki, dobrze zbudowany, ciemnej karnacji, z sumiastymi włosami, wyglądający na typowego Włocha, wzbudził czujność jednego z detektywów. Osobnik ow został zatrzymany i szybko przeszukany na uboczu, po czym - gdy detektywi nie znaleźli nic podejrzanego - pozwolono mu spotkać się z McKinleym. O godzinie 16.07 do prezydenta podszedł starannie ubrany młody mężczyzna. Jego prawa dłoń, owinięta w chusteczkę i lekko wyciągnięta do przodu, sprawiała wrażenie zawieszony na niewidocznym temblaku. Lewa



ręka skrzyżowała się z prawą, gdy mężczyzna sklonił się w stronę McKinleya, usiłując uchwycić jego dłoń. Nagle, w ulamku sekundy, mężczyzna cofnął do tyłu owiniętą w chusteczkę dłoń, po czym rozległ się huk wystrzału. Prezydent uniósł się na palcach nóg, równocześnie obejmując rękami klatkę piersiową i przechylając się nieznacznie do przodu. Przestrzelona chusteczka opadła na podłogę, ukazując w dłoni zamachowca mały rewolwer. W tym momencie padł drugi strzał i McKinley przechylił się konwulsyjnie do tyłu. Zamachowiec skierował rewolwer w stronę slaniającej się ofiary, szykując się do oddania trzeciego strzału. Nie zdążył jednakże tego uczynić. Szeregowiec O'Brien, służący w pułku artylerii w Buffalo, oddany do dyspozycji detektywów z ochrony osobistej prezydenta, znajdujący się kilka kroków od zamachowca, rzucił się na niego i zwałił go z nóg na ziemię. Zaraz potem, w sukurs przyszedł mu detektyw Geary oraz ogromnej postury Murzyn z Chicago o nazwisku Parker, który potężnym ciosem znokautował zamachowca pozabawiając go na chwilę przytomności. Slaniającego się McKinleya pochycili Cortelyou i Milburn i usadowili w podsuniętym pociągu. Do spoczywającego w krześle prezydenta podbiegł meksykański ambasador De Aspiroz, który krzyżąc "czy strzelano do ciebie", padł do prezydenckich stóp, w przypływie ataku historii. McKinley obserwujący szamotaninę agentów ochrony z powalonym na ziemię zamachowcem, zakazał wyrządzenia mu jakiegokolwiek krzywdy, po czym stracił przytomność. Zamachowcem, który targnął się na życie prezydenta USA, był Leon Czolgosz.

PORTRET ZAMACHOWCA

Leon Czolgosz urodził się w 1873 r. w Detroit (Michigan). Jego ojciec, Paweł Czolgosz, był polskim emigrantem z zaboru rosyjskiego. Matka Leona osierociła go wczesnie, umierając w połogu po urodzeniu ósmego dziecka. Wkrótce potem, ojciec Leona ożenił się ponownie. Relacje

między Leonem a macochą, były bardzo złe i w dużym stopniu przyczyniły się do ukształtowania charakteru chłopca. Leon był dzieckiem cichym, spokojnym, bojaźliwym, mającym kłopoty w nawiązywaniu kontaktów z rówieśnikami. Leon miał pięciu braci i dwie siostry. Paweł Czolgosz, tuż przed narodzinami Leona, był zamieszany w sprawę zabójstwa przełożonego w pracy, ale niczego nie zdolał mu udowodnić. Po kilkuletnim pobycie w Detroit, Czolgoszowie udali się do Rogers City, a następnie Posen i Alpena (wszystkie w stanie Michigan), które to miejscowości były znacznymi skupiskami polskich imigrantów. Leon uczęszczał do szkoły przez 6 lat. Dzięki temu opanował niezłe angielski i wykształcił w sobie nawyk czytania. Był niewątpliwie najbardziej wykształconym i odczytanym spośród członków rodziny. W 1889 r. Czolgoszowie przenieśli się do Natrona (Pennsylvania), gdzie Leon znalazł swą pierwszą pracę w hucie szkła. Dwa lata później, po zawędrzeniu Czolgoszów do Cleveland (Ohio), Leon rozpoczął pracę w fabryce kabli. W 1893 r., pracując w tej fabryce, wziął udział w strajku robotników, żądających podwyżki płac. Po powrocie do pracy, chcąc uniknąć represji, Czolgosz postanowił posługiwać się przybranym nazwiskiem "Fred Nieman".

Ow strajk, miał także inne przełomowe w życiu Leona znaczenie. W jego trakcie, wraz ze swym starszym bratem Waldemarem, zaczął poddawać w wątpliwość zasady wiary katolickiej, której wyznawcą był do tego momentu gorliwym. Bezpośrednią przyczyną kryzysu wiary, były daremne modlitwy o znalezienie pracy. Wątpliwości zostały ugruntowane, po sprowadzeniu z Nowego Jorku biblii w języku polskim. Obydwaj bracia doszli do wniosku, iż treść biblii często nie pokrywa się z tym, co na kazaniach głosił ksiądz. Równoległe do kryzysu wiary rozwinęło się u Leona zainteresowanie socjalizmem. W 1894 r. zaczął uczęszczać na wykłady Antoniego Zwolińskiego, prowadzącego coś w rodzaju kółka samokształceniowego, dzięki którym zapoznał się z doktrynami anarchizmu i socjalizmu oraz ukształtował swe krytyczne poglądy na amerykański system polityczny i stosunki społeczne w USA. Szeroką dyskusji na tematy polityczne, w trakcie których poddawano ostrej krytyce amerykański rząd, finansjerę, ustrój kapitalistyczny, odbyło się na poddaszu sklepu spożywczego, który ojciec Leona zakupił w Cleveland (Ohio) w 1895 r.

Trzy lata później, Leon porzucił pracę w fabryce kabli i osiadł wraz z resztą swej rodziny na roli. Czolgoszowie zakupili 55 akrow (jeden akr = 0,43 hektara) gospodarstwo w Warrensville, 17 kilometrów od Cleveland. Leon polował na króliki, pomagał ojcu w gospodarstwie, handlował końmi, naprawiał sprzęt rolniczy, dużo czytał. Pewnego razu, natrafił w prasie lokalnej na artykuł, traktujący o zabójstwie króla włoskiego Umberta przez Gaetano Bresci, anarchiste z Paterson (New Jersey), najprężniejszego ośrodka anarchistów w USA. Czolgosz nauczył się całego tekstu artykułu na pamięć, czytając go wiele razy i przechowując go w swoim portfelu. Nie jest wykluczone, iż czytał on także "złotą prasę" magnata prasowego Hearsta, gdzie politykę i osobę McKinleya poddawano bardzo ostrej, niewybrednej krytyce, pozwalając sobie nawet na aprobacje ewentualnego zabójstwa, jako metody uwolnienia kraju od złego prezydenta.

Stosunki Leona z macochą systematycznie pogarszały się wraz z upływem czasu, co odbijało się na jego kondycji psychofizycznej. Zaczął cierpieć na hipochondrię, wyszukując w gazetach ogłoszenia, reklamujące różnorakie panacea na jego domniemane dolegliwości. Wydaje się, że z upływem czasu podpadł rzeczywistości na zdrowiu, nabawiając się kaszlu, chronicznego kataru, bladej cery. W marcu 1901 r. Leon zażądał od rodziny zwrotu 400 USD, które zainwestował w kupno rodzinnego gospodarstwa. Równocześnie zaczął opuszczać farmę, udając się na kilka dni "do miasta" lub "na mityngi". W trakcie jednego z takich wypadów do Cleveland, 6 maja 1901 r., Czolgosz udał się na wykład Emmy Goldman -

"papieżycy" amerykańskiego anarchizmu - najwybitniejszego teoretyka anarchizmu w USA. Słowa Goldmana głęboko utkwiły w pamięci Czolgosza.

W swym wykładzie, nakreśliła ona pokrótce zasady ideologii anarchistycznej, kładąc nacisk na postulat osiągnięcia przez jednostkę ludzką absolutnej wolności indywidualnej. Rząd, kościół, tradycja, przesady, to główne przeszkody, stojące na drodze do osiągnięcia tego celu. Goldman potępiła ideologię socjalistyczną, nie rezygnującą z koncepcji państwa oraz przestawiającą jednostkę ludzką w maszynę, której zadaniem jest jak najwięcej produkować. Równocześnie, podkreślając rolę edukacji i samokształcenia, odznęła się ona od przemocy jako środka do osiągania celów, nadmieniając jednakże, iż akty gwałtu dokonywane przez anarchistów nie mogą być przez nią potępione, gdyż zawsze wynikają one z chwalebnych i wzniosłych motywów. Stwierdziła, iż do aktów przemocy uciekają się jednostki wyjątkowo wrażliwe na krzywdę społeczną, które nie mogą ze spokojem znieść zła jakie się wokół nich dzieje.

Wkrótce po wysłuchaniu wykładu Emmy Goldman, Leon skontaktował się z Emilem Schillingiem, skarbnikiem organizacji anarchistycznej w Cleveland zwaną "Klub Wolności". Po rozmowie z Czolgoszem, Schilling doszedł do wniosku, iż jego rozmówca wykazuje się rewolucyjnymi poglądami na istotę kapitalizmu i obdarował go książką "Chicago Martyrs" (traktującą o zamieszkach w Chicago w maju 1886 r., spowodowanych robotniczymi żądaniem wprowadzenia 8-godzinnej dnia pracy) oraz kilkunastoma numerami anarchistycznego periodyku "Free Society". Właśnie owa literatura, jak również treść mowy Emmy Goldman z 6 maja 1901 r., w połączeniu z lekturą książki Edwarda Bellamy "Looking backward 2001", będącą futurystyczną wizją bezklasowego społeczeństwa przyszłości i zarazem niezwykle zjadliwą krytyką realiów społeczno-ekonomicznych przełomu XIX i XX wieku (zacytowany egzemplarz książki znalazł się wśród osobistych rzeczy Leona, na strychu gospodarstwa Czolgoszów w Worrensville, już po jego śmierci) miały decydujący wpływ na uformowanie się poglądów Leona i podjęcie przez niego decyzji o zabójstwie McKinleya.

Czolgosz spotkał się kilkakrotnie z Schillingiem. W trakcie rozmów z nim, dopytywał się czy anarchiści planują zabójstwo głowy państwa w najbliższym czasie, przywołując często w tym kontekście czyn Gaetano Bresci. Zażądał również od Schillinga listu polecającego, który miał mu ułatwić nawiązanie stałego kontaktu z Emma Goldman. Listu takiego nie otrzymał, jednakże dzięki przetartym przez Schillinga ścieżkom, zaczął wywierać wśród anarchistów z otoczenia Goldman (Abraham Zaak, Hipolit Havel), utyskując, w rozmowach z nimi, na pogarszającej się sytuacji politycznej w kraju, ucisk robotników, imperialistyczną politykę USA względem Filipin. Często, przy tym, dopytywał się o tajne plany organizacji anarchistycznej oraz czy szykuje się zamach na prezydenta. Zachowanie Leona do tego stopnia szbudziło podejrzliwość anarchistów z kręgu Emmy Goldman, iż ostatecznie - o ironio historii - uznano go za agenta-prowokatora i w jednym z numerów "Free Society" opublikowano stosowne ostrzeżenie z dokładnym opisem wyglądu Leona i jego zachowania.

W drugiej połowie lipca 1901 r., Czolgosz pojawił się w West Seneca (dalekie przedmieście Buffalo), gdzie wynajął pokój u Antoniego Kaczmarka, robotnika kolejowego narodowości polskiej. W domu Kaczmarków Leon przebywał do końca sierpnia, prowadząc bardzo spokojny, nierzucający się w oczy tryb życia, opuszczając swój pokój wczesnym rankiem i wracając do niego różnym wieczorem. Następnie udał się z krótką wizytą do Cleveland, gdzie być może spotkał się po raz ostatni z Schillingiem, po czym 31 sierpnia przybył do Buffalo. Tu, zatrzymał się w hotelu prowadzonym przez Jana Nowaka przy Broadway Street, w polskiej dzielnicy miasta. Czolgosz podał się za sprzedawcę pamiątek, zamierzającego zarobić trochę grosza na wystawie panamerykańskiej. Z początku nie chciał ujawnić swego nazwiska, po czym indagowany przez ciekawskiego pracownika hotelu Franka Walkowiaka, stwierdził, że nazywa się Fred Nieman i że jego niechęć do ujawnienia prawdziwego nazwiska, spowodowana była jego żydowskim pochodzeniem. Najpewniej właśnie ta skoliczność, jak również fakt obracania się przez pewien czas w towarzystwie wielu Żydów (którzy podobnie jak Włosi, byli nadreprezentowani w szeregach amerykańskich anarchistów tamtej doby) zdecydowały o

tym, iż niejednokrotnie Czolgoszowi przypisywano mylnie narodowość żydowską. Leon Czolgosz urodził się w rodzinie polskich emigrantów, jego ojczystą mową był język polski, był (do momentu porzucenia wiary) wyznawcą religii rzymsko-katolickiej, przebywał głównie w środowisku polskich emigrantów i ich potomków. Zaopatrzone w lokalną prasę - z dokładnymi harmonogramami wizyty McKinleya - Czolgosz przystąpił do sfinalizowania decyzji o zabójstwie prezydenta. Wczesnym popołudniem 4 września, w sklepie przy Main Street, Leon zakupił automatyczny, sześciostrefowy rewolwer marki Iver Johnson i zaraz potem udał się na stację kolejowa, mając nadzieję na dotarcie w bezpośrednie pobliże prezydenta i oddanie



strzałów. Plan ten jednakże spalił na panewce. Gęsty tłum uniemożliwił Leonowi przepchnięcie się na peron dworca. Następnego dnia, był znacznie bliżej wcielenia w życie swojego planu. W trakcie prezydenckiej przemowy, zdołał się przecisnąć - mimo ogromnego tłoku - pod podium, z którego przemawiał McKinley i już po zakończeniu oracji, gdy prezydent opuszczał trybunę, miał wyśmienitą okazję oddania do niego strzałów. Szczęśliwy dla prezydenta traf zdecydował o odstąpieniu przez Czolgosza od szykującej się egzekucji. Otóż McKinley, po opuszczeniu trybuny, zmierzał do oczekującego go powozu w towarzystwie Milburna. Obydwaj mężczyźni byli niemalże identycznie ubrani, mając na głowach cylindry. Czolgosz, nie będąc pewny który z nich jest prezydentem, nie pociągnął za spust. Dopiero następnego dnia los uśmiechnął się do zamachowca. Dostał się do świątyni muzyki i nie wzbudzając żadnych podejrzeń szczupłej ochrony, zdołał podejść do prezydenta, dzierżąc w okrytej chusteczką rękę gotowy do wypalenia rewolweru.

ŚMIERĆ PREZYDENTA

O godzinie 16.14., pod główną bramę świątyni muzyki zjechał elektryczny ambulans. Prezydenta, który w międzyczasie zdołał odzyskać świadomość, wyniesiono na noszach z budynku i ułożono w pojeździe, który następnie pojechał do prowizorycznego szpitala wystawy. W niecałe 20 minut po dokonany zamachu, prezydenta ułożono na stole operacyjnym w szpitalu, rozebrano i zaaplikowano zastrzyki morfiny w celu złagodzenia bólu. Równocześnie rozpoczęto gorączkowe poszukiwania i sprowadzanie do szpitala lekarzy, zdolnych podjąć się zadania postawienia diagnozy i zdecydowania o metodzie leczenia prezydenta. Jednym z pierwszych, którzy stawili się przy stole operacyjnym, był dr Mynter, chirurg, z którym McKinley spotkał się poprzedniego dnia. Dokonał on gruntownych oględzin ciała rannego i stwierdził, iż pierwsza kula nie wyrządziła żadnej szkody,

odbiwszy się od kości klatki piersiowej. Druga natomiast, trafiła w brzuch, 12 cm poniżej serca i ugrzęzła we wnętrzu ścian.

Dla Myntera było oczywiste, iż rana brzuszna stwarzała śmiertelne niebezpieczeństwo dla życia McKinleya i tylko szybka operacja dawała nadzieję na uratowanie pacjenta. Na polecenie prezydenta, Cortelyou - kierując się wskazówkami Milburna, znającego większość spośród sporego grona lekarzy, które zdołało się już zgromadzić w przedsiwniku sali operacyjnej - uczynił dr. Matthew Manna, światowej sławy ginekologa, jednakże o doświadczeniu chirurgicznym, odpowiedzialnym za podjęcie decyzji o metodzie postępowania i leczenia rannego prezydenta. Po krótkiej konsultacji z udziałem wszystkich zgromadzonych lekarzy, Mann podjął decyzję o konieczności natychmiastowej operacji. Zespół operacyjny stanowili: dr Mann, dr Mynter, dr Lee - lekarz z St. Luis, zwiędający ekspozycję - oraz dr Parmenter, profesor anatomii i chirurgii klinicznej na uniwersytecie w Buffalo.

Tak się nieszczęśliwie złożyło, iż najlepszy chirurg w Buffalo, dr Roswell Park, autor podręcznika chirurgii znanego w całym świecie (obecnie zespół klinik w Buffalo, specjalizujących się w chirurgii serca, nosi jego imię), w momencie zamachu przebywał w Niagara Falls, dokonując skomplikowanej operacji. Milburn wyekspediował po niego specjalny pociąg, tym niemniej Park pojawił się przy prezydencie pod sam koniec zabiegu i tym samym nie miał na jego przebieg żadnego wpływu. Po zaaplikowaniu prezydentowi eteru, Mann dokonał siedmiocentymetrowego cięcia w miejscu otworu rany postrzałowej. Ów z pozoru prosty zabieg, nastąpił sporo trudności ze względu na grubą warstwę tłuszczu pokrywającą tułów prezydenta. W trakcie nacinania tkanki, natrafiono na mały fragment tkaniny z podkoszulka, wtłoczony w ciało rewolwerowym pociskiem. Po otwarciu jamy brzusznej okazało się, iż narządy wewnętrzne nie zostały uszkodzone. Po opatrzeniu i osuszeniu ran ściany żołądka, Mann zdecydował o zakończeniu operacji, przepłukując roztworem solnym jamę żołądkową, zaszywając ranę i zarzucając próbę zlokalizowania i wydobycia pocisku - który ugrzązł gdzieś w mięśniach lędźwiowym i nie stanowił bezpośredniego zagrożenia życia - ze względu na zbyt duże ryzyko wystąpienia komplikacji.

Zabieg przebiegał w warunkach więcej niż prowizorycznych. Szpital ekspozycji był tylko szpitalem z nazwy. De facto pełnił on rolę izby lekarskiej, gdzie poddawano opiece zwiędających wystawę, u których wystąpiły drobne problemy ze zdrowiem. Na smutną ironię losu zakrawa fakt, iż sala operacyjna szpitala wystawy, iluminowanej do przesyady światłem elektrycznym, nie była należycie oświetlona. Dokonujący operacji polegać musieli na świetle naturalnym, sączącym się przez szyby budynku. W celu jak najlepszego jego wykorzystania, jeden z lekarzy, stojący przy oknie ze sporych rozmiarów lustrem, nakierowywał snop światła na tułów operowanego prezydenta. Kto w dzieciństwie "puszczał zajączki" lusterkiem, wie o czym mowa. Operujący lekarze nie przestrzegali należycie zasad antyseptyki, nawet tych obowiązujących w 1901 r. Dr Mann operował z odkrytą głową, bez siatki na włosach i czepka. Co chwila jedna z pielęgniarek ocierała mu zroszone potem czoło. Mimo to, kilka razy krople potu z jego czoła spadły do rany prezydenta. Ten karygodny i jakże zarazem odrażający fakt, miał się stać - w opinii dr. Parka - przyczyną późniejszych komplikacji ze stanem zdrowia McKinleya.

Jak wspomniano, tuż przed zakończeniem operacji, do szpitala przybył lekarz z Niagara Falls dr Park. Objął on - de facto - rolę lekarza odpowiedzialnego za leczenie prezydenta, powołując zespół konsultacyjny, składający się z lekarzy uczestniczących w operacji. O godz. 19.30 przewieziono McKinleya ambulansem do domu Milburna, gdzie oczekiwała go powiadomiona o wszystkim, przybita smutkiem, Ida McKinley. O godz. 21.00 zespół konsultacyjny lekarzy wydał pierwszy komunikat o stanie zdrowia prezydenta, w którym stwierdzono, iż zniósł on dobrze operację i że stan jego zdrowia rokuje optymistycznie na przyszłość. Rozpoczął się okres rekonwalescencji McKinleya. Rodzina Milburnów, udostępniła całą swą posesję rannemu prezydentowi i jego otoczeniu, zakwaterowując się w jednym z buffalońskich hoteli. Dom przy Delaware Avenue został otoczony kordonem wojska, w jego wnętrzu zainstalowano aparaty telegraficzne, na przyległych do posesji klombach

"rozłożyli się obozem" dziennikarze, żądni wieści o stanie zdrowia prezydenta, które w kilkugodzinnych odstępach były ogłaszane w postaci komunikatów wydawanych przez zespół konsultacyjny lekarzy. Napawały one optymizmem. Stan zdrowia McKinleya zdawał się polepszać z każdym mijającym dniem.

Do Buffalo tymczasem, przybyli wszyscy bliscy współpracownicy McKinleya. Senator Hanna, prokurator generalny Philander Knox, sekretarz stanu John Huey, sekretarz obrony Elihu Root oraz - przede wszystkim - wiceprezydent Theodore Roosevelt, który w wypadku śmierci McKinleya miał stanąć u steru nawy państwowej. 12 września stan zdrowia prezydenta był na tyle dobry, iż Roosevelt po konsultacjach z lekarzami, zdecydował się opuścić Buffalo, udając się na wycieczkę w góry Adirondack (północno-wschodnia część stanu Nowy Jork). Równocześnie tego samego dnia, komitet wystawy panamerykańskiej, powodowany pragnieniem zatarcia złego odium, które zawisło nad ekspozycją i Buffalo w następstwie zamachu, postanowił zorganizować uroczyste obchody "dnia McKinleya", celem uczczenia powrotu do zdrowia rannego prezydenta.

Wieczorem 12 września, wydany komunikat lekarski obwieścił lekkie pogorszenie się stanu zdrowia pacjenta. McKinley nie był w stanie strawić podanego mu, po raz pierwszy po operacji, doustnego posiłku. Zaaplikowany olej rycynowy spowodował opróżnienie żołądka. Jednakże w nocy z 12 na 13 września stało się jasnym, iż kłopoty z trawieniem nie są jedynym problemem. Tętno pacjenta uległo znacznemu przyspieszeniu przy jednoczesnym osłabieniu pracy serca. O 3.00 w nocy do domu Milburna przybył dr Park. Rozpoczęto gorączkowe poszukiwania Roosevelta, który przepadł gdzieś w dziewiczym zakątku gór Adirondack. Do Buffalo - w związku z zaistniałym kryzysem zdrowia prezydenta - wyjechał specjalnym pociągiem senator Hanna, który dopiero co wrócił z Buffalo do Cleveland, uspokojony poprawą zdrowia swego pupila. 13 września o godz. 17.00 McKinley został porażony atakiem serca. Trzy godziny później prezydent - świadomy bliskiego końca - pożegnał się z żoną, po czym wkrótce utracił świadomość. Zgon nastąpił 14 września o godz. 2.10 w nocy. Przed śmiercią - z nieświadomym już prezydentem - pożegnali się członkowie najbliższej rodziny oraz jego współpracownicy, z wyjątkiem Roosevelta, którego nie udało się na czas sprowadzić z ostępów Adirondack.

Śmierć prezydenta przyszła nagle i niespodziewanie i wprawia w stan szoku opinię publiczną, nieprzygotowaną na taki scenariusz wydarzeń bardzo optymistycznymi komunikatami lekarskimi. Zaczęto spekulować, iż stan zdrowia McKinleya od samego początku nie rokował większych nadziei, że komunikatami lekarskim celowo nadawano zbyt optymistyczny ton, że dr Mann nie sprostał zadaniu, że dr Park przeprowadziłby operację znacznie lepiej. Wyszło na jaw, iż 12 września lekarze wykryli obecność postępującej gangreny w ranie prezydenta. Powodowany tym faktem Cortelyou, sprowadził od Tomasza Alvy Edisona najnowocześniejszy w USA aparat rentgenowski, celem dokładnego umiejscowienia kuli tkwiącej w łędźwiach, która mogła być przyczyną gangreny. Zlokalizowanie pocisku się nie powiodło, zresztą zespół lekarski ciągle trwał przy swym pierwotnym stanowisku, iż próba usunięcia kuli przyniosłaby więcej szkód niż pożytku.

Ciało prezydenta złożono w mahoniowej trumnie - w połowie spowitej amerykańską flagą - i wystawiono na katafalku w salonie posesji Milburnów. Górna część trumny pozostawała odkryta, tak więc przybywający do salonu mieli możliwość oglądania zwłok McKinleya, ubranych na czarno, z głową spoczywającą na białej, satynowej poduszce. Jego twarz była wykrzywiona grymasem bólu, świadczącym o cierpieniach jakich doświadczył w ostatnich chwilach życia. 15 września rano, po odprawieniu krótkiego nabożeństwa prezbiteriańskiego, trumnę, eskortowaną przez poczet żołnierzy, przewieziono do hali reprezentacyjnej buffalońskiego ratusza czarnym karawanem, ciągniętym przez zaprzęg czarnych jak smoła flamandzkich koni. Wystawiona na wyniosłym katafalku, w otoczeniu warty honorowej, pozostawała tam do rana następnego dnia, adorowana przez polityków i dygnitarzy z otoczenia McKinleya oraz mieszkańców Buffalo, których tysiące przewinęło się przez halę ratusza.

16 września rano, specjalny pociąg z trumną prezydenta wyruszył z Buffalo do Waszyngtonu. Wzdłuż torów ustawiły się wielotysięczne tłumy, modlące się, śpiewające religijne pieśni. W miejscowościach, przez które przejeżdżał pociąg, bito w dzwony. Wieczorem, gdy

pociąg zbliżał się do stolicy, Murzyni w Maryland rozpalili wzdłuż torów setki ognisk. Po przybyciu do Waszyngtonu trumnę przewieziono do Białego Domu. Następnego dnia, z samego rana, w ulewny deszczu, czarny karawan eskortowany przez kawalerzystów z wyciągniętymi szabłami, ciągnięty przez szóstkę czarnych koni okrytych czarnymi kapami, każdy trzymany za uźdę przez Murzyna



we fraku i w jedwabnym cylindrze, zawiózł trumnę prezydenta do budynku Kapitolu. W hali rotundy pozostawała ona do następnego dnia, adorowana przez rodzinę prezydenta, polityków, korpus dyplomatyczny i tysiące mieszkańców stolicy. 18 września, zwłoki prezydenta przewieziono pociągiem do Canton (Ohio) i złożono w krypcie McKinleyów na miejscowym cmentarzu. W uroczystościach pogrzebowych w Canton, wzięło udział około 100 tysięcy ludzi.

Wiceprezydent Theodore Roosevelt, uspokojony optymistycznymi komunikatami lekarskimi o stanie zdrowia prezydenta, udał się na wycieczkę w góry Adirondack, w okolicy najwyższego szczytu tych gór: Mt Marcy. Z chwilą nagłego pogorszenia się stanu zdrowia McKinleya, zorganizowano pospiesznie małą ekspedycję, w celu odnalezienia Roosevelta. Powrót Roosevelta do Buffalo miał dramatyczny przebieg. Najpierw, wiceprezydent z towarzyszącą mu asystą, odbył wyczerpującą, kilkunastokilometrową marszobieg, ze szczytu Mt Marcy do miejsca gdzie oczekiwał na niego podstawiony powóz konny. Później, miała miejsce całonocna, pięćdziesięciokilometrowa jazda po górskich bezdrożach, zamienionych w potoki rwącej wody, z powodu oberwania chmury, które akurat się przytrafiło. Na stacji kolejowej w North Creek - gdzie Roosevelta poinformowano o śmierci McKinleya - oczekiwał specjalny skład, który czym prędzej powiózł wiceprezydenta do Buffalo. Roosevelt przybył do miasta wczesnym popołudniem 14 września. Zatrzymał się - jak poprzednio - w domu swojego przyjaciela Ansleya Wilcoxa, ulokowanym przy Delaware Avenue, niedaleko od posesji Milburnów. Następnego dnia, w bibliotece rezydencji Wilcoxa, odbyła się skromna i naprędce improwizowana ceremonia zaprzysiężenia Roosevelta jako nowego prezydenta USA.

PROCES ZABÓJCY

Obezwładnionego i ciężko poturbowanego Czolgosa, zawleczono do jednego z salonów świątyni muzyki, gdzie położono go na stole i poddano rutynowemu przeszukaniu. Tymczasem wieść o zamachu, rozleżała się lotem błyskawicy po całym Buffalo, wprawiając wszystkich naprzód w stan osłupienia, szybko przechodzącego w wielu w gniew i pragnienie zemsty na zamachowcu. Przerwano wszystkie imprezy odbywające się na terenie ekspozycji. Tłumy ludzi zaczęły gromadzić się wokół świątyni muzyki. Rozległy się okrzyki domagające się linczu na zamachowcu. Specyficznej grozy całej sytuacji dodali Indianie w pióropuszcach i z tomahawkami w ręku, którzy

pojawił się w sporej grupie pod świątynią muzyki, wykrzykując "zabili wielkiego białego ojca". W takiej sytuacji, postanowiono jak najszybciej przetransportować Czolgosa do głównego komisariatu policji w Buffalo. Ambulansowi więziennemu wiozącemu Czolgosa, towarzyszyło liczne grono cyklistów, podążających tuż za powozem i domagających się głośno głowy zamachowca. W komisariacie poddano Czolgosa skrupulatnemu przesłuchaniu. Nie ujawniając swego prawdziwego nazwiska (podając się ciągle za Frieda Niemana), przedstawił on swój zyciorys, podał motywy (ideologia anarchistyczna) swego czynu, inspiację (słowa Emmy Goldman) oraz oświadczył, iż zamachu na prezydenta dokonał sam, bez żadnych pomocników. W trakcie przesłuchania, na zewnątrz budynku komisariatu zgromadził się kilkutyśny tłum, domagający się natarczywie złinczowania zamachowca. Pod komisariat ściągnięto kilkuset policjantów, którzy po krótkiej ale intensywnej szarpaninie, zdolali rozprężyć demonstrantów i zapanować nad sytuacją. W areszcie policyjnego komisariatu Czolgosz przebywał do 15 września. Tego dnia, w obawie przed ciągle istniejącym zagrożeniem linczem, przewieziono go dyskretnie do więzienia w Buffalo, gdzie samosąd ze strony rozjuszonego tłumy przestał mu wreszcie grozić.

Dwa dni po śmierci McKinleya, decyzją grand jury, Czolgosz został oskarżony o zabójstwo prezydenta i tym rozpoczęło się postępowanie karne przeciwko niemu. 23 września stanął przed sądem okręgowym (the county court) w Buffalo. Następnego dnia ława przysięgłych uznała go winnym zarzucanego mu czynu. Taki wyrok oznaczał wyrok śmierci. Proces Czolgosa przed sądem, trwał krócej niż dwa dni i był jedną, wielką kompromitacją amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości. Przed wszystkim Czolgosz przez 10 dni (zdecydowanie zbyt długi okres czasu) pozostawał w areszcie (był pozbawiony wolności) bez postawienia mu zarzutów popełnienia przestępstwa. Prokurator nadzorujący postępowanie przeciwko Czolgoszowi tłumaczył się później, iż funkcjonariusze organów ścigania nie przedstawili Czolgoszowi zarzutów zaraz po zdarzeniu, ze względu na nieznaną wówczas rezultat zamachu. Gdyby McKinley przeżył, zarzuty postawione Czolgoszowi miałyby inny charakter niż te, które ostatecznie postawiono mu po śmierci McKinleya.

Tłumaczenie takie nie wytrzymuje krytyki. Czolgoszowi bowiem, należało postawić zarzut usiłowania zabójstwa (bądź też nielegalnego posiadania broni palnej) zaraz po jego schwytaniu, modyfikując go odpowiednio po śmierci McKinleya, poprzez zarzucenie mu dokonania zabójstwa głowy państwa. Tym sposobem, unikniętoby ambarasującej sytuacji przetrzymywania przez 10 dni w areszcie (pozbawienie wolności) osoby teoretycznie wciąż niewinnej. Poza tym, procedura selekcji członków ławy przysięgłych, którzy uznali Czolgosa winnym zabójstwa, pozostawała wiele do życzenia. Selekcja członków ławy przysięgłych, to proces bardzo skomplikowany i długi. Potencjalni przysięgli są przesłuchiwanymi przez obydwie strony procesowe (obrona, oskarżenie) i veto którejkolwiek ze stron, eliminuje danego kandydata. Selekcja owa zabiera zazwyczaj kilka tygodni, niekiedy kilka miesięcy. W przypadku procesu Czolgosa, skład ławy przysięgłych skompletowano w ciągu trzech godzin. Wszyscy z wybranych przysięgłych - z wyjątkiem jednego - przyznali się w trakcie bardzo krótkich przesłuchań, do posiadania ugruntowanej opinii w sprawie, znajdując Czolgosa winnym zarzucanego mu czynu i zarazem oświadczając, iż solidne dowody przemawiające za niewinnieniem oskarżonego, byłyby w stanie zmienić ich pogląd.

Praktyką powszechnie stosowaną tak wówczas jak i dziś, jest eliminowanie kandydatów, dla których wina oskarżonego jest przesądzona przed rozpoczęciem procesu. W przypadku procesu Czolgosa, od owej praktyki - niestety - odstąpiono. Przewinienie przesądzenia sprawy przed zapadnięciem wyroku (contempt of the court - w Wielkiej Brytanii istnieje zakaz takiego postępowania, obwarowany sankcjami karnymi za jego naruszenie) dopuściła się także prasa, zwłaszcza w kontekście zapewnienia amerykańskiej opinii publicznej o poczynałości umyslowej oskarżonego i niewystępowaniu u niego żadnej choroby umyslowej. obrońców z urzędu - Czolgosz nie miał prywatnych adwokatów - wyznaczył sąd dopiero 10 dni po aresztowaniu Czolgosa, w momencie przedstawiania mu zarzutów. Wyznaczeni obrońcy - Laron L. Lewis i Robert G. Titus - byli byłymi sędziami, bardzo sędziwymi, od wielu lat na emeryturze, których intelektualne możliwości z całą pewnością nie znajdowały

się w stanie rozkwitu. Nie pokwapili się oni porozmawiać z oskarżonym, w sądzie nie komunikowali się z nim, ich inicjatywa dowodowa była równa zeru, nie wnieśli oni o przesłuchanie ani jednego świadka obrony. W swych zalosnych "mowach obrończych", rejterowali oni od meritum sprawy, wygłaszając peany pod adresem zmarłego prezydenta oraz amerykańskiego wymiaru



sprawiedliwości, zapewniającemu oskarżonemu "uczciwy i bezstronny" proces, mimo ohydneho charakteru jego czynu.

Największą jednak gafą popełnioną przez nich, było niepodniesienie kwestii poczytalności ich klienta. Człogosz, dwa dni po zamachu, został poddany na polu oficjalnym badaniom przez zespół buffalońskich psychiatrów, którzy kierując się głównie przesłankami frenologicznymi (kształt czaszki determinuje obecność lub brak choroby psychicznej lub upośledzenia) doszli do wniosku, iż nie jest on upośledzony bądź cierpiący na chorobę psychiczną i jako taki może stanąć przed sądem. Ów werdykt przesądził o uznaniu Człogosza za zdrowego psychicznie także przez jego obrońców. Już po procesie, szereg znanych psychiatrów, poddało w wątpliwość słuszność owej diagnozy, wskazując szczególnie na śmierć matki Człogosza gdy miał on 12 lat oraz bardzo złe relacje z macochą, jako na źródło jego ewentualnych zaburzeń psychicznych.

Dwa dni po zakończeniu procesu - 26 września 1901 r. - Człogosza przewieziono z więzienia z Buffalo do zakładu karnego w Auburn (około 200 km na wschód od Buffalo), gdzie miał oczekiwać na wykonanie wyroku. Na dworcu w Auburn, Człogosza, wysiadającego w towarzystwie licznej eskorty, oczekiwał kilkudziesięcny tłum, usiłujący dokonać linczu na jego osobie. Silne posiłki policji, zapobiegły takiemu scenariuszowi wydarzeń. Po znalezieniu się we wnętrzu więziennego gmachu, Człogosz - do tej pory dzielnie i z godnością znoszący swój los - załamał się, dostał ataku hysterii, osunął się na podłogę i zaczął się po niej wiać. Po przywiązaniu do łóżka i zaaplikowaniu środków uspokajających, zdołał po kilku godzinach odzyskać panowanie nad sobą. Datę egzekucji wyznaczono na 29 października 1901 r. Do tego momentu skazanego poddano ścisłemu nadzorowi, chcąc uniemożliwić mu wymknięcie się wymiarowi sprawiedliwości poprzez popełnienie samobójstwa, tak jak to uczynił idol Człogosza, zabójca króla Umberta, Gaetano Bresci.

Wykonanie wyroku odbyło się zgodnie z wyznaczonym terminem. Skazanego porażono prądem o napięciu 2700 V, przepuszczonym dwukrotnie przez jego ciało. W chwili przytracania do elektrycznego krzesła, Człogosz usiłował wygłosić krótką przemowę o motywach swojego czynu i ideach anarchistycznych, jednakże jeden ze skórzanych pasów, którym został przywiązany do krzesła elektrycznego, dosłownie zakneblował mu usta, uniemożliwiając wygłoszenie krótkiej deklaracji. Człogosz był 50 skazańcem, który stracił życie na krześle elektrycznym w więzieniu w Auburn. Ten sposób egzekucji był wówczas absolutnym novum i uchodził za bardzo humanitarny. Władze więzienia w Auburn, mimo

usiłnych zabiegów jego brata Waldemara, nie zgodziły się na wydanie zwłok rodzinie. Pierwotnie, uniwersytetowi Cornell w Ithaca została obiecana czaszka Człogosza, a uniwersytetowi w Syracuse jego ciało. Jednakże chcąc uniknąć anarchistycznych pielgrzymek do grobu zamachowca, naczelnik więzienia w Auburn nakazał pochówek zwłok skazańca na przywiezionym cmentarzu, po uprzednim złożeniu ich do metalowej trumny, a następnie rozpuszczeniu kwasami żrącymi. Rzeczy osobiste Człogosza zostały spalone.

NASTĘPSTWA ZAMACHU

Konsekwencje zabójstwa McKinleya były wielorakie. Przede wszystkim - automatycznie - na stanowisko prezydenta został katapultowany dotychczasowy wiceprezydent Theodore Roosevelt. Było w tym fakcie sporo ironii losu. Roosevelt został "wmanewrowany" na niewiele znaczące stanowisko wiceprezydenta, przez wszechwładnego bossa partii republikańskiej senatora Hanne, który dokonując takiego "posunięcia" liczył na zneutralizowanie niesforenego - zbyt niezależnego jego zdaniem - "kowboja" i pozbawienie go wpływu na bieg wydarzeń. Za przyczyną czynu Człogosza, stało się dokładnie odwrotnie. Prezydentura Roosevelta (dwie kadencje 1901 - 1909 r.) różniła się zasadniczo od poprzednich i stanowi ona swoista cezurę w amerykańskiej historii. Theodore Roosevelt wydał wojnę wielkim koncernom - trustom, monopolizującym poszczególne sektory gospodarki i dzielące pomiędzy siebie strefy wpływów. Najbardziej spektakularnym osiągnięciem w tym względzie, było rozwiązanie w 1912 r. - już po ustąpieniu Roosevelta - koncernu naftowego Standard Oil Company.

Za prezydentury Roosevelta, pojawiły się także pierwsze federalne akty prawne, regulujące warunki higieniczne przetwórstwa żywności i jakość artykułów żywnościowych. To także Roosevelt powołał do życia departament handlu i pracy, z Cortelyou jako jego pierwszym sekretarzem, jak również ustanowił szereg parków narodowych na terenie USA. Jak widać z powyższych przykładów, skromny, tym niemniej zauważalny interwencjonizm państwowy, był znamioną cechą tej prezydentury. Trzydzieści lat później, bratanek Teodora, Franklin Delano Roosevelt, przystępując do realizacji polityki "new deal", będzie się wzorował na polityce swego sławnego stryja.

W zakresie polityki zagranicznej, prezydentura Roosevelta zaznaczyła się - przede wszystkim - interwencją amerykańską w Kolumbii, skutkującą powstaniem nowego państwa (Panama), które scedowało na rzecz USA, prawa do budowy i posiadania kanału przez jego terytorium (jego otwarcie nastąpiło w 1914 r.) oraz pośrednictwem Roosevelta w konflikcie rosyjsko - japońskim 1904/1905 r., zakończonym podpisaniem pokoju w Portsmouth (New Hampshire) w 1905 r. Za swą rolę w zakończeniu tego konfliktu, Roosevelt, wojak z krwi i kości (jego ulubione powiedzenie brzmiało: "jeżeli chcesz daleko zajść, dzierz w rękę grubą kij i miej usta pełne pięknie brzmiących frazesów"), otrzymał w 1906 r. nagrodę pokojową Nobla. Bezpośrednio po zamachu na McKinleya, przez USA przetoczyła się fala pogromów. Anarchistów (lub osoby - często niesłusznie - podejrzewane o anarchizm), bito, wypędzano z miast, upokarzano starym, amerykańskim sposobem "to tar and feather" (polegającym na obnażeniu do naga, oblaniu smołą, obsypaniu pierzem i wypędzeniu z danej miejscowości przy akompaniamencie "kociej muzyki") zatrzymywano w areszcie bez żadnego uzasadnionego powodu, obrzucano obelgami, zmuszano groźbą do wyprowadzenia się z domu, czy też z danej miejscowości. Pojawiły się poważne postulaty przymusowego wyekspediowania anarchistów na wyspy Pacyfiku, a senator Joseph Hawley publicznie zaferował nagrodę 1000 USD za zastrzelenie anarchysty.

Na organizowanych antyanarchistycznych wiecach, palono lub wieszano kukły Człogosza, Goldman i - o ironii losu - magnata prasowego Williama Randolpha Hearsta. Tego ostatniego, powszechnie oskarżano o "sprovokowanie" Człogosza do popełnienia haniębnego czynu. Rzecz w tym, iż w jednej z podległych Hearstowi brukowych gazet, na kilka miesięcy przed zamachem, pojawił się artykuł bardzo napastliwy w tonie, wylewający kubły pomoy na McKinleya i sugerujący, iż lepiej byłoby dla całego kraju, gdyby prezydent długo nie żył. Imperium prasowe Hearsta znacznie ucierpiało w następstwie zamachu. "Złota prasa" konkurencji - w myśl zasady "bij mistrza" - nie zostawiła suchej nitki na przeciwniku. Sam Hearst, w

obawie o swe życie, wynajął silną ochronę i zaczął nosić przy sobie automatyczny rewolwer.

Na fali antyanarchistycznej hysterii, policja aresztowała cały szereg mniej i bardziej znanych anarchistycznych działaczy, w tym także Emmę Goldman. Próba udowodnienia jej współudziału w zamachu spełzła na niczym i po trzech tygodniach opuściła ona areszt. W udzielonym zaraz potem wywiadzie, zadeklarowała gotowość opieki nad rannym prezydentem (była z zawodu pielęgniarką), oświadczając iż McKinley jako osoba (a nie reprezentant wrogiego ustroju) zasługuje na sympatię i współczucie. Z drugiej strony jednak, wyzywająco nie potępiła ona zamachu na prezydenta, stwierdzając, iż Człogosz jest jedną z tych wrażliwych jednostek ludzkich, które doprowadzone do rozpacz niesprawiedliwością, krzywdą i uciskiem ustroju, w którym przyszło im żyć, nie wahają się uciec do tak desperackiego posunięcia, jak targnięcie się na życie prezydenta państwa. Emma Goldman - wraz z szeregiem innych anarchistów - została ostatecznie deportowana z USA w 1919 r., jako osoba zagrożająca porządkowi społecznemu państwa. Jej "rola" w zamachu na prezydenta, niewątpliwie przyczyniła się do podjęcia przez władze amerykańskie decyzji o banicji.

W następstwie czynu Człogosza, w większości stanów USA, stanowe legislatury wprowadziły zakaz szerzenia ideologii anarchistycznej, opatrzone surowymi sankcjami karnymi za jego nieprzezwyciężenie. Co więcej, od 1903 r., przybywający do USA imigranci, musieli deklarować się co do tego, czy wyznają ideologię anarchistyczną. Podejrzenie o bigamię, prostytucję, anarchizm oraz cierpienie na określone choroby, mogło stanowić podstawę (do czasów wprowadzenia kwot imigracyjnych po I wojnie światowej) odmówienia imigrantom europejskim prawa wstępu na terytorium USA, przez władze amerykańskie.

Zabójstwo McKinleya i antyanarchistyczny "uraz" jaki dał się zauważyć w USA w jego następstwie, miały znaczący wpływ na przebieg procesu Sacco i Vanzettiego, dwóch włoskich robotników, sympatyków anarchizmu, oskarżonych o zabójstwo przełożonego z pracy w celach rabunkowych. Proces trwał 7 lat (1921-1927) i zakończył się skazaniem na śmierć (wyrok wykonano) obydwu oskarżonych. Proces ów - najbardziej znana sprawa karna w USA okresu międzywojnia - był bardzo tendencyjny (nie uwzględniono szeregu okoliczności przemawiających na korzyść oskarżonych) i tak jak w przypadku procesu samego Człogosza, może on służyć jako przykład kompromitacji amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości.

W 1977 r. gubernator Massachusetts anulował wyroki z 1927 r. i zrehabilitował obydwu skazanych. McKinley był trzecim prezydentem USA (po Abrahamie Lincolnie i Arthurdzie Garfieldzie), który zginął z rąk zamachowca pełniąc swój urząd. Jego tragiczna śmierć, ostatecznie przesądziła o zapewnieniu przyszłemu prezydentom USA należytej ochrony osobistej. Kongres wyasygnował na ten cel odpowiednie kwoty pieniędzy, wprowadzono drobiazgowy procedury postępowania, pełne zakazów i nakazów, do których przestrzegania zobowiązani byli wszyscy, włącznie z samym prezydentem. Co prawda, następca McKinleya, Theodore Roosevelt, nagninnie łamał - ku rozpaczy swych współpracowników i agentów ochrony - wprowadzone obostrzenia, stając się zresztą celem dla zamachowca w 1912 r., tym niemniej kolejni prezydenci w zasadzie podporządkowali się nowym regulacjom.

Zabójstwo McKinleya spowodowało male trzęsienie ziemi na nowojorskiej giełdzie. Pojawiło się nagle na horyzoncie widmo zapaści ekonomicznej, tym niemniej dzięki zabiegom J.P. Morgana (finansista, z początkiem XX wieku kontrolował całą Wall Street), po krótkim okresie paniki sytuacja wróciła do normy. Nic natomiast nie zdołało uratować wystawy panamerykańskiej. W następstwie zamachu, do Buffalo przylgnęła wątpliwa sławy etykieta miasta, w którym zamordowano prezydenta USA (nawiasem mówiąc, owa negatywna aura w jakimś stopniu ciągle unosi się nad miastem, w związku z czym, organizatorzy uroczystości upamiętniających 100 rocznicę ekspozycji panamerykańskiej, starali się nie eksponować najbardziej znanego zdarzenia tej imprezy), co w połączeniu z nadejściem jesieni i pogorszeniem się pogody, wpłynęło na znaczny spadek liczby zwiedzających.

Komitet wystawy z Milburnem na czele, usiłował za wszelką cenę odwrócić ów trend, organizując 1 listopada 1901 r., cykl imprez pod zbiorczą nazwą "dnia Buffalo". Przedsięwzięcie zakończyło się fiaskiem. Burmistrz Buffalo nie ogłosił wolnego od pracy dnia dla swoich

podwładnych, podobnie jak i większość lokalnych przedsiębiorców. Dyrektor buffalonskiego przedsiębiorstwa tramwajowego, odmówił obniżki ceny za bilety z centrum miasta na teren wystawy. Fatum zawisło nad ekspozycją. Pod koniec "dnia Buffalo", żadny zniszczenia tłum - z powodów bliżej nie znanych - zdemolował szereg obiektów wystawy. Wystawie zaczęła zagrażać perspektywa finansowego krachu. Milburn udał się do Waszyngtonu, zabiegać w kongresie o wsparcie finansowe, jednakże jego trud nie przyniósł żadnych efektów i wystawa stanęła w obliczu bankructwa.

W grudniu 1901r., obiekty wystawy zostały sprzedane Harris Wrecking Company z Chicago, firmie zajmującej się eksploatacją złomu i surowców wtórnych. Powołany komitet obywatelski, którego celem było uratowanie od zniszczenia wieży elektrycznej, nie zdołał zebrać odpowiedniej kwoty na jej wykupienie. Ocalał tylko posąg ze szczytu wieży (bogini światła), który nabyła firma z Cleveland wytarzająca popcorn.

Zabójstwo McKinleya wywarło decydujący wpływ na losy Johna Nepomuka Schranka. Następnego dnia po śmierci



prezydenta, Schrankowi - nowojorskiemu barmanowi - przytrafił się dziwny i zarazem makabryczny sen. W owym śnie, McKinley powstał z trumny i wskazując palcem na Roosevelta nazwał go swym mordercą. Koszmar ów przesłał Schranka przez następną dekadę. W jedenastą rocznicę śmierci McKinleya - 14 września 1912 r. - w okresie gdy Roosevelt ubiegał się po raz trzeci o prezydenturę, Schrank doświadczył - tym razem na jawie - swego rodzaju wizji. Duch McKinleya pojawił się przed oczami natchnionego barmana, nakazując mu zapobieżenie wyborowi Roosevelta na prezydenta USA. Schrank, przekonany o powierzeniu mu dziejowej misji do spełnienia, zakupił automatyczny rewolwer i ruszył śladem prowadzącego intensywną kampanię wyborczą Roosevelta. Dnia 14 października 1912 r., w Milwaukee (Wisconsin), w chwili gdy Roosevelt opuszczał hotel, w którym się zatrzymał na czas kampanii wyborczej w mieście, Schrank zdołał się do niego zbliżyć na odległość wyciągniętej ręki i oddać pojedynczy strzał. Kula trafiła w pierś eksprezydenta, jednakże utkwiała - szczęśliwym zbiegiem przypadku - w grubym rękopisie mów wyborczych i futerales okularów, które znajdowały się w wewnętrznej kieszeni jego kamizelki. Zamachowca, po schwytaniu, poddano badaniom psychiatrycznym i zdiagnozowano jako chorego psychicznie, cierpiącego na manię wielkości. Resztę swego życia spędził on w szpitalu psychiatrycznym. W 1940 r., gdy bratanek Theodora Roosevelta - Franklin Delano Roosevelt - ubiegał się o trzecią prezydenturę, Schranka, na wszelki wypadek, zamknięto na kilka miesięcy w pojedynczy celi.

Artur Ziąja /zamieszczono bez wiedzy autora - przepraszamy/
Tu możesz zobaczyć egzekucje Człogorza nakreślona przez Edinsona <http://www.theelectricchair.com/realmedia/czolgosz.ram>

Przy opracowywaniu wykorzystano: Babcock Louis L. "The Assassination of President William McKinley" Niagara Frontier Miscellany, nr.34, 1947.

Fischer Jack C. "Stolen Glory The McKinley Assasination" La Jolla, 2001.

Goldman Emma. "Living My Life" New York, 1931.

Przytoczona mowa końcowa została wygłoszona w 1883 r. w Lyonie podczas procesu 66 anarchistów

Zaraz powiemy, coż to takiego anarchia i kim to są anarchiści. Anarchiści, panowie są to ci obywatele, którzy w wieku w którym głosi się wszędzie wolność opinii, uznali za swój obowiązek zaświadczyć o wolności nieograniczonej. Tak panowie, jesteśmy wobec świata, kilkoma tysiącami, może kilkoma milionami bo przecież nie stawiam sobie jednego zadania niż mówić głośno to, o czym tłum poszeptuje. Jesteśmy więc paru milionami pracowników, którzy poświęcają się walce o wolność absolutną, nie więcej tylko wolność, wolność pełną! Chcemy wolności tzn. żądamy dla każdej osoby ludzkiej prawa i środków do robienia wszystkiego co mu się tylko podoba i do nierobienia niczego, na co nie ma ochoty; żądamy pełnego zaspokojenia potrzeb, z jedynymi ograniczeniami, jakie nakładają niemożliwości naturalne i potrzeby, respektowane w równej mierze, naszych bliźnich. Pragniemy wolności uważamy, że jej istnienie jest nie do pogodzenia z istnieniem jakiegokolwiek władzy, bez względu na to, jakie by były jej źródła i formy, czy jest wybrana, czy narzucona, monarchiczna czy republikańska, czy wypływa z prawa boskiego; czy z głosowania powszechnego. To historia jest dziedziną z której wypływa nauka, iż wszystkie rządy są do siebie podobne i siebie warte. Najlepsze są jednocześnie najgorszymi. W Jednych jest więcej cynizmu, a w innych więcej hipokryzji. W gruncie rzeczy, zawsze te same słowa i taka sama nietolerancja. Nie ma takiego, nawet wśród tych najbardziej liberalnych na pozór, które by nie miał w zanadrzu, w kurzu arsenałów prawnych, jakiegoś udanego przepisu przeciwko Międzynarodówce, który można użyć przeciw każdej niewygodnej opozycji. Zło, inaczej mówiąc, według anarchistów, nie zawiera się w takiej innej formie rządów. Istnieje ono w samej idei rządu, w zasadzie władzy. Wprowadzenie, jednym słowem, w stosunkach ludzkich swobodnych układów, nieustannie rewidowanych i mogących być anulowanymi w każdej chwili zamiast nadzoru administracyjnego i prawnego, zamiast narzuconej, dyscypliny - oto nasz ideał. Anarchiści więc stawiają sobie za cel nauczyć lub obchodzić się bez rządu tak jak zaczyna on już obchodzić się bez Boga. Nauczy się on także obchodzić się bez właścicieli. Najgorszy z tyranów doprawdy, czyż to nie on was więzi, czyż to nie on was głodzi, czyż to nie on trzyma was za gardło, czyż to nie on zaciska wasz żołądek. Nie ma wolności bez równości! Nie ma wolności w społeczeństwie, w którym kapitał jest zmonopolizowany w rękach nielicznej mniejszości, zmniejszającej się w dodatku z dnia na dzień, i w którym nic nie jest równo rozdzielone nawet oświata publiczna, utrzymywana jednak za pieniądze wszystkich. My wierzymy, że kapitał, który jest dziedzictwem wszystkich ponieważ jest owocem współpracy pokoleń przeszłych i obecnych, musi być do dyspozycji wszystkich w taki sposób aby nikt nie mógł być wykluczony; jak też i odwrotnie, tak, aby nikt nie mógł zawładnąć jego częścią kosztem innych. Pragniemy, jednym słowem, równości: równości faktycznej jako efektu, a raczej jako warunku zasadniczego wolności. Od każdego według jego zdolności, każdemu według jego potrzeb oto czego pragniemy z całą powagą i całą energią oto, co nastąpi, jako że nie istnieje taki zakaz, który by mógł stłumić żądania słuszne i konieczne jednocześnie. Oto dlaczego wystawia się nas na wszelkie zniewagi. Jacyż my podli jesteśmy! Żądamy chleba dla wszystkich wiedzy dla wszystkich, pracy dla wszystkich dla wszystkich też niezależności i sprawiedliwości.

PROCES REWOLUCYJNY I ALF

Pewnego dnia "miłośniczka zwierząt", z ciekawości zatrzymała się na zamurzonym stawie aby zbadać jasne flagi wystające z kopca piżmaków i znalazła potrzaski wetknięte głęboko w trzcinę i mul. Na szczęście, sidła były puste, ale ona nie mogła przestać myśleć o potencjalnych ofiarach. Wyrwała słupki, zabierając ostrożnie potrzaski i biorąc ich do domu tak dużo jak tylko mogła. Czula mieszanek strachu i podniecenia, ale przede wszystkim była szczęśliwa wiedząc, że chociaż tych kilka pułapek, które znajdują się w jej śmietniku nigdy nie zabija zwierzęcia. Oto, w najprostszej definicji, akcja ALF-u, niszczenie fizycznej własności osób, lub firm by przynieść korzyść zwierzętom, zarówno bezpośrednio, jak i pośrednio. "Miłośniczka zwierząt" może stać się aktywistką i jako aktywistka, protestować i pracować by edukować innych, ale w jej umyśle pozostanie wspomnienie zniszczenia sidła, małe zwycięstwo. Jest teoria, która głosi, że użycia "przemocy" przez polityczne ugrupowania nie przyjmują się w USA w takim wymiarze jak w innych krajach, ponieważ większość Amerykanów wierzy, że są agencje i instytucje, które istnieją po to, aby pokojowo rozwiązywać konflikty. Ten pogląd jest barierą przed uczestnictwem w politycznej przemocy. Prawdopodobnie w relacji do zwierząt ta teoria upada i dlatego można wytłumaczyć istnienie ALF. Zbrodnie przeciwko zwierzętom są w ogromnej większości



zwyczajnie ignorowane przez system prawny. Klatki na fermach drobiu i skrzynki z cielętami są akceptowane jako "normalna rolnicza czynność". Miliardom kurczaków i indyków odmawia się nawet złudzenia humanitarnej rzezi. Ptakom, myszom i rybom w laboratoriach odmawia się najbardziej podstawowej prawnej ochrony. W niektórych stanach, zwierzęta żyjące na farmach są ściśle opisywane prawami, mającymi zapobiec okrucieństwu. Oczywiście, opozycja - pragnienie uczynienia fundamentalnej zmiany w społeczeństwie przez rzucenie się przeciwko okrucieństwu wykorzystywania zwierząt - jest właściwą rzeczą. Rozważanie nad tym czy ALF jest moralnie usprawiedliwiony nigdy nie było wątpliwością. Jak najlepiej spowodować zmianę - to jest otwarty temat do rozważania. Każdy kto jest zaangażowany w wyzwolenie zwierząt ma wątpliwości, dotyczące efektywności ich akcji i poszukuje najlepszego sposobu walki z wykorzystywaniem i eksploatacją zwierząt. Większość osób znajduje odpowiedź, że różne taktyki i strategię pasują do różnych kontekstów i że jeden sposób obrony zwierząt nie zastąpi innych typów aktywności. Największa dyskusja dotyczy chyba używania i nie używania przemocy. Nie ma argumentów za lub przeciw środkowi, który udowodniłby, że jest powszechnie lepszy albo mniej ważny od innych, lub, że ma on tylko dobre czy złe skutki. W obronie ALF - oczywiście jest, że ALF ratuje zwierzęta. Dobrze przemyślane akcje uwalniania z ferm i laboratoriów uratowały życie zwierząt, które można policzyć. Zniszczenie rzeźni albo farmy futrzarskiej, zaopatrującej hurtownika nie ratuje zwierząt w sposób, który daje się łatwo policzyć, ale mimo to ratuje zwierzęta poprzez stratę pieniędzy, niezadowolone, strach itd. Może opóźnić sezon hodowli albo skłonić hodowcę do wcześniejszej emerytury. "Przemoc" albo "terrorizm" długo wyrażały najważniejsze społeczne, religijne i historyczne siły w tym kraju i innych krajach na całym świecie. By pozostać uczciwym, większość krytyki ALF jest uzasadniona. ALF nie jest rewolucyjny. Nie spowoduje on fundamentalnej zmiany w społeczeństwie by przynieść korzyści samym zwierzętom. Ale akcje ALF

mogą być częścią rewolucyjnego procesu i mogą mieć ważne i niezbędne skutki dla zwierząt które cierpią. Nie udowodniono, że ALF jest nieskuteczny. To co wykazano to to, że akcje zrodzone z frustracji, niecierpliwości i porywu nie przyniosły efektów. W "Czyniąc nasze akcje liczącymi się" w "No Compromise" #9, Dar Fuller napisał, że "akcja bezpośrednia bez strategii jest bezużyteczna". Mimo, że przypadkowe akcje niekoniecznie muszą być całkowicie bezużyteczne, sposób wybierania celów strategicznie jest ważny. Aktywiści akcji bezpośrednich muszą ustalić priorytety i być ostrożnymi by sprawić każdy wysiłek liczącym się. W rzeczywistości, jesteśmy wszyscy ograniczeni od czasu i energii, które możemy zaangażować w nasze akcje (jakiegokolwiek rodzaju). Mamy tylko kilka szans, akcje muszą być czymś więcej niż symbolem - nie siedzieć w więzieniach za rozbicie szyby w McDonald's.

Badanie i planowanie są bardzo istotne i skuteczne. To powinno oznaczać mniej akcji, ale większych, większą koncentrację akcji z zamiarem osłabienia albo usunięcia ważnego ogniwa w przemyśle wykorzystywania zwierząt. Aktywiści muszą poznać swój lokalny przemysł zwierzęcy i rolę jaką odgrywa on na lokalnym i narodowym poziomie. Przemysł składa się z wielu poziomów, od hodowców, przez transportujących zwierzęta aż w końcu po sprzedawców. Zawiera on także centra badań przemysłu, grupy promocyjne, publikacje przemysłu, agencje reklamowe itd. Każda większa społeczność w tym kraju ma przynajmniej jedną firmę, która odgrywa ważną rolę w większym przemyśle, czyniąc wykorzystywanie i eksploatację zwierząt zyskownymi.

Zachodni Oddział ALF d/s Dzikiego Życia we wczesnych latach 90-tych, tak samo jak przy obecnych akcjach wziął na cel przemysł futrzarski, pokazał nam drogę. Poprzez wzięcie na cel badań, które czyniły przemysł futrzarski dobrze prosperującym, dostawców futer i ich współpracowników, zaatakowano cienkie ogniwo w przemyśle, czyniąc ogromne spustoszenie. Jeśli wybraliśmy atak na sprzedawców, niszcząc sklepy futrzarskie, zwróciliby uwagę mediów, ale ubezpieczenie odbudowało by sklepy, a przemysł byłby tylko troszeczkę słabszy. Wewnątrz przemysłu, skutki osiągnięte przy atakach na punkty sprzedaży nie są warte ponoszonego ryzyka. Jakie rodzaje przemysłu powinien brać na cel ALF? Czy lepiej jest upatrzeć sobie największe zło (takie jak przemysł mięsny) czy planować większe uderzenie (poprzez atak na osłabiony przemysł futrzarski)? Układanie priorytetów to też ważna część skutecznej strategii.

Przemysł mięsny: W skali międzynarodowej, USA jest największym światowym eksporterem zwłok ptaków i innych zwierzęcych "produktów". Firmy jak Tyson i Hormel agresywnie atakują zagraniczne rynki. W skali krajowej, przemysł mięsny jest całkowicie przytłaczający. Wielkie firmy jak IBP, ConAgra, National Beef Packingi Perdue Farms zabijają miliardy zwierząt każdego roku. Jest ok. 5000 farm hodujących żywy inwentarz i drób w USA, ok. 300 dużych zakładów rozbierania mięsa w kraju i kolejnych 6000 mniejszych i średnich masarni. Walcząc z przemysłem mięsnym w okręgu stanu albo regionu to jedyna realna opcja. Dostarczyciele żywego inwentarza, poła skupu, rzeźnie i firmy dostawcze są przykładem czujących ogień na tym poziomie. Jakie przemysły są słabe? Jesteśmy już zaznajomieni z futrzarskim, ale istnieje jeszcze ubój koni, przemysł cielecy, wyścigi konne i cyrki ze zwierzętami oraz wiele innych. Na przykład cyrki są bardzo czułe na sabotaż. Kilka cyrków, które pozostały w tym kraju są zależne od ich środków transportu. Kilka (pustych!) zniszczonych ciężarówek zatrzymałoby cyrki dosłownie na ich drodze. Wiele z tych cyrków cierpi występ po występie (sezon po sezonie) i strata dochodów związana z odwołanymi przedstawieniami przypięczowałaby ich koniec. Akcje ALF są dynamiczne i inspirujące. ALF może przerwać żmudne codzienne kampanie dramatem, który ukazuje walkę praw zwierząt na jej najbardziej istotnym poziomie, nawet jeżeli będzie to krótki okres. Akcje ALF mogą być symbolem rewolucyjnego potencjału naszego ruchu. Anonimowi aktywiści którzy zniszczyli siła na pizzaki, działali z moralnego obowiązku, nie myśląc o edukowaniu opinii publicznej ani zwróceniu uwagi mediów i nawet, tylko chwilowo, odrzucili akceptację ograniczeń prawa. Taki ALF ma ogromny potencjał

GŁOS W SPRAWIE ABORCJI

Co jakiś czas w naszym kraju wybuchają burzliwe dyskusje na temat dopuszczalności aborcji. Niektórzy twierdzą, że powinna być ona legalna, ponieważ tego wymaga wolność kobiety; inni znów żądają całkowitego jej zakazania, uważając za morderstwo. Mało kto zdaje sobie sprawę z faktu, że tak naprawdę najzgorzalszymi zwolennikami aborcji są ortodoksyjni katolicy i sympatycy partii nacjonalistycznych.

Jak to? Przecież żądają oni całkowitego jej zakazania?!

I tu dochodzimy do sedna sprawy. Owym "obrońcom życia poczętego" tak naprawdę chodzi tylko o to, by przerywanie ciąży było karalne, nie zaś o jego wyeliminowanie. A tak w ogóle, to rozwiązywanie palących problemów w społecznych w sposób odgórny, tj. przez ustawy i dekrety, jest

utopią i naiwnością. Jeśli jakiś problem nie zostanie najpierw rozwiązany oddolnie, to wszystkie te przepiękne ustawy i dekrety będą niczym więcej jak tylko świstkiem makulatury. Zdaniem panegirysty demokracji przedstawicielskiej jednak wystarczy, że swoi ludzie zdobędą większość w parlamencie, a wtedy przy pomocy przycisków do głosowania stworzą raj na ziemi. Jest to spojrzenie bardzo infantylne. Dzięki temu Polska ma jeden z najlepszych systemów prawnych na świecie (najlepsza ustawa antyalkoholowa, znakomite przepisy w dziedzinie ochrony środowiska czy niektórych dziedzin społecznych itd.), który jednak pozostaje całkowicie martwą literą, nie mającą żadnego pokrycia w realnej rzeczywistości. Gdyby oceniać poszczególne kraje według obowiązujących w nich przepisów, to z pewnością Polska znalazłaby się w pierwszej dziesiątce państw najlepiej szanujących prawa człowieka. Tylko że te wszystkie ustawy mają się nijak do faktycznego stanu rzeczy. Na przykład, obecna polska konstytucja stwierdza, że "nikt nie może być zmuszany do czegoś, czego nie nakazuje mu prawo". Bardzo pięknie, z tym tylko, że wszyscy nagminnie to olewają, z błogosławieństwem oficjalnych mediów i władz centralnych i "samorządowych". Weźmy na przykład pierwszy lepszy bank. Wszyscy jego pracownicy muszą nosić określone stroje, chociaż z dużym prawdopodobieństwem przypuszczam, że żadne przepisy prawne im tego nie nakazują. Można je jednak doskonale obejść, a gdyby tak ktoś przypadkiem zaczął się upominać o swoje, to nie tylko straciłby pracę i przegrał wszystkie sprawy sądowe, ale jeszcze do tego zostałby doszczętnie wyśmiany przez media. O wyżysku pracowników najemnych w hipermarketach i małych firmach prywatnych nawet już nie wspominać. Tak właśnie wyglądają rezultaty odgórnego rozwiązywania problemów przy pomocy ustaw. Jeśli ktoś chciałby mi pokazać jakieś pomyślne przykłady podobnych posunięć, to odpowiem mu, że zanim zadziałała jakaś "cudowna" ustawa, jej treść już dawno stała się codzienną praktyką w danym kraju. Na przykład, ustawa przyznająca pracownikom prawo do zrzeszania się w związkach zawodowych jest ustanawiana wtedy, gdy to zrzeszanie się jest już od dłuższego czasu dość powszechnym nawykiem. Owszem, do pewnego stopnia może być ona pożyteczna, ale tylko wtedy, gdy chodzi o dokończenie procesu społecznego mającego miejsce już od dawna (w tym przypadku - o zapewnienie swobody zrzeszania się pracownikom w tych zakładach pracy, w których pracodawcy wciąż jeszcze skutecznie sprzeciwiają się temu). Natomiast na nic nie przyda się podobna ustawa w kraju, w którym pracodawcy tak skutecznie zastraszają swoich pracowników, iż boją się oni nawet pomyśleć o założeniu jakiegokolwiek związku. Analogicznie przedstawia się cała sprawa w przypadku aborcji. Jeśli kobiety będą chciały się jej poddawać, to żadna ustawa nie stanie im na przeszkodzie. Może jedynie doprowadzić do wzrostu kosztów zabiegu, przez co ginekologzy w swojej masie jeszcze chętniej zaczną go dokonywać, ażeby zapewnić sobie większe zyski. Groźba

poniesienia kary w takiej sytuacji zapewne odstraszy niewielu, tak samo, jak nie odstraszyła łódzkich lekarzy pogotowia przed handlem ludzkimi zwłokami, o żywych nie wspominając. Ustawa zakazująca aborcji może też doprowadzić do tragicznych skutków w postaci wykonywania tego zabiegu w późniejszych miesiącach ciąży, kiedy to płód jest już dobrze wykształconym organizmem, zdolnym do odczuwania bólu. A nawet jeśli spowoduje ona nieznaczne zmniejszenie się częstotliwości wykonywania tego proceduru, to na pewno go nie wyeliminuje, ani też nie ograniczy do minimum. W takim przypadku, jedyną istotną przyczyną ograniczenia



występowania aborcji będzie wzrost jej kosztów. Po prostu najbiedniejsze kobiety nie będą mogły sobie pozwolić na taki luksus. I o to właśnie chodzi działaczom partii prawicowych: o zwiększenie ubóstwa (niechciane dzieci będą musiały podzielić się ze swoim rodzeństwem i tak małymi zasobami rodzinnymi), patologii społecznych (którym będą sprzyjać złe warunki

materialne i duchowe panujące w sztucznie wielodzietnych, ubogich rodzinach, a które uzasadnią zaostrenie prawa karnego i przez to "zmniejszenie" bezrobocia poprzez umieszczenie znacznej części populacji w zakładach karnych, podobnie jak ma to miejsce w Stanach Zjednoczonych) i frustracji, bez których nie może istnieć nienawiść potrzebna do wywołania się tendencji nacjonalistycznych i klerykalnych. Chciałbym w tym miejscu jednak przypomnieć stare przysłowie "kto mieczem wojuje, od miecza ginie". Nienawiść nieradko bowiem obraca się przeciwko samemu jej twórcy. W latach sześćdziesiątych Nicolae Ceausescu zakazał rozwodów i aborcji z powodów nacjonalistycznych, lecz kiedy niechciane rumuńskie dzieci dorosły, doprowadziły go przed pluton egzekucyjny. Podobnie stało się w Iranie, gdzie ajatollahowie swoimi przepisami doprowadzili do spłodzenia pokolenia wrogo ustosunkowanego wobec republiki islamskiej. Natomiast opowieści, że w całej tej sprawie chodzi o obronę bezbronnych istotek, należy włożyć między bajki. Chodzi tutaj o ograniczenie wolności kobiet i przeforsowanie "na siłę" określonego modelu życia. Ograniczenie wolności kobiet jest zaś potrzebne, aby skierować ich uwagę na walkę z "grzechem" i przez to skutecznie odwrócić od narastających niesprawiedliwości społecznych, aby sprowadzić je do roli ludzi drugiej kategorii. Gdyby było inaczej, to twórcy tej ustawy zależałoby przede wszystkim na faktycznym ograniczeniu występowania aborcji. Na przykład Holandia posiada jedną z najbardziej liberalnych ustaw w tej dziedzinie, a zarazem należy do krajów, gdzie aborcja występuje najrzadziej. W Polsce jest zaś dokładnie odwrotnie. I co z tego? Według



"obrońców życia" Polska to kraj "zdrowy moralnie", zaś Holandia to "Sodoma i Gomora" (jeśli ktoś myśli, że z powodu dopuszczalności eutanazji lub małżeństw homoseksualnych, to się myli, bo takie wypowiedzi słyszeliśmy jeszcze przed uchwaleniem odnośnych ustaw). A zatem im więcej aborcji, tym lepiej, byleby tylko pozostawały one nielegalne! Po prostu należy

wszystkim wpoić od najmłodszych lat przekonanie o gresności seksu, a wtedy nie będą uważać wyzysku, ucisku i dominacji za coś złego, bo stworzy się im zastępczą moralność. Taki jest prawdziwy cel prawicy.

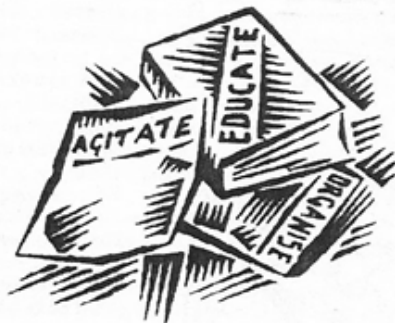
Dlaczego uważam całą tę kampanię antyaborcyjną za nieszczerą? Gdyby naprawdę tutaj chodziło o "obronę życia", to wtedy działacze antyaborcyjni to życie, które rzekomo uważają za równe w prawach narodzonemu, uznaliby za dobro najwyższe, któremu warto poświęcić swoje zapatrywania na pozostałe sprawy. Pewien "obronca życia" przed laty przywołał mocno brzmiącą maksymę "primum vivere, deinde philosophari" (najpierw żyć, później filozofować). Tylko, że ten, kto samemu stosuje się do podobnej zasady, przede wszystkim powinien popierać najłatwiejsze sposoby walki z aborcją, jakimi są środki antykoncepcyjne. Wszyscy jednak doskonale wiemy, że wcale tak nie jest. Przytłaczająca większość "obronców życia poczętego" uważa antykoncepcję za również niemoralną. Zresztą, co ktos sobie uważa, to jego prywatna sprawa, ale rzecz w tym, że owi ludzie ostro zwalczają antykoncepcję. Dają, jeśli nawet nie do zakazania stosowania środków antykoncepcyjnych, to do spowodowania poważnych utrudnień w ich stosowaniu i nabywaniu. Dlatego chciałbym zapytać się: Co tak naprawdę jest najwyższą wartością dla owych ludzi? Na pewno nie życie poczęte, bo w takim razie popieraliby środki antykoncepcyjne niezależnie od tego, czy są one według nich moralne, czy też nie. W tym drugim przypadku mogliby po prostu ograniczyć się do ich niestosowania samemu. Raczej najwyższą wartością dla "obronców życia" jest autorytaryzm. Trzeba to nazwać po imieniu. Sprzeciw Kościoła wobec antykoncepcji przybiera nieraz doprawdy absurdalne formy. Pewien wysoki rangą włoski arcybiskup powiedział, że jeśli mąż jest chory na AIDS, a żona zdrowa, to współżycie z nim powinna raczej ryzykować zarazię niż pozwalać na założenie prezerwatywy dla ochrony przed chorobą, bo to drugie jest niemoralne. Wszelki komentarz jest tu chyba zbędny. Oto ile naprawdę jest warte ludzkie życie dla duchownych!

Niemniej jednak aborcja istotnie polega na zabijaniu ludzkich płodów, mających już swoje własne cechy osobowe zapisane w genomie. Dlatego powinniśmy się zastanowić, co zrobić, ażeby naprawdę wyeliminować to zjawisko. Przede wszystkim, należy zapobiegać każdej niechcianej ciąży poprzez stosowanie różnych metod antykoncepcji. Ponieważ jednak nie ma metod niezawodnych, może okazać się to niewystarczające. Dlatego przede wszystkim musimy się zastanowić, **dlaczego** kobiety decydują się na aborcję. Uśmiercenie własnego nienarodzonego dziecka musi przecież być bardzo dramatyczną decyzją. Jeśli dokładnie zastanowimy się nad przyczynami podejmowania takich decyzji, to właśnie urzmy, że owi "obroncy życia" są w istocie najzgorzalszymi zwolennikami aborcji.

Dlaczego kobieta decyduje się na aborcję? Twierdzi się, że wskutek złej sytuacji życiowej czy też braku środków materialnych potrzebnych do wychowywania kolejnego dziecka. Ale takie tezy w istocie niczego nie tłumaczą, bo nikt nie ma obowiązku zajmowania się urodzonym przez siebie dzieckiem. Po porodzie, zgodnie z przepisami, kobieta ma prawo pozostawić dziecko w szpitalu. Media bardzo dokładnie wyjaśniły tę sprawę po serii porzucen noworodków na śmietnikach i klatkach schodowych, jaka miała miejsce kilka lat temu. Dlatego nie tu leży prawdziwa przyczyna występowania aborcji. Ktoś mógłby zasugerować, że jest nią lęk przed niedogodnościami okresu ciąży i bólem podczas porodu. Ale i to nie jest problem nie do rozwiązania; jeśli ktoś aż tak bardzo boi się bólów porodowych, może rodzić pod narkozą, tak jak to czyniła na przykład brytyjska królowa Wiktorja. Nie wiem, czy jest to w pełni dobre rozwiązanie dla zdrowia noworodka, na pewno jednak dużo lepsze niż sztuczne poronienie. Podczas niektórych ciąż z powikłaniami pojawiają się wyjątkowo uciążliwe trudności, na przykład ciężarna kobieta musi przez wiele miesięcy leżeć bez ruchu w celu utrzymania płodu przy życiu. Ale i tutaj aborcja do niczego nie jest potrzebna. W takim przypadku mamy do czynienia z prostym wyborem: donoszenie płodu za wszelką cenę lub ryzykowanie naturalnym poronieniem, z nikłą nadzieją, że "może się jednak mi upiecze". Wybór ten należy pozostawić samej zainteresowanej. Zdarza się też, że płód posiada poważne wady rozwojowe lub pochodzi z gwałtu. Lecz i wówczas urodzenie dziecka nie oznacza obowiązku opieki nad nim; istnieją całe zastępy wolontariuszy i zawodowych pracowników

wyspecjalizowanych w dziedzinie opieki nad kalekami. Z tego powodu aborcja wydaje mi się uzasadniona jedynie wtedy, kiedy ewentualny poród byłby niebezpieczny dla zdrowia matki. Tego, że przerywanie ciąży jest tak powszechne, nie uważam jednak za winę kobiet ani nawet lekarzy, lecz całego społeczeństwa, ze szczególnym uwzględnieniem "obronców życia".

Skoro urodzenie dziecka nie stwarza obowiązku zajmowania się nim, to prawdziwe przyczyny istniejącego stanu rzeczy muszą znajdować się zupełnie gdzieś indziej. I tak jest naprawdę. Kobieta decyduje się na aborcję z powodu "trudnej sytuacji materialnej lub życiowej" po prostu dlatego, że nie chce, aby jej dziecko dostało się w cudze ręce. Zaraz, zaraz... Nie chce, aby dostało się w cudze ręce, więc woli je unicestwić w ogóle? Czyżby przysłowiowy "pies ogrodnika"? Tak naprawdę - raczej ofiara niesprawiedliwego systemu prawnego i etycznego. Takie zachowania, na pozór zupełnie irracjonalne, mają jednak całkiem rozsądną motywację. Jeśli kobieta po urodzeniu dziecka zostawi je w szpitalu, to najprawdopodobniej nie ujrzy go już nigdy w życiu. Tak będzie, gdy zrzeknie się swoich praw rodzicielskich. A gdy się ich nie zrzeknie, to będzie musiała ponosić wszystkie ciężary opieki nad dzieckiem. Jednym słowem - błędne koło. W takiej sytuacji trudno jest się dziwić, że **najlepszym rozwiązaniem wydaje się być aborcja**. Jednakże proceder przerywania ciąży daloby się poważnie ograniczyć, gdyby istniejące prawo zostało radykalnie zmienione. Kilkanascie lat temu telewizja pokazała film o pierwszej amerykańskiej kobiecie, która zgodziła się



urodzić płód powstały przez sztuczne zapłodnienie komórki jajowej innej kobiety. Po urodzeniu nie chciała ona oddać urodzonego przez siebie noworodka biologicznej matce, co stało się źródłem burzliwych dyskusji. Ponieważ nie znajdowano żadnego dobrego rozwiązania, zaczęto w ogóle kwestionować etyczność takich zabiegów. Nikomu nie przyszło do głowy rozwiązanie najprostsze: obydwie kobiety powinny zostać równoprawnymi matkami. Gdybym jednak wówczas głośno powiedział, co myślę, zostałbym za to odsądzony od czci i wiary. Podobnie sprawa się przedstawia w przypadku sztucznych poronień. Daloby się ich zazwyczaj uniknąć, gdyby tylko istniało prawo pozwalające na istnienie dwóch (lub więcej) równoprawnych matek (i ojców). Ale wszyscy wiemy, że takie prawo nie zostanie wprowadzone, ponieważ sprzeciwiamy mu się... obrońcy życia poczętego. Ci sami bowiem ludzie, którzy tak głośno przemawiają w "obronie życia", są jednocześnie zdecydowanymi zwolennikami tak zwanych "wartości rodzinnych", które nie zezwalają na istnienie dwóch równoprawnych matek czy ojców. Taką postawę należy jednak określić jako **zdecydowanie proaborcyjną**. I tutaj właśnie wychodzi na jaw wielka obłuda duchowienstwa i jego zwolenników. Ludzie, którzy otwarcie popierają aborcję, są po prostu **uczciwi**. Ktoś mógłby wprawdzie zakwestionować istnienie kilku równoprawnych matek czy ojców jako źródło ewentualnego konfliktu. Sprawa jednak stanie się bardzo prosta, jeśli samo dziecko będzie wybierać, ile czasu ma spędzić z każdą ze swoich matek i każdym ze swoich ojców. Natomiast w okresie niemowlęcym w takim przypadku przynajmniej jednej ze stron zazwyczaj chodziłoby o to, aby się pozbyć swoich obowiązków związanych z opieką nad dzieckiem, a nie o to, by ich sobie dokładać. A nawet gdyby jakimś cudem zdarzyło się inaczej, to wtedy wszystkie zainteresowane strony musiałyby zawrzeć ze sobą ugodę. Przy dzisiejszym stanie rzeczy może się to wydawać trudne, ale zmiana stosunków społecznych na bardziej anarchizujące znacznie by to ułatwiła.

Bardzo często jednak prawdziwą przyczyną decyzji o przerwaniu ciąży leży jeszcze gdzie indziej. Bywa i tak, że kobieta jest najzwyczajniej w świecie zmuszana przemocą do dokonania aborcji przez swoich rodziców, krewnych, mężów, kochanków, szefów. Lecz znacznie częściej jest to wyrafinowana przemoc ze strony całego społeczeństwa. Ciąża jest uznawana za powód do wstydu i hanby. Dzieje się tak nierazko nawet i wtedy, gdy poczęcie zachodzi w sposób zgodny z nauką społeczną Kościoła, tj. w sakramentalnym małżeństwie. Jeśli jakaś para małżeńska (zwłaszcza uboga i cierpiąca z powodu bezrobocia, bogactw, to jeszcze jakoś "uchodzi") na przykład posiada ośmioro dzieci, to różne paniusie będą to uważać za przejaw "degeneracji". W przypadkach ciąży poza małżeństwem sprawa przedstawia się jeszcze dużo gorzej. Ciąża przed ślubem oznacza w praktyce przymus natychmiastowego zawarcia oficjalnego związku, w przeciwnym razie bowiem para zostanie napiętnowana. Jeśli natomiast w ciąży zajdzie kobieta samotna, nastolatka lub rozwódka, albo ojcem jest inny mężczyzna niż własny mąż, a tym bardziej, gdy jedna matka posiada kilku dzieci z różnych ojców, to staje się to powodem do szykan, przekpinek, niewybrednych żartów i poniżania, a bardzo często poważnych kłopotów zarówno w życiu osobistym, jak i zawodowym. I kto się do tego przyczynia? Ci sami ludzie, którzy mienią się "obroncami życia poczętego". Potrafią oni wygłaszać niezwykle patetyczne przemowy o ciąży i macierzyństwie, ale równocześnie uznają pozamałżeńską ciążę za poważny grzech, a więc powód wstydu i hanby. Moim zdaniem, jest to szczyt obłudy. Albo bowiem dana ciąża jest rezultatem grzechu i jako taka powinna zostać usunięta, albo też życie poczęte jest najważniejsze i wówczas absolutnie każdą ciążę powinno uważać się za zaszczyt. Kto sądzi inaczej, ten zaprzecza samemu sobie "Obroncy życia", którzy poczęcie rzekomo bronią, a jednocześnie uważają za poważny grzech, chyba nie za bardzo wiedzą, o czym w ogóle mówią. Lub jeszcze inaczej - kłamią, mówiąc, że bronią życia, gdy tak naprawdę bronią jedynie pruderji i autorytaryzmu. Natomiast ci, którym naprawdę zależałoby na obronie życia, powinni uważać **absolutnie każdą** ciążę, bez względu na okoliczności, za powód do dumy i chluby, dla obojga rodziców. Tymczasem w naszym społeczeństwie zajście w ciążę uważa się za zło, a kobietom z tego powodu wymyśla się od diabeł i kurew. Jest to **postawa radykalnie proaborcyjna**. Ludzie, którzy uważają pozamałżeńską seks (a przez to i ciążę) za grzech lub coś w tym rodzaju (w przypadku ateistów), mają na sumieniu znacznie więcej uśmierconych płodów niż wyspecjalizowani w skrobankach ginekolodzy. Prawdziwi obrońcy życia powinni uważać każdą ciążę za powód do dumy i przywilejów, a nie dyskryminacji. Kobieta ciężarna powinna być uważana za osobę wyjątkową, której należy się specjalny szacunek tylko za to, że zaszła w ciążę, bez wnikania w jej okoliczności. Na przykład dwunastolatka w ciąży nie powinna być szycanowana i uznawana za pohańbioną, lecz wręcz przeciwnie - za wyróżnioną, wybraną spośród innych, nie znaczy to, iż uważam, że dwunastoletnie dziewczęta powinny masowo zachodzić w ciążę - podobnie jak nie uważam, że powinny masowo zdobywać złote medale na Igrzyskach Olimpijskich. Jeśli jednak **już się zdarzy**, że dwunastolatka zdobędzie złoty medal olimpijski, to powinna ona zostać uznana za bohaterkę, godną specjalnego szacunku. Podobnie z zajściem w ciążę. Takim samym szacunkiem powinno się obdarzać kobiety, które wielokrotnie zachodziły w ciążę, niezależnie od tego, kim byli ojcowie. Również i oni powinni być obdarzani szacunkiem, a nie szykanami, gdy staną się przyczyną ciąży, nawet jeśli ma to miejsce poza małżeństwem. Tylko taka postawa byłaby konsekwentnie antyaborcyjna.

Katolicy (i ateistyczni) konserwatyści, domagający się zakazu aborcji tak naprawdę sprzyjają temu procederowi, odmawiając prawa do istnienia kilkorga równoprawnych rodziców oraz uważając seks za grzeszny. Temu celowi właśnie służy ich propaganda - seks jest grzechem, ponieważ w jego wyniku powstaje niewinna istotka, która potem będzie musiała zostać zabita przez owych "grzeszników". Rzecz w tym jednak, że **nie musi**. A jeśli nawet musi, to tylko i wyłącznie dzięki postawie owych "obronców życia". Tak długo, jak pozamałżeńskie seks będzie uznawany za coś grzesznego, **aborcja będzie miała swą rację bytu**. Ażeby wyeliminować to zjawisko, musimy pozbyć się tzw. wartości rodzinnych i uznać, że pozamałżeńskie seks nie jest niczym złym.

Andrzej Obuchowski

Animal Rights Militia (ARM)- Milicja Praw Zwierząt

ARM powstała w Anglii ponad dziesięć lat temu z filozofią podobną do tej, jaką głosił Departament Sprawiedliwości. Popierając ALF i inne strategie, ARM uważa jednak, że nie idą oni dość daleko jeśli chodzi o akcje bezpośrednie. Twierdzi, że większe sukcesy mogą zostać osiągnięte poprzez pozorowane zatrucia i tego typu strategię.

Wczesne zwycięstwa zaczęły się już w latach osiemdziesiątych z dwoma udanymi zniszczeniami w San Jose, Kalifornia. Pierwsze 1 września, 1987 roku w Kalifornii kosztowało 100 tys. dolarów strat San Jose Valley Veal Inc (cielecinia). Magazyn papierowych produktów został spalony powodując dużą finansową stratę. Druga akcja była nawet bardziej kosztowna. Straty wysokości 230 000 dolarów poniosła Ferrara Meat

Company w wyniku akcji przeprowadzonej 26 listopada 1987. Stodółka zawierająca ziarno i zboża została zniszczona. Jedną z najślawniejszych akcji przeprowadzonych przez ARM miało miejsce w Anglii, w 1984 roku. Mars Company przeprowadzała przerażające eksperymenty dotyczące osucia się zębów na zwierzętach, bez oznak ich zaprzestania. Informując media, że batony i cukierki Mars zostały zatrute, firma wycofała swoje słodycze z półek sklepów, co kosztowało ją ogromne finansowe straty. ARM później wyjaśniła, że zatrucie było blefem, ale firma zdała sobie sprawę z potencjalnych akcji w przyszłości i wycofała się z eksperymentów na zwierzętach.

Sukces tej akcji ukazuje, że sabotaż ekonomiczny może być bardzo silnym, skutecznym narzędziem dla wyzwolicieli zwierząt. Za każdym razem gdy majstruje się przy produktach firmy, zagrożenie wyrządzenia szkody klientom jest zbyt wielkie aby je zignorować. Rozumiejąc ten fakt, ARM bazowała na tym strachu, aby bezpośrednio chronić zwierzęta.

Od 1990 roku, ARM była także aktywna w Kanadzie. Podobna akcja przeciwko producentowi batonów miała miejsce 2 stycznia 1992 roku. Na doświadczenia na zwierzętach prowadzone w firmie Cold Buster składało się zamrażanie szczurów, głodzenie ich i wstrzykiwanie im leków, w tym także narkotyków. Wynalazca Cold Buster, Larry Wang, wiwisektor na Uniwersytecie Alberta, był także współwłaścicielem firmy, która produkowała batony. Szesnaście lat badań na zwierzętach poszło w rozwój produktu.

ARM oznajmiła, że osiemdziesiąt siedem batonów Cold Buster jest zatrutych płynem do czyszczenia piekarników i położonych z powrotem na półki dla publicznej konsumpcji. Komunikaty i próbki zatrutych batonów wysłano do stacji telewizyjnych i gazet. Ekonomiczne zniszczenia przysporzone firmie były niesamowite. Oszacowano je na milion dolarów kosztów zwrotów słodyczy do producenta. Rzecz jasna akcja ta była silnym przesłaniem dla innych firm zaangażowanych w wiwisekcję, że one również ryzykują stratą milionów. Dwa tygodnie później, ARM ujawnił, że zatrucie było blefem. Tak jak wcześniej przy blefie z batonem Marsa, firmy nie mogły ryzykować, że klienci ulegną zatruciu, więc zostały zmuszone wycofać towary, co prowadziło do finansowej straty. Dodatkowym zwycięstwem dla zwierząt było to, że Kanadyjski Departament Obrony wycofał fundusze na badania.

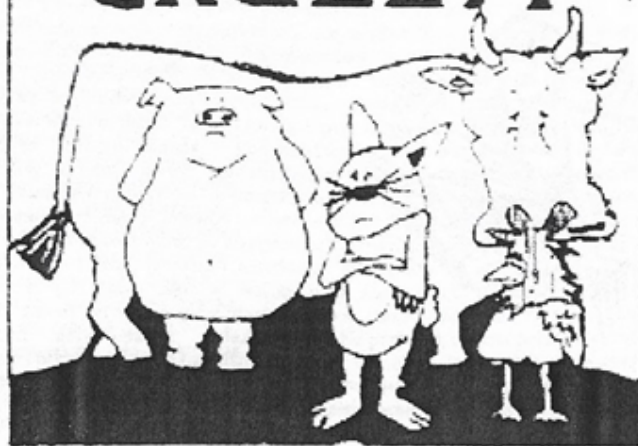
23 kwietnia 1992 roku, w Międzynarodowy Dzień Zwierząt Laboracyjnych, ARM wysłała ostrą informację

do wiwisektorów.

Akcja miała miejsce w Vancouver, w domu wiwisektora Hansa Fibiger'a. Fibigerowi, który jest wiwisektorem Uniwersytetu British Columbia rozlano czerwoną farbę na jego dom i drogę dojazdową. Słowo "szumowina" zostało napisane na oknach razem z hasłami praw zwierząt na drodze dojazdowej.

Następny trujący blef został przeprowadzony przez ARM 23 grudnia 1994 roku także w Vancouver. ARM twierdziła, że zatruta ciała martwych indyków trutką na szczury i umieściła je na chybł trafili w różnych sklepach sieci Safeway i Save-On Foods w okręgu Lower Mainland. Próbkę zostały wysłane do mediów, ale gdy zbadała je policja okazało się, że nie były one zanieczyszczone. Jako, że firmy nie mogły ponosić ryzyka, że inne produkty są zatrute, indyki warte jakieś milion dolarów zostały wycofane ze sklepowych półek. Supermarkety, które sprzedawały te indyki i producenci indyków stracili miliony dolarów. Inne akcje ARM miały miejsce w Anglii

LIVING without CRUELTY



przy użyciu bomb zapalających i przysporzyły dręczycielom z zwierząt ekonomicznych strat. Kilka przykładów - 10 sierpnia 1994 w sklepie z galanterią skórzaną C.H. Brown, w sklepach skórzanych Madison i Westworld, przedziałni wełny w Edynburgu, sklepie futrzarskim Nurse - wszędzie tam ARM podłożyła bomby zapalające. Dziesiątki tysięcy dolarów zniszczeń spowodowano

w sklepach skórzanych. To tylko jeden przykład jak skuteczna może być ARM. Inny przykład to 24 sierpnia 1994 roku kiedy to straty wyniosły czterech milionów dolarów przy użyciu czterech bomb zapalających podłożonych pod Sports and Model Shop (sprzedający wyroby skórzane), Suede and Leather Shop (zamsz i skóra) i Fundację Badań Raka. Pod szkocki sklep ze sprzętem wędkarskim również podłożono ładunki zapalające, tak samo jak pod Boots the Chemist. Bardzo długa kampania była prowadzona przeciwko Boots za wspieranie przez nich testów na zwierzętach. Nawet filie Boots wzięto na cel, podłożono materiały zapalające w Fads DIY 16 września 1994 roku. Dwie gałęzie Boots również wzięto na cel w czasie tej akcji, wraz ze sklepem krwawego sportu Linsley Brother i sklepem Imperialnej Fundacji Badań Raka. Kolejne cztery miliony dolarów strat zniszczeń. Po tak wielu atakach ekonomicznego sabotażu Boots wyprzedziło swój oddział farmaceutyczny aby uniknąć dalszych akcji aktywistów praw zwierząt. Wraz z sabotażem ekonomicznym, ARM była szczególnie skuteczna w Szwecji w uwalnianiu żywych zwierząt. Aktywiści w Uppsali 15 stycznia 1998 roku zaatakowali laboratorium należące do Bio Jet Service. Uwolniono 92 świnki morskie. Kilka samic było ciężarnych, więc ogółem 120 świnkom morskim uratowano życie. To co uczyniło tą akcją szczególną to to, że hodowca, Gothe Olofsson, który jest sam wiwisektorem na Uniwersytecie Uppsali - podobno powiedział, że nie będzie szukał kolejnych świnek morskich, tylko zrezygnuje z handlu. Od początku swojego istnienia ARM dowiodła efektywności swoich akcji bezpośrednich skierowanych przeciwko oprawcom zwierząt. Wielokrotnie ich akcje były strategiczne i unieszkodliwiały tych, którzy czerpią zyski z cierpienia zwierząt.

Rozmowa z portugalskim pisarzem, noblistą Jose Saramago.

„Tutaj jest wielka rewolucja etyczna.”

1. - Towarzyszyłeś przy różnych okazjach zapatystom, posyłałeś wiadomości w świat, znasz to z doświadczenia. Jaka jest twoja ocena Marszu Godności Indian (marsz ten odbył się w marcu, zapatysty wkroczyli oficjalnie do miasta Meksyk)?

To jest łatwe i nie jest łatwe ponieważ gdy byliśmy 11 marca 2001 na Zocalo (ryнку) oczywiście czuliśmy jedną z tych emocji najsilniejszych w naszym życiu. Trudne ponieważ tym bardziej widzieliśmy i słyszeliśmy połączone kwestie, które się nam przedstawiło. To jest moment do zastanowienia się, do refleksji. Powstanie zapatystów ma znaczenie nie tylko dla Meksyku ale także dla całego ruchu Indian amerykańskich i z pewnością ma też swoje reperkusje w świecie. Nie jest przypadkiem, że taki intelektualista jak Noam Chomsky powiedział, że „zaraza zapatyzmu” może zmienić bieg historii współczesnej i rozszerzyć się na cały świat. To co wydarzyło się w Meksyku z przyjazdem karawany, to tylko punkt w drodze, która nie zaczęła się ani w 94 ani 83 roku kiedy to Marcos wszedł do dżungli, to zaczęło się bardzo dawno, od ruchów oporu Indian, chce powiedzieć, że to łańcuch wydarzeń, które się skupiły tego dnia. W tym samym czasie to jest pierwszy dzień długiego procesu, który się widzi nie tylko w Meksyku ale całej Ameryce. To nie może pozostać tutaj, musi się rozprzestrzenić, potrzeba by Ameryka Indianka zaszczerpiła sobie ten proces; czytałem informacje, w której była mowa, że Indianie z Gwatemali wspierają zapatystów. Walka Indian ma znaczenie społeczne i dlatego to może się przemienić w coś większego niż jest ale to co jest już wielkie.

Razem z refleksjami zaczął się proces negocjacji. Tak więc zobaczymy czy słowa Foxa się potwierdzą w czynach. W jednym nie ma wątpliwości, w stanowczości zapatystów, którą widać w ich postawie: nie prosimy o nic więcej ani o mniej, żądamy tego czego zadamy. Jeśli się ona utrzyma to z pomocą społeczeństwa obywatelskiego (jakkolwiek dla mnie społeczeństwo obywatelskie jest abstrakcją, która znaczy o wiele mniej niż by się chciało) dojdzie do otrzymania odpowiedzi.

2. - Zapatysty mówili: „nie jesteśmy rewolucjonistami, jesteśmy buntownikami”. Jak interpretować ta deklarację? Czy zapatyzm to tylko ruch polityczny?

Nie jest tylko polityczny. Z szacunkiem dla tego co powiedział Marcos, myślę że ta deklaracja nie jest niczym więcej jak środkiem ostrożności.

Nie możemy zostawić nas w tym buncie ponieważ w tej koncepcji zawiera się wiele rzeczy. Na przykład syn, który nie słucha ojca jest buntownikiem ponieważ atakuje autorytet ojcowski w rodzinie; nie możemy jednak go nazwać rewolucjonistą. Myślę, że to co oni zrobili w Meksyku nie jest tylko rebelia, to jest rewolucja. Dlatego myślę, że ta deklaracja w swojej głębi jest tylko środkiem ostrożności, ponieważ dla tych bogaczy jest bardzo niebezpieczne gdy się pojawiają rewolucjonści na Zocalo i to bez broni.

Jeśli myślimy, że rewolucja musi być tym co było aż do tej pory, to oznacza, że nie ma tutaj rewolucji, ale tutaj mamy rewolucję etyczną i ona nie jest gorsza od tej, która toczy się na ulicy z bronią w ręku. Rewolucja zbrojna jest wypowiedzeniem NIE, które z czasem konczy się i zamienia w TAK przez to jest łatwo integrowane z systemem i prawie zawsze rewolucjonści są pierwszymi ofiarami tej integracji, są wykluczeni, jeśli nie są wyeliminowani fizycznie. Rewolucja etyczna zmienia, przekształca świadomość i te rzeczy mogą zmieniać się w taki sposób że powtarzają się, cofają, to jest o wiele trudniejsze.

3. - Ruch indyjski w Meksyku razem z innymi ruchami społecznymi na świecie wyznacza kryzys cywilizacji, kryzys wartości, które schwytały człowieka w palupkę wolnego rynku. Mówi nam członek karawany, ograniczony wizją fragmentaryczną swojej własnej egzystencji. Czym jest ta karawana dzisiaj i w jaki sposób będzie rozwiązywać niejasności?

Tutaj mamy problem mocy być sednem sprawy. Nie możemy negocjować tego, że dzieje się coś doprawdy dramatycznego, aż do dzisiaj nie możemy znaleźć

rozwiązania, szukamy życia... w świecie, w którym siłą jest krzywdząca ekonomia i nie tylko ekonomia lecz multinacjonalizm. Tam jest wszystko, są te sprawy, które realnie obserwujemy, możemy głosować i usłuchać rząd, powoływać nowy, ale nie możemy wyrzucić multinacjonalizmu, to jest poza zasięgiem naszej

interwencji. Problemem, który musimy rozwiązać jest jak można to kontrolować. Myślę że sposobem na to będzie pobudzenie świadomości ludzi. Mamy systematyczny proces w którym świat obraca się w cyrk, igrzyska. Wszystko to nie jest nowe. Rzymianie już to wiedzieli trochę chleba i igrzyska. To wszystko sprowadza nas do bycia publicznością i aktorami światowego spektaklu, który mamy w telewizji. Pretenduje się do obrócenia ludzkości (która się charakteryzuje tym, że jest bytem duchowym poruszającym świadomością, jak również myśleniem, debatowaniem, wątpieniem, kwestionowaniem) w jakąś okropną rzecz, na dobre i na złe. To oznacza że wszystko to być może zostało wykreowane aby potwierdzić, że już nie możemy bardziej rozwinąć się.

Przebudzenie świadomości nie dotyczy tylko rozwoju nauki i technologii, potrzeby i konieczności. Musimy rozbudzić zainteresowanie ponownym wprowadzeniem (dlatego że debatowano o tym w latach 60 i 70) czegoś co się nazywa siłą moralną, władzą moralną, odpowiedzialności każdego za społeczność lokalną, kraj, społeczeństwo, przeznaczenie. Wszyscy jesteśmy odpowiedzialni i przypomnienie sobie tego jest jedyną drogą jaka mamy.

Nie mówię że ludzie nie mają prawa bawić się, nie da się zmienić ludzkości, 6 miliardów w ludzi świadomych, skoncentrowanych; ktoś musi śmiać się ale bez zapominania o tym, że istnieją inni i nie jest ich mało, którzy dominują w świecie. Sytuacja ta nie może zmusić nas do powiedzenia, że to się zdarzało w całej historii ludzkości i że przez to mamy oprawców i ofiary; to co się teraz dzieje to że ofiary są współwinnymi, jesteśmy ofiarami i współuczestniczymy w procesie globalizacji, który nas redukuje do zera, gdzie bycie istota ludzka, priorytet absolutny, został gdzieś poza.

Rządy ekonomi są nowym totalitaryzmem, który nie potrzebuje brunatnych czy czarnych koszul, ani faszystowskich pozdrowień, teraz wszystko jest bardziej słabe, jakby nic się nie działo, wszystko w imię bycia elastycznym jako istota ludzka, globalizacja i sprawiedliwość, fasada słowna za którą nic nie ma.

Na przykład trwa wielki przewrót w nauce i technologii, co robi się z biedą?

Mars może poczekać te 50 czy 100 lat więcej. Kosmos jest tam nie wiem od jak dawna, ani nawet nie mogę sobie tego wyobrazić, dla kosmosu nie ma czasu. Podbój kosmosu może poczekać trochę więcej, potrzeba czasu na rozwiązanie problemów ludzkości. Nie ma żadnego sensu myślenie o Marsie kiedy tutaj ludzie umierają z głodu. Nie możemy dalej mówić, że jesteśmy ofiarami w tym samym czasie będąc współuczestnikami procesu zawładnięcia światem.

Media mają olbrzymia odpowiedzialność za to. Na przykład karawana, Marsz Godności Indian, dotarł do Zacalo, najważniejsze wydarzenie polityczne w historii Meksyku w ostatnich latach nie było transmitowane przez dwie sieci telewizyjne o znaczeniu narodowym i kontynentalnym, tak jakby nic się nie wydarzyło. I to jest hańbą. Jak można podejmować decyzje w ten sposób, wobec wydarzenia politycznego, społecznego, moralnego, intelektualnego jakim jest karawana? Wobec tego obywatela mają coś do powiedzenia. Nie jesteśmy przedmiotami, nie traktujcie nas jakbyśmy nimi byli, jesteśmy ludźmi. Lu-dz-mi!

Nie warto mówić dalej o społeczeństwie obywatelskim jako kimś z kim możemy komunikować się bezpośrednio. Społeczeństwo obywatelskie jest abstrakcją. Kto jest społeczeństwem obywatelskim, nieubłagany właściciel, kapitalista który może wysłać na ulice 15 tys. pracowników i w tym samym czasie pracownicy na ulicy? Maja coś wspólnego jedni z drugimi? Skończyła się walka klas? Oczywiście że nie, ale kiedy się mówi o społeczeństwie obywatelskim wydaje się nam, że żyjemy w perfekcyjnej harmonii i że społeczeństwo obywatelskie jest rozmową rządu. To jest oszustwo, nie ma żadnego

wplywu. Próba jest że dwie sieci telewizyjne zachowały się tak jak się zachowały. Mamy więc tutaj tych co robią rzeczy dla własnego zysku i ofiary, które są współodpowiedzialnymi sytuacją, w której się znalazły i wracam do tego co następuje: trzeba bardzo to przemyśleć.

4 - Zapatyści przyjechali aby podnieść wszystkie kwestie; w ten sposób uwolnili politykę od powtórnego nadawania znaczenia takim pojęciom jak demokracja, wolność i sprawiedliwość. Jaka jest różnica między demokracją, wolnością, sprawiedliwością, których domagają się zapatyści i tymi pojęciami podnoszonymi przez neoliberalizm?

Nie możemy żyć bez słów i pojęć, to jedyna forma jaka mamy do komunikowania się. U podstawy wszystkiego jest głos, który wymawia te słowa. Demokracja, to słowo wypowiedziane przez zapatystów oznacza coś co nie ma nic wspólnego z tym co oznacza kiedy wypowiada je na przykład Bill Gates. Dla kolejnych polityków demokracja jest ograniczona funkcjonowaniem instytucji, wystarczy że istnieją partie, które wyrażają wole polityczną obywateli żeby uformować parlamenty, rządy, sądy. Jeśli to funkcjonuje bez nacisku autorytarnego, wtedy to się zwie demokracja.

Ale co stoi za tym? 3 miliardy ludzi na świecie żyje za 2 \$ dziennie, nie można mówić o demokracji w tych warunkach, ponad to demokracja nigdy nie osiągnięto i być może nigdy się nie osiągnie, ponieważ oznacza rządy ludu, przez lud i dla ludu.

Kiedy zapatyści mówią o demokracji, powracają do rozumienia tej idei w stanie pierwotnym. Schodzą do poziomu do którego można, aż do społeczności obecnej, żywej, funkcjonującej i rozwiązującej swoje problemy. Począwszy od tego momentu możemy rozpoznać realną demokrację. Wszystko to co ma coś wspólnego z tym co na gorze nie jest demokracja, nie było i nie będzie.

Co się tyczy sprawiedliwości to problemem jest że ci na gorze ufają sprawiedliwości prawnej. Sprawiedliwość nie ma nic wspólnego z prawem, ponieważ nie brakuje praw niesprawiedliwych i sądów orzekających zgodnie z tymi prawami. Dla sądów nie ważne jest, że sporo tych praw jest niesprawiedliwych, to co jest ważne to sam kodeks. Sprawiedliwość może mieć efekt normalizujący, jakiś rząd może powiedzieć że jest zgodny z prawem, ale to co ważne to nie jest to, ani to co głosi prawo lecz wiedzieć to od wewnątrz i to jest przykład obywatelstwa.

Ewidentnie dla zapatystów istnieje inne pojęcie sprawiedliwości bowiem jest konsekwencja tej perwersyjnej sprzeczności między sprawiedliwością i prawem, Indianie byli ofiarami, wszystko to znamy z długiej historii, zawdzięczają to niesprawiedliwemu prawu.

Odnosnie wolności wracamy do tego samego. Wolność jest pustym pojęciem jeśli się je ogranicza do głoszenia: demokracja, sprawiedliwość, wolność; Fox może to powiedzieć. Gdy Indianie domagają się demokracji, sprawiedliwości, wolności nie mówią tego samego. Należy troszczyć się o słowa i uważać kto je wypowiada lub pisze. Mogą być tylko wyrażeniem retorycznym lub przeciwnie mogą być jakąś treścią. Treścią, która nie jest nieważna, dlatego mówię że demokracja nie jest punktem dojścia ale punktem wyjścia, który się konstruuje cały czas.

Kiedy żyliśmy w Portugalii pod faszystowskimi rządami i represja, wszyscy bali się, że o 6 rano wpadnie policja do domu; ciągle się organizowaliśmy, walczyliśmy lub robiliśmy to co było w naszej mocy aby zniszczyć to. Demokracja (która nie istnieje pomimo tego autorytarnego reżimu zwanego demokracją) zasadniczo dała nam przyzwolenie na wszystko, organizowanie się, manifestowanie etc. Aczkolwiek mało praktykujemy te prawa ponieważ mamy przekonanie, że walka nie jest już potrzebna, teraz gdy jest demokracja. Demokracja jest tylko zasadą i niczym więcej. Jednak media, dyskurs polityczny, spryskują się aby powiedzieć „już mamy demokrację”, i tych momentach obywatelstwo zaczyna gubić żywotność, siłę, energię, zdolność myślenia i oburzania się. Zgubiliśmy zdolność gniewu, ta rzecz, którą kocham wewnętrznie z podniesionym ramieniem.

Dlatego obstate przy tym, że demokracja jest punktem wyjścia i kiedy moglibyśmy mieć coś co realnie można nazwać demokracją kontynuowalibyśmy prace na rzecz tego. Nic z tego nie jest nowym, to co jest potrzebne to bycie coraz bardziej świadomym. Dlatego myślę, że to co należy robić to wykorzystywać obywatelstwo. Nie możemy myśleć że ten świat jest cudem ponieważ świat w którym żyjemy jest nie do zaakceptowania.

5.- Ludzie z dzielnic miasta Meksyk lub Lizbony. Co byś im powiedział o tym co należy robić aby konstruować demokrację oddolną?

Można rozprawiać bez końca, ale powiedziałbym im rozmawiajmy jedni z drugimi, oznajmiamy sobie nasze problemy. Jakie sposoby mamy, każdy z nas lub razem aby rozwiązywać je, identyfikować je, poznawać ich przyczyny. Ponieważ żyjemy w ten sposób. To jest sytuacja poprzednia, nie można zrobić kroku w przód, świadomie, jeśli nie mamy świadomości tych motywów i tych przyczyn, które nas prowadzą do tej sytuacji, w której się spotykamy.

ZIELONY ANARCHIZM CYWILIZACJA TO EKSPLOATACJA

Społeczeństwo masowe jest zbyt skomplikowane, aby funkcjonować bez specjalizacji. Podział pracy ze względu na specjalizację powoduje wzajemną alienację oraz tworzy potrzebną do koordynacji produkcji hierarchię. Hierarchia ta dzieli społeczeństwo na jednostki silne i słabe. Jednostki silne traktowane są jak przedmioty, które można eksploatować. Eksploatacja mająca swe podstawy w klasowości, płci czy problemach etnicznych, jak również upodobaniach seksualnych charakterystyczna jest dla społeczeństwa masowego. Społeczeństwo masowego nie da się zreformować. Należy je zastąpić.

MAŁE JEST PIĘKNE

Społeczeństwo masowe należy zastąpić społecznościami na tyle małymi, aby każda ich osoba była szanowana jako jednostka autonomiczna. W małych społecznoścach hierarchia zostałaby zastąpiona samostanowieniem. Nie można zwalczyć masy masą. Jeśli nasze środki oraz cele mają być spójne, musimy zorganizować się w sieć niewielkich autonomicznych grup, którymi można by zastąpić społeczeństwo masowe.

ZIEMIA LUB ŚMIERĆ

Społeczeństwo masowe powoduje alienację ludzi od Ziemi. Kontrolując zasoby Ziemi, państwo kontroluje społeczeństwo. Musimy skończyć z naszą zależnością od państwa, odbierając mu ziemię oraz żyjąc w sposób samowystarczyalny. Przez ponowne ustanowienie swoich związków z Ziemią podkopujemy hierarchiczne myślenie, które je niszczy.

REWOLUCJA NA PERYFERIACH

Aby przeżyć, społeczeństwo masowe potrzebuje zasobów z całej Ziemi. W największym stopniu eksploatuje ono zasoby ludzkie, konieczne do uprawy ziemi Trzeciego świata, owoce pracy których wykorzystywane są przez bogatych. Odbierając ziemię społeczeństwu masowemu, nie mają oni nic do stracenia. Jeśli z Trzeciego świata importowanych będzie mniej zasobów, społeczeństwo masowe nie będzie w stanie wyprodukować tych towarów w kraju. Jeśli państwo straci kontrolę nad resztą planety, coraz bardziej potrzebne oraz coraz łatwiejsze do założenia będą niewielkie samorządne i samowystarczyalne społeczności.

AUTONOMIA W CHWILI OBECNEJ

Musimy popierać rewolucję na peryferiach, dokonując tutaj własnej. Musimy dzielić się ze sobą umiejętnościami potrzebnymi do przeżycia bez pomocy państwa, stworzyć kulturę oporu, która uwolni nas od alienacji charakterystycznej dla społeczeństwa masowego, która pozwoli nam żyć bez bycia eksploatowanym dzięki bojkotowaniu banków oraz międzynarodowych przedsiębiorstw, budując alternatywną zielono-czarną gospodarkę oraz broniąc siebie i Ziemi przez podejmowanie bezpośrednich działań przeciwko bazom i laboratoriom wojskowym, rozwojowi gospodarki oraz przemysłowi, eksploatacji i nietolerancji.

Czy zgadzasz się z nami?

Jesteś więc zielonym anarchista!

A może zostaniesz osobą kontaktową?

Green Anarchist for Free Society
in Harmony with Nature No. 31 autumn '92
adres: Oxford Green Anarchist, Box 22, 34 Cowley
Road, Oxford

Powstanie w Kronsztadzie "Żadnej władzy Partii"

Poniższy tekst jest krótką historią powstania antybolszewickich marynarzy z Kronsztadu, które miało miejsce zimą 1921 r. Bunt Kronsztadzki to symbol walki myśli wolnościowej z biurokratycznymi koncepcjami autorytarnych komunistów. Pomimo, że od tych wydarzeń minęło już blisko osiemdziesiąt lat, doświadczenia te są ciągle przejrzyste i warte zastanowienia.

Geografia Kronsztadu

Kronsztad, potężne miasto portowe i forteca, utworzone zostało z początkiem XVIII w. przez cara Piotra Wielkiego. Miasto leży na wyspie Morza Bałtyckiego - Kotlin, w Zatoce Fińskiej, 30 km od Leningradu. Miejsce to służy, tak dzisiaj jak i wtedy, jako główna baza rosyjskiej Floty Bałtyckiej. Po całej wyspie rozrzucone są arsenały, fortece, instytucje zaopatrzenia i stocznie. Do dziś jest to miasto militarne z ostrzeżonym terenem, wstęp dla cywilów i nieokrajowców jest wzbroniony. Zatoła Fińska zamraża na zimę. Metrowa warstwa lodu w okresie pomiędzy listopadem a kwietniem łączy wyspę z metropolią. Kronsztad zajmował w roku 1921 1/3 sowieckich Wysp Kotlin. Ludność składała się z załogi Floty Bałtyckiej, żołnierzy garnizonowych, kilku tysięcy robotników stoczni, oficerów, urzędników, rzemieślników i ich bliskich. W sumie ok. 50 tysięcy osób.

Rewolucyjna tradycja mieszkańców Kronsztadu - KALENDARIUM

Październik 1905 Bunt marynarzy Floty Bałtyckiej przeciwko Carowi. Powstanie zostało krwawo tłumione, nastąpiły aresztowania, rozstrzelania, a część uczestników skierowano do przymusowej pracy.

Lipiec 1906 Kronsztad buntuje się ponownie - rewolta Floty Bałtyckiej skierowana przeciwko Carowi.

Lipiec 1915 W protokole jednego z tajników Cara, możemy przeczytać o ówczesnych stosunkach w Kronsztadzie: "Duża część Floty Bałtyckiej, ludzie, którzy z powodów politycznych znajdują się pod nadzorem policyjnym, zostali wysłani na front na lądzie, aby nagwarantować wewnętrzny spokój na statkach.

Marzec 1917 Bunt w Kronsztadzie. Dwóch carskich admirałów i czterdziestu oficerów zostało rozstrzelanych. Załogi wybierają "oficerów" ze swych własnych szeregów, wszelkie odznaki stopni wojskowych zostają zniszczone, mieszkańcy Kronsztadu rządzą się sami. Wszystkie polityczne decyzje są podejmowane kolektywnie przez zgromadzenie narodowe, na głównym placu twierdzy.

Lipiec 1917 Demonstracja w Piotrogradzie przeciwko tymczasowemu rządowi Kiereńskiego jak i przeciw dalszemu prowadzeniu wojny przez rząd mieszczkański. Dwanaście tysięcy uzbrojonych marynarzy i robotników dociera do stolicy. Demonstrują po takich hasłach: "Wojna wojnie!", "Fabryki dla robotników, rolnikom ziemi!", "Precz z władzą polityczną i kapitałem", "Niech żyje rewolucja". Jak do tej pory rząd odnosi jednak zwycięstwo. Powstańcy kronsztadzcy zostają rozbrojeni i powracają do twierdzy. Rozpoczyna się fala aresztowań anarchistów i bolszewików. Rząd wzywa marynarzy z Kronsztadu, aby rozwiązały Sowiety (samorządy, rady), wydali w ciągu dwudziestu czterech godzin swych przywódców i poddali się rozkazom rządu, w przeciwnym bowiem razie rząd grozi militarnym podbojem miasta. Powstańcy odrzucają te zadania. Mieszczkański rząd nie ma już w owym czasie żadnej władzy, aby urzeczywistnić swoje groźby.

Sierpień 1917 General Kornilow, przy wsparciu prawicowych, mieszczkańskich partii, dokonuje puczu skierowanego przeciwko rządowi Kiereńskiego i marszeruje ze swoimi oddziałami na Petersburg. Marynarze z Kronsztadu lądują w Petersburgu, aby przeciwstawić się generalowi. Nie czynią tego, aby bronić mieszczkańskiego rządu lecz by uratować rewolucję przed prawicowym puczem. Zamach stanu Kornilowa zalamuje się. Marynarze odmawiają powrotu do swoich oddziałów, żądają uwolnienia wszystkich więźniów politycznych i grożą wyzwoleniem ich przemocą. Pod wpływem kronsztadzkiego

Sowietów, wracają jednak z powrotem do bazy na wyspie. Październik 1917 Flota Bałtycka blokuje ujście Newy pod Petersburgiem. Kronsztadzki krążownik "Aurora" daje sygnał do rozpoczęcia Rewolucji Październikowej. Marynarze z Kronsztadu zajmują urząd telegraficzny, bank państwowy i inne punkty strategiczne stolicy. Bez ich wsparcia Rewolucja Październikowa być może nigdy by nie zwyciężyła. Trocki pisze w "Historii Rosyjskiej Rewolucji": "Marynarze z Kronsztadu są dumą i chwałą rosyjskiej rewolucji".

Styczeń 1918 Anarchista Anatol Gieleznikow, marynarz Floty Bałtyckiej z Kronsztadu zostaje wydelegowany aby obserwować Zgromadzenie Konstytucyjne w Petersburgu. W nocy rozwiązuje zgromadzenie, w którym partie



mieszczkańskie upatrywały okazję do ujarznienia rewolucji. Czyni to słowami: "Nadszedł czas zakończyć tę komedię. Moi żołnierze są zmęczeni i chcą spać. Moi Państwo, idźcie do domu. Zgromadzenie Konstytucyjne jest rozwiązane".

Październik 1918 Czerwony Piotrogród zostaje zagrożony przez generała Judenicza. Kronsztadzcy marynarze spieszą miastu z odsieczą.

Zima 1921 Po wieloletniej wojnie domowej, Biali zostali zwyciężeni na terenie europejskiej części Rosji. Położenie gospodarcze kraju jest katastroficzne, naród głoduje. Rola Partii Komunistycznej urosła do nieograniczonej władzy. Tajna, komunistyczna służba bezpieczeństwa "CzeKa" rozpoczęła już pół roku po rewolucji uciskanie tych grup, bez których nigdy nie doszłyby do władzy - anarchistów, anarcho-syndykalistów i lewicowych rewolucjonistów. Wśród Floty Bałtyckiej szerzy się niezadowolenie. Komunistyczny komisarz Sarin mówi, że tylko w styczniu 1921 roku ponad 5 tysięcy marynarzy wystąpiło z Partii Komunistycznej. Konferencja członków Partii Komunistycznej Floty Bałtyckiej przyjmuje następującą rezolucję: "partia oddaliła się od mas. Nie odpowiada woli jej aktywnych członków. Stała się ona instrumentem biurokratycznym, który stracił wszelki autorytet wśród mas i dusi każdą lokalną inicjatywę oraz zamienia pracę polityczną w papierkową robotę. Żądamy, aby organizacja rządowa zmieniła swoje pryncypia. Żądamy, aby stała się od podstaw demokratyczna".

Strajki w Petersburgu.

Powstanie w Kronsztadzie wybuchło w momencie, w którym wśród petersburskich robotników i robotnic panowało ogólne niezadowolenie. Stan ten w fabrykach miał różnorodne podłoże. Jednakże jego podstawowym wyzwalczem była pogarszająca się z dnia na dzień sytuacja zaopatrzeniowa. Racje chleba zostały w lutym 1921r. zmniejszone do 250gr. dziennie. Opalu tej straszliwie ciężkiej zimy nie było prawie żadnego. Ponieważ z powodu braku opalu, niektóre zakłady musiały

wstrzymać produkcję, zostały zamknięte przez petersburski Sowiet, robotnicy zaś otrzymali tylko połowę swych racji żywnościowych lub pieniędzy. W tym samym czasie wiadomym było, iż członkowie Partii otrzymali świeże dostawy butów i ubrań, podczas gdy pozostali robotnicy musieli chodzić w lachmanach. Pracownicy zagrożonych zamknięciem fabryk zorganizowali zebranie, na którym chcieli przedyskutować nieznosną sytuację zaopatrzeniową i możliwości jej polepszenia. Zebranie to zostało zabronione przez władze urzędowe, ponieważ robotnicy nie chcieli się zgodzić na zorganizowany przez rząd system rozdzielczy. W momencie gdy rząd wzbraniał się przed rozpatrzeniem skarg dotyczących przywilejów udzielanych dla członków Partii, pozostała już tylko możliwość strajku protestacyjnego, zwracającego uwagę władzy na ciężkie położenie robotników i mogącego wymusić negocjacje dotyczącego się poprawy położenia zaopatrzeniowego. Dnia 22 lutego strajk rozpoczęli robotnicy fabryki Trubietka. Zadania strajkujących były skromne. Domagano się zwiększenia racji żywnościowych i rozdania butów. Jednak petersburski Sowiet kategorycznie odrzucił możliwość negocjacji ze strajkującymi dopóki nie powrócą oni do swojej pracy. Rząd zamiast rozmawiać ze strajkującymi, wysłał kompanię uzbrojonych kadetów komunistycznej akademii wojskowej, by rozproszyć robotników demonstrujących przed bramami fabryk. Pomimo strzałów oddanych w powietrze, strajkujący nie dali się sprowokować. Oburzeni postępowaniem partii komunistycznej wobec robotników i robotnic, do strajku przyłączyli się pracownicy pięciu innych fabryk. Próba demonstracji strajkujących została rozbita przez oddziały konne.

27 lutego 1921 Dzień później, 27 lutego, strajki rozprzestrzeniły się i rząd w tej sytuacji ogłosił w Petersburgu stan wyjątkowy. Pod dowództwem przewodniczącego petersburskiej organizacji partyjnej Zinowiewa, został utworzony komitet obrony, wyposażony w szczególne pełnomocnictwa. Komitet ten rozkazał strajkującym, aby natychmiast podjęli pracę. Ten w stosunku do strajkujących stał się wyraznie ostrzejszy. Jeden z członków "komitetu obrony", na posiedzeniu miejskich Sowietów określił strajkujących jako "krwiopijców i szantazystów", przeciwko którym muszą zostać podjęte najsurowsze kroki. Na tym samym posiedzeniu został postanowiony lockout wobec wszystkich strajkujących, co było równoznaczne ze skazaniem ich na śmierć głodową, ponieważ krok ten oznaczał natychmiastowe pozbawienie biorących udział w strajku wszelkich racji żywnościowych. Strajk zaostriżł się.

28 lutego 1921 Strajk zataczał coraz szersze kręgi. Ogarnia także pierwszą zmianę w "warsztatach Putilowa", które posiadały od początku ruchu robotniczego w Rosji jedną z najbardziej walecznych załóg, a w 1917r. była to ostoja bolszewików. Pod wpływem twardej linii organów komunistycznych, strajk przyjmował coraz bardziej polityczny charakter. Na początku chodziło "tylko" o poprawę racji żywnościowych oraz inne uposażenia materialne. Z czasem pojawiły się głosy krytykujące zakaz zgromadzeń robotniczych. Plakaty wyrażały tę sytuację konkretnie. Z nich można było wyczytać: "Jest nieodpowiedzialnym, aby rząd zmienił swoje środki i metody. To czego robotnicy i chłopci potrzebują to wolność. Oni nie chcą być rządzeni przez bolszewików. Chcą sami kierować swym losem. Żądamy uwolnienia wszystkich uwięzionych socjalistycznych i bezpartyjnych robotników, zniesienia stanu wyjątkowego, wolności słowa, prasy, spotkań dla wszystkich. Żądamy wybranych przez nas rad robotniczych związków zawodowych i wolne Sowiety". Te żądania musiały oznaczać dla rządu bolszewickiego, sądzącego, iż wszystkie lewicowe opozycyjne gazety grupy zostały wyeliminowane, cios w twarz. Zinowiewowi nie przyszło też nic innego do głowy, niż przedstawienie zaistniałej sytuacji jako spisku mienszewików i innych lewicowych rewolucjonistów.

1 marzec 1921 Ponieważ wszystkie groźby nie pomagały strajki rozszerzały się coraz bardziej. Tajna komunistyczna policja "CzeKa" rozpoczęła masowe

aresztowania strajkujących, rozwiązała także kilka związków zawodowych. Rozdrażnienie ludności przybiera na sile. "Komitet" obrony nie mogąc dłużej ufać w lojalność petersburskiego garnizonu, zaczął domagać się jednostek z innych części Rosji. Z prowincji zostaje przeniesionych kilka doborowych komunistycznych oddziałów. W Petersburgu zostaje ogłoszony stan wojenny. Na mocy jego prawa wszyscy strajkujący zostali zagrożeni karą śmierci. W wyniku sztywnych wymierzanych w ludność i stale wzrastającej fali niezadowolenia, elementy kontrrewolucyjne upatrywały w nich znakomitą możliwość do odwetu. Na ścianach pojawiło się parę plakatów i pamfletów, jednakże wśród strajkujących nie odniosły one żadnego wpływu. Strajkujący robotnicy i robotnice zdecydowali byli prowadzić strajk, aż do rozpoczęcia negocjacji. Jednakże było widocznym, iż na

ludności. Rządowi, który sam wcześniej określił się jako "rząd robotników i chłopów", nie przyszło nic innego do głowy, niż wprowadzić przymusowe rekwirowanie płodów rolnych i zrobić sobie tym sposobem wrogów wśród, początkowo sympatyzujących z nim, chłopów, którzy sami, bez pomocy nakazów rządowych, chcieli regulować wymianę produktów między wsią, a robotnikami w mieście. Także Sowiety, powstałe jako spontaniczne organy samorządności robotniczej, jak i związki zawodowe zostały wcielone w aparat państwowy i podporządkowane centralistycznemu planowaniu. Na wpływe stanowiska obierani byli już tylko członkowie partii bolszewickiej, do której przylączyło się coraz więcej karierowiczów. Dlatego też nieuniknioną konsekwencją takiego stanu rzeczy był choćby fakt, iż w Moskwie liczba robotników w lokalnych organizacjach partyjnych, nie przekraczała 1/4 liczby członków. Większość z nich to zawodowi urzędnicy, funkcjonariusze partii lub specjaliści (uczni w politycznym piśmie). Bolszewicy preferowali tzw. militaryzację przemysłu, która przewidywała najcięższe kary za nie przybycie lub nie przystąpienie do pracy. Pojęcie "przemysłu wojennego", pod którym ta forma gałęzi i produkcji była znana, została, dopiero później po zmianach systemowych, zastąpiona przez "Nową Ekonomię Polityczną" - NEP. Rząd próbował wywierać wrażenie jakoby przemysł wojenny był rezultatem zagrożenia. W rzeczywistości ta "militaryzacja pracy" w jej konsekwencji była niczym innym niż próbą rozwiązania podstawowych problemów gospodarczych na drodze policyjnej i militarnego terroru. Naturalnie, proces ten nie przebiegał bez oporu ze strony ludności jak i pozostałych grup lewicowych. Jednak został on dość szybko przez bolszewików złamany. Główną rolę w tym procesie odegrała bolszewicka tajna policja. Gazety zostały pozamykane, miejsca spotkań rozbite, członkowie grup oporu zostali rozbrojeni, a następnie zsyłani bądź też mordowani. Wszystkie te posunięcia wspaniale dało się usprawiedliwić długoletnią wojną domową, która wybuchła po rewolucji. Przede wszystkim imperialistyczne mocarstwa takie jak Anglia, Francja oraz USA robiły wszystko, co w ich mocy, aby poprzez finansowe wsparcie kontrrewolucyjnych generałów, bądź też poprzez bezpośrednią interwencję zbrojną, zniszczyć owoce rewolucji. "Biali", co prawda, na zawsze zostali pokonani przez "Czerwone gady", jednakże enigmatyczne robotnicze oddziały partyzanckie zawsze mogły posłużyć "CzeKa" jako pretekst do zlikwidowania wszystkich opozycyjnych ruchów. Zapomniane zostały szybko obietnice Lenina, jakoby każdej grupie społecznej, posiadającej 10.000 członków przysługiwało prawo finansowania jednej gazety i miejsca spotkań. Co pozostało z bolszewickich obietnic? Terror. W przededniu lutowych strajków, w Petersburgu i powstania w Kronsztadzie rozluźniła się nieco sytuacja zewnętrzna. Ostatnie kontrrewolucyjne powstania zostały rozbite w 1920 roku. Cały kraj czekał na to, że polepszy się sytuacja zaopatrzeniowa i zakończą w końcu represje wprowadzone przez bolszewików, pod pretekstem wojny domowej. Poza tym, w całym kraju żądano spełnienia obietnicy, dającej robotnikom kontrolę nad środkami produkcji oraz zniesienie "przemysłu wojennego", który zaprowadził kraj na pogranicze chaosu.

w mieście, wysłali tam 26 lutego delegację mającą zorientować się o charakterze strajków. Delegacja ta odwiedziła wiele fabryk i 28 lutego wróciła z powrotem do Kronsztadu". Berkman pisze 2 marca: "Słyszałem, że wysłannicy floty z Kronsztadu dostali się do miasta, aby sprawdzić co powoduje niepokój. Jest niemożliwym rozróżnić co jest prawdą, a co plotką. Ponieważ nie istnieje żadna oficjalna sprawozdawczość, rozprzestrzeniły się przeróżne spekulacje". Sprawozdanie złożone przez wysłanników marynarzy, wypadło na niekorzyść bolszewików. W Kronsztadzie zaczął panować niepokój. 1 marca załoga pierwszej i drugiej Floty Bałtyckiej powołała zebranie na Placu Jakorni. Według Berkmana brało w nim udział 16.000 marynarzy, czerwonooarmistów i robotników. Dzięki pogłoskom donoszącym, iż strzelano do robotników w Petersburgu, uczestnicy zebrania byli rozdrażnieni do granic możliwości. Po raz pierwszy pokazują się czarne czerwone sztandary. Wysłany przez Lenina z Moskwy prezydent ZSRR, Kalinin przemawia przed masami, żeby je uspokoić. Cały czas jego przemówienie jest przerywane przez marynarzy wołających: "Dlaczego są rozstrzeliwani nasi bracia i ojcowie na wsi, wy jesteście syty, wam jest ciepło, komisarze mieszkają w pałacach". W końcu robotnicy i marynarze przepędzili komisarza wojskowego Floty Bałtyckiej, towarzyszącego Kalininowi i do mas przemawia człowiek z ich szeregów: "Towarzysze, wystarczy się tylko obrócić, aby zauważyć, że wpadliśmy w straszne bagno. W to bagno zostaliśmy wturceni przez grupę komunistycznych burokratów, która pod płaszczykiem komunizmu oblowiła się w naszej republice. Ja sam byłem komunistą, ale teraz wzywam was, towarzysze abyście przepędzili tych fałszywych komunistów, napuszczających robotników na chłopów, chłopów na robotników. Musi nastąpić koniec z rozstrzeliwaniem naszych". Na tym samym spotkaniu została jednogłośnie przyjęta rezolucja, którą sporządził załoga krążownika "Pietropawłowski". Kalinin nazwał ją kontrrewolucyjną, marynarzy zaś nieodpowiedzialnymi nieojojalnymi. Rezolucje wszystkich załóg pierwszego drugiego pułku Floty Wschodnio-bałtyckiej. 1 marca 1921 r. "Wysłuchaliśmy sprawozdania komisji wysłanej do Petersburga przez marynarzy pierwszej Floty Bałtyckiej, aby rozpoznać sytuację. Postanowiliśmy:

1. Ponieważ obecne Rady nie odpowiadają woli robotników i robotnic oraz chłopów, żądamy zorganizowania nowych wyborów, a w czasie przedwyborczym zagwarantowania wolnej agitacji dla robotników i chłopów.
2. Wolność słowa i prasy dla robotników, chłopów, anarchistów i lewicowo-socjalistycznych partii.
3. Wolność gromadzenia się i łączenia wszystkich związków zawodowych, jak i organizacji rolniczych.
4. Przygotowanie ponadpartyjnej konferencji robotników, żołnierzy armii czerwonej, marynarzy z Piotrogrodu i Kronsztadu, która ma się rozpocząć najpóźniej 10 marca.
5. Żądamy zwolnienia wszystkich więźniów politycznych, którzy należą do partii socjalistycznych oraz robotników, chłopów i marynarzy, którzy zostali zamknięci w związku z ruchami robotniczymi i chłopskimi.
6. Powołanie komisji rewizyjnej, aby sprawdzić wszystkich innych siedzących w więzieniach i obozach koncentracyjnych.



dłuższą metę nie mają oni sił. Pozbawienie racji żywnościowych i możliwości stołowania się w kantynach robotniczych groziło im z czasem wygłodzeniem. Wsparcie ze strony narodu było prawie niemożliwe, ponieważ wszystkie ulice prowadzące do fabryk zostały zablokowane przez uzbrojone oddziały. Poza tym pozostała ludność żyła na pograniczu śmierci głodowej. W oficjalnej prasie komunistycznej (w tym czasie inna już nie istniała) ukazywały się szczujące artykuły przeciwko strajkującym, którzy byli w nich określani jako "kontrrewolucyjniści i elementy asocjalne". W obliczu twardej postawy komunistów strajkujący zostaliby zagłodzeni, gdyby nie otrzymali pomocy z zewnątrz. I tutaj na planie wydarzeń pojawiają się marynarze kronsztadzkiego garnizonu.

Sytuacja w ZSRR na początku 1921 r.

Zanim przejdziemy do opisu dalszych wydarzeń rzucimy okiem na ogólną sytuację w Związku Radzieckim zimą 1920 - 21, jak i na sytuację rządzącej Partii. Z powodu braku tych informacji, twarzą postawą rządu w stosunku do strajkujących jak i inne wydarzenia po sobie następujące, mogą wydać się dla niektórych czytelników niezrozumiałe. Po obaleniu prawicowo-socjaldemokratycznego rządu Kiereńskiego, w listopadzie 1917 roku, w którego skład, obok bolszewików, weszły prawie wszystkie pozostałe grupy lewicowe (anarchiści, lewicowi socjaldemokraci, Maxymaliści), partia bolszewicka rozpoczęła natychmiastowe podporządkowywanie życia społecznego swojej kontroli. Prawie wszystkie środki produkcji zostały upaństwowione. Kooperatywy konsumentów (które regulowały wymianę produktów żywnościowych i przemysłowych), posiadające miliony członków, pozbawione zostały swojej autonomii i były zarządzane przez państwo. W ten sposób powstały scentralizowane i biurokratycznie zarządzane urzędy planowania, które już po krótkim czasie okazały się niezdolne do zaspokajania nawet najprostszych potrzeb

Różdżek wewnątrz partii komunistycznej

Te żądania i nadzieje znalazły swój odpowiednik wewnątrz panującej partii. Pod koniec 1920 roku utworzył się wewnątrz partii silny nurt opozycyjny pod przywództwem Aleksandra Kolontaja i Szlipnikowa. Nazwali się "Opozycja Robotnicza" i żądali wznowienia kontroli nad środkami produkcji przez robotników i robotnice. Poza tym żądali umocnienia praw i autonomii związków zawodowych. Jednak "Opozycja Robotnicza" nie zwracała się przeciw partii bolszewickiej jako jednemu organowi zarządzającemu ani przeciw jej dyktaturze. Mimo to wewnątrz partii nazywani byli anarcho-syndykalistami, chociaż z tą formacją polityczną nie mieli nic wspólnego.

Powstanie w Kronsztadzie

26 lutego, marynarze dowiedziawszy się o strajkach i aresztowaniach, wysłali delegację do Petersburga. Miała ona za zadanie zorientować się w panującej sytuacji, aby ewentualnie podjąć akcje solidarnościowe, wspierające petersburskich robotników. Ida Melt pisze o tym w swej książce "Komuna w Kronsztadzie" - "Kronsztadcy marynarze, którzy bystrym okiem obserwowali wydarzenia



7. Zniesienia wszystkich politycznych biur komunistycznych, ponieważ żadna partia nie ma prawa żądać specjalnych przywilejów lub pomocy finansowej ze strony państwa. Zamiast tego stworzenia komisji kultury i wychowania, które mają być wybierane lokalnie i finansowane przez państwo.

8. Natychmiastowe rozwiązanie wszystkich zbrojnych bolszewickich oddziałów politycznych.

9. Takie same racje żywnościowe dla wszystkich pracujących, z wyjątkiem tych, którzy przez swą pracę są zagrożeni zdrowotnie.

10. Zlikwidowanie wszystkich komunistycznych oddziałów bojowych w armii i zakładach pracy. Samodzielna organizacja tych oddziałów przez robotników i żołnierzy, jeśli zajdzie taka potrzeba.

11. Oddanie chłopom całkowitej władzy nad ich ziemią i prawa trzymania własnego bydła, pod warunkiem, że utrzymują się z własnych środków, tzn. bez zatrudniania opłacanej siły roboczej.

12. Poprosić żołnierzy, marynarzy i robotników, aby przyswoili sobie nasze decyzje.

13. Zadać o to, aby nasze decyzje były rozkolportowane w prasie.

14. Wybrać mobilną komisję kontrolną.

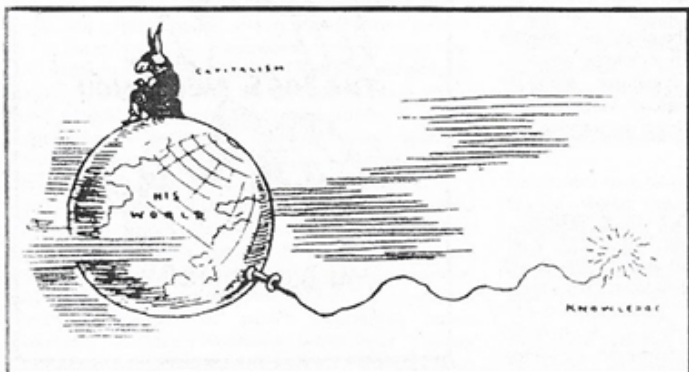
15. Dopuszczać do wykonywania indywidualnego rzemiosła, jeżeli nie polega ono na wyższej sile roboczych. Te zadania, po części kolorowo zestawione, po części nie jednoznacznie sformułowane, odpowiadały w swej intencji szerokiej masie ludności rosyjskiej. Kronsztadzcy powstańcy żądali więc ponownie władzy dla Rad, a nie dyktatorskiej władzy bolszewików. Ida Melt pisze o rewolucji marynarzy: "Rezolucja powstańców wyróżniała się dużą przejrzystością. Nie wniosła ona nowych myśli. Jej główne punkty były już wszędzie rozpowszechnione i leżały, że tak to nazwę, w powietrzu. Robotnicy i chłopcy, którzy opowiedzieli się za rezolucją, czuli już teraz więzienie i obozy koncentracyjne". 2 marca spotkali się delegaci statków, żołnierzy, fabryk oraz związków zawodowych - w sumie około 300 osób - i mianowali prowizoryczny komitet rewolucyjny, pragnący przygotować wybory do Rad. Po tych wydarzeniach, 9 marca w Piotrogradzie pojawiło się obwieszczenie Trockiego i Lenina, w którym marynarze z Kronsztadu zostali określone jako buntownicy i kontrrewolucyjni spiskowcy, występujący przeciwko proletariackiej republice. Członkowie partii komunistycznej zostali wezwani aby "udać się natychmiast do fabryk i przeciągnąć robotników na naszą stronę, przeciwko zdradcom". Także radio "Moskwa" brało udział w nagonce przeciwko powstańcom. Już trzeciego marca przerywa ono swój program i nadaje: "Buntownicy carskiego generała Kozłowskiego i statku "Pietropawłowski" są wysłannikami "Białych" i szpiegami Ententy... Jest więc jasne, że powstanie w Kronsztadzie jest sterowane z Paryża. Historia powtarza się znowu. Socjal-rewolucjonści, których czołwaka partyjna siedziba w Paryżu, przygotowują podłoże dla nowego powstania, wymierzonego we władzę sowiecką. Za ich plecami, jako inspirator, pojawił się carski generał Kozłowski. Powtarza się historia Kołczaka, który wykorzystał socjal-rewolucjonistów, aby zdobyć władzę". Już następnego dnia radio "Moskwa" przekazuje następującą wiadomość: "Do wszystkich! Do wszystkich! Do wszystkich! W Piotrogradzie panuje spokój i porządek. W niektórych zakładach słychać sporo oskarżeń skierowanych przeciwko rządowi radzieckiemu. Jednakże i w tych zakładach widzę dzisiaj każdy, że działali tu prowokatorzy. W tym momencie, gdy w Stanach Zjednoczonych władzę przejmuje nowy rząd republikański, który jest gotowy

wznowić stosunki handlowe ze Związkiem Radzieckim, nie mają kłamcy i buntownicy z Kronsztadu nic innego na celu, jak chęć wpłynięcia na prezydenta Stanów Zjednoczonych, aby zmienił on swą politykę w stosunku do ZSRR. Bunt na krążowniku "Pietropawłowski" jest bez wątpienia częścią wielkiej zmywy, która ma wewnątrz ZSSR szerzyć niepokój i nam szkodzić... Przywódcami tego planu są: carski generał Kozłowski oraz paru "białych" oficerów, akcję tę wspierają także Mienszewicy i socjal-rewolucjonści." Tymi kłamstwami bolszewicy próbowali wzbudzić niechęć i odrazę robotników do marynarzy z Kronsztadu. Ich głównym argumentem przeciwko rebeliantom była plotka, iż "biały" generał przewodzi buntowi. To stwierdzenie jest absurdalne. Kozłowski był płatym specjalistą od spraw artylerii, a do Kronsztadu został odkomenderowany przez Trockiego. Służył on już za cara, ale w 1921 roku był już "zwapniałym", chorym i starym człowiekiem (Berkmann). Kłamstwem było także jakoby Biała Gwardia brała udział w powstaniu. To właśnie przede wszystkim garnizon z Kronsztadu wyróżnił się w walce przeciwko kontrrewolucyjnym i innym oddziałom. Konsekwencją tego steku kalumni był fakt, iż wielu robotników i marynarzy wystąpiło z partii. Ludzie ci, których celem przewodnim była walka o socjalizm i wyzwolenie robotników, byli oburzeni. W wyniku zamieszek w Kronsztadzie, bolszewicy zaczęli się obawiać, że robotnicy z Piotrogradu mogli by przyłączyć się do marynarzy. Ogłoszono stan wyjątkowy. Rząd radziecki rozkazał rozpedzić każdy strajk robotniczy lub demonstrację przy pomocy ognia karabinów maszynowych 4 marca: "Cały region północny został objęty stanem wyjątkowym". Tegoż dnia miało miejsce nadzwyczajne posiedzenie petersburskich rad. Emma Goldman opisuje to w swoich wspomnieniach: "Trocki zapowiedział, że przyjedzie z Moskwy, aby wziąć udział w posiedzeniu rad (sowieców)", podczas którego miano zdecydować o losie Kronsztadu..." Jak na nieszczęście jego pociąg miał opóźnienie i Trocki nie pojawił się na posiedzeniu. Mówcy, którzy tam występowali nie wykazywali zdrowego rozsądku. To co mówili świadczyło o fanatycznym podporządkowaniu i szaleństwie. Trybuna była obstawiona przez żołnierzy "CzeKa", którzy z założonymi bagnietami stali pomiędzy trybuną, a ludźmi. Zinowiew, który prowadził posiedzenie był bliski załamania nerwowego. Kiedy w końcu doszedł do głosu, odrzucił bez przerwy głowę na boki, jak gdyby bał się napadu, a gdy zaczął mówić głos jego zamieniał się w krzykliwy cieniutki wrzask, co pozbawiało go siły przekonania. Obwiniał generała Kozłowskiego, określał go mianem złego ducha Kronsztadu. Przy czym wszyscy wiedzieli, że to sam Trocki oddelegował generała na wyspę, jako specjalistę od artylerii i nie mógł mieć żadnego wpływu na załogę garnizonu. Ten fakt jednak nie przeszkadzał Zinowiewowi oznajmić, że Kronsztad powstał przeciwko rewolucji i próbuje urzeczywistnić szaleńcze plany generała Kozłowskiego oraz jego pomocników. Kalinin wdział maskę surowego ojca i zaatakował marynarzy z wściekłością: "żaden środek nie jest zbyt surowy, jeżeli chodzi o kontrrewolucjonistów", oznajmił. Jeden głos uniósł się ponad krzyk i wrzask tłumu. Dźwięcznie uniósł się ponad tłumem. Był to głos mężczyzny z pierwszego rzędu. Powiedział on, że czuje się zmuszony protestować przeciwko fałszywym stwierdzeniom wymierzonym przeciwko odważnym i lojalnym powstańcom z Kronsztadu, które padają ze strony bolszewików. Wskazał na Zinowiewa palcem i powiedział: "Wasza obojętność i wasza partia zmusiły nas, do strajku i zrównały nam sympatię towarzyszy z Kronsztadu, którzy podczas rewolucji walczyli po naszej stronie. To jest ich jedynym przestępstwem i wy wiecie o tym bardzo dobrze. Spotwarzacie ich celowo i chcecie ich zabić". Sala szalała, padały groźne okrzyki: "Kontrrewolucjonista, zdrajca, mienszewicki bandyta". Stary robotnik stał dalej i jeszcze raz podniósł swój głos: "Jeszcze nawet nie minęły trzy lata jak mogliśmy słyszeć o Leninie, Zinowiewie i Trockim, że jesteście niemieckimi konspiratorami i zdrajcami. My robotnicy i marynarze z Kronsztadu

przybyliśmy wam jednak z pomocą i uratowaliśmy przed rządem Kiereńskiego. My daliśmy wam władzę! Zapomnieliście już o tym? Teraz straszycie nas bronią! Prowadzicie niebezpieczną grę, powtarzacie błędy i



przestępstwa Kiereńskiego. Uważajcie abyście nie skończyli tak jak i on". Zinowiew był do głębi dotknięty. Inni, którzy siedzieli na trybunie poruszali się niespokojnie na swych stołkach. Komunisti w sali milczeli. W tym momencie podniósł się duży mężczyzna w marynarskim mundurze w tyle pomieszczenia. "Marynarze, powiedział on, walczy dla rewolucji. Po czym rozpoczął czytać rezolucję powstańców z pierwszego marca. Natychmiast podniósł się straszny wrzask. Nie można było zrozumieć żadnego słowa. Następnego dnia, piątego marca, Trocki przybył do Piotrogradu. Potwierdził rezolucję Zinowiewa. Obawiał się, że powstanie jeśli nie rozrosnie się do trzeciej rewolucji, to przynajmniej zwiększy panujący nieporządek. Ponieważ nawet po rozbiciu "białych" oddziałów, bolszewicy nieustannie borykali się z wewnętrznymi kłopotami - z polityczną opozycją. Jedyną odpowiedzią Zinowiewa była rezolucja, która przyniosła ze sobą. Żądał w niej natychmiastowego poddania Kronsztadu, w przeciwnym razie zagroził likwidacją załogi. Rezolucja ta została przyjęta w piekielnym krzyku, gdzie pojedyncze głosy nie były słyszalne, także przeciwko rezolucji nikt nie mógł zaprotestować. W Rosji panował chaos. Głodujący chłopcy znad Wołgi ruszyli z wezwaniem nowej rewolucji w guberni Saratow. Pod koniec 1920 roku Tuchaczewski musiał ruszyć z 21 dywizjami strzelców wyborowych przeciwko powstańcom. Tak więc jeżeli Lenin i Trocki chcieli utrzymać swój reżim, nie mogli pokazać łagodności w stosunku do powstańców w Kronsztadzie. Po przybyciu Trockiego zostały w mieście rozlepione plakaty podpisane przez Trockiego i Tuchaczewskiego, który także przybył do Petersburga z wyborowymi oddziałami. Na plakatach tych widniały następujące słowa: "Do garnizonu, ludności i buntujących się fortów. Rząd robotników i chłopów postanowił natychmiast przekazać Kronsztad i jednostki marynarskie w ręce Kraju Rad. Długoletni rozkazuję wszystkim tym, którzy powstałi przeciwko socjalistycznej ojczyźnie, natychmiast złożyć broń. Kto się sprzeciwi, zostanie rozbrojony i przekazany urzędnikom sowieckim. Tylko ci, którzy poddadzą się bolszewikom mogą mieć nadzieję na litość rządu radzieckiego. Jednocześnie wydaję rozkaz w sprawie przygotowań zmierzających w kierunku rozbiicia powstania i zmuszenia rebeliantów przez użycie siły zbrojnej do poddania się. Odpowiedzialność za wszelkie nieszczęście, mogące spaść na pokojowe elementy ponosić będzie biała, rebeliancka gwardia. To jest ostatnie ostrzeżenie". Jeszcze tego samego dnia Trocki wydaje ponowne wezwanie o poddanie Kronsztadu. Zawiera ono zdanie: "Powystrelamy was jak kuropatwy". Wielu bolszewików nie mogło uwierzyć, że te słowa zostały wypowiedziane przez Trockiego, który w 1917 roku nazwał Kronsztadówców: "dumą i chwałą rosyjskiej rewolucji". Duża liczba członków partii komunistycznej opuszcza szeregi: "partii kata Trockiego". W kronsztadzkiej gazecie "Izwestia", małym piśmie ulotnym, które rady Kronsztadu wydają codziennie, możemy przeczytać list nauczyciela Desnina: "Ogłaszam publicznie do wiadomości, przed prowizorycznym komitetem rewolucyjnym, że od pierwszego strzału armatniego na Kronsztad nie uważam się więcej za członka partii



komunistycznej. Przyłączam się do hasła robotników z Kronsztadu - Cała władza radom, a nie partii! List dowódcy frontu kronsztadzkiego Baranowa: "Partia nie wyraża już woli większości ludności. Potwierdzają to na przykład listy z prowincji, które opisują nieszczęścia i prześladowania rolników przez partię. Nie uważam się więcej za członka partii komunistycznej. Popieram rezolucję z pierwszego marca i podporządkowuję się dobrowolnie zarządzeniom rewolucyjnego komitetu z Kronsztadu. List "czerwonego" dowódcy: "Doszedłem do wniosku, że polityka partii komunistycznej wprowadziła kraj w ślepią uliczkę. Stała się biurokratyczna. Niczego się nie nauczyła i nie chce się nauczyć. Wzbrania się wsłuchać w głos mas. 115 mln. chłopów nie ma nic do powiedzenia. Od zaraz nie uważam się za członka partii komunistycznej, popieram całkowicie rezolucję z 1-go marca i jestem gotowy oddać wszystkie siły dla jej urzeczywistnienia". Z ultimatum Trockiego z 1-go marca marynarze nie zgodzili się. Był już marzec i lód nie zalegałby długo, rozpuściłby się, a twierdza stałaby się nie do zdobycia. Wiedzieli o tym doskonale bolszewicy i dlatego starali się to zbuntowane miasto jak najszybciej zgładzić. 6-go marca wzbily się w powietrze pierwsze samoloty Tuchaczewskiego, aby rozpocząć bombardowanie domów i fortów. 7-go i 8-go ostrzeliwano Kronsztad z ciężkiej artylerii. Aleksander Berkman notuje w swym pamiętniku 8-go marca wieczorem: "Na Moście Newskim słyszałem dzisiaj ciężko brzmiać odgłosy wybuchów. Teraz można te odgłosy słyszeć głośniejszy i wyraźniej, jak gdyby zbliżały się w naszym kierunku. W tym momencie stało się dla mnie jasne, że mógł to być tylko ogień artylerii. Jest szósta wieczorem. Atak na Kronsztad rozpoczął się." Wiadomość radiowa Kronsztadowców z 8 marca: "Padł pierwszy strzał, ale cały świat wie, że krwawy marszałek połowy Trocki, który stoi po kolana we krwi robotników, jako pierwszy otworzył ogień na rewolucjonistów z Kronsztadu, oburzonych na partię komunistyczną. Zostaniemy lub padniemy w ruinach Kronsztadu, w walce za poplamioną krwią sprawę ludu pracującego. Niech żyje władza Sowiećów, niech żyje socjalna rewolucja!" Chociaż Kronsztad znajdował się geograficznie w dobrej pozycji, to jednak sytuacja powstańców była nie do pozazdroszczenia. W Kronsztadzie znajdowało się 14.000 mężczyzn (10.000 marynarzy, 4.000 artylerzystów). W tym samym czasie wojska rządowe posiadały praktycznie niewyczerpalne rezerwy. W przeciągu kilku dni udało się Tuchaczewskiemu i jego sztabowi generalnemu sprowadzić specjalne kurtki śniegowe, ruchomą artylerię, a nawet samoloty. Kronsztadzkie twierdze posiadały co prawda także bardzo dużą siłę ogniową, lecz były one przede wszystkim skierowane na zachód, ko morzu, nie na wschód, skąd szli napastnicy. Zasięg niewielu ruchomych dział nie przekraczał 15 km, nie mogły one dosięgnąć Piotrogradu. Przed Kronsztadem stały 4 ciężkie i 5 lekkich krążowników, dla tej operacji były jednak nie użyteczne, ponieważ były skute przez lód, a lodolamaczy nie było. Wielką uciążliwością był brak opału, żywności i amunicji. Dlatego jedyna szansa powstańców z Kronsztadu leżała w zasadzie w tym, aby bronić miasta tak długo, dopóki nie roztopi się lód. Wtedy Kronsztad byłby praktycznie nie do zdobycia. Wtedy można by było wykorzystać statki do interwencji. Wówczas Kronsztad mógłby przedstawiać niebezpieczeństwo dla Piotrogradu. Podczas gdy Tuchaczewski rozkazał "jedyne" zbombardować Kronsztad w dniu 7-tym marca, atak rozpoczął się z dniem 8-ego marca. W tym czasie lód skubał jeszcze obszar położony pomiędzy metropolią, a wyspą. Na czele atakujących kroczyły oddziały kadetów odzianych w białe maskujące kurtki, za nimi podążali czerwonoarmiści, koniec kawkady zamykały oddziały "CzeKa" z karabinami maszynowymi. Za zadanie mieli oni pokrzepiać ducha walki salwami z broni automatycznej kierowanymi w swych dezertujących towarzyszy broni. Środki te nie były zbędne, co wynika z relacji komisarza Uglanowa z 8-go marca: "Musielimy się wycofać i zaprzestać dalszych ataków, ponieważ oddział znajdował się w stanie dużego zdemoralizowania. Armia nie jest w stanie powtórzyć ataku na forty. Trocki donosi o złym morale panującym wśród żołnierzy. Przeważa następująca postawa w armii - żołnierze buntują się i dezertują. Dwa bataliony oddziałów rządowych przeszły na stronę Kronsztadowców. Często organizowane są spotkania żołnierzy, na których dyskutowane są hasła i postulaty kronsztadzkich powstańców. W pobliskim mieście Oranienbaum buntuje się kilka pułków Armii Czerwonej, nie chcą zaatakować Kronsztadu. Jednak dowódcy

sowieccy pozostają nieugięci. Co piąty zostaje postawiony pod ścianą. W tym samym czasie rozpowszechnia się wiadomości, w których powstańcy objaśniają swoje stanowisko i wzywają do solidarności. Wezwanie prowizorycznego komitetu rewolucyjnego "Towarzysze, robotnicy i marynarze Armii Czerwonej! My w Kronsztadzie wiemy jak wy i wasze rodziny cierpią pod dyktandem. Obaliliśmy stare komunistyczne rady, a prowizoryczny komitet rewolucyjny przygotowuje wybory do nowych rad, które będą wolno wybrane. Wyrażać one będą wolę społeczeństwa i garnizonu, a nie grupy ogłupiałych komunistów. Nasza sprawa jest słuszna. Wypowiadamy się za władzą rad, a nie partii". Żądamy, aby masy pracujące mogły same wybierać swoich



przedstawicieli. Nasze żądania nie docierają do rad "kupionych" przez partię. Ich jedyną odpowiedzią na nasze sprawiedliwe żądania są strzały". Lenin, Trocki i inni bolszewicy kamraci odpowiedzieli na ten meldunek, jak i przedtem, głupimi bajeczkami, że "biali" sterują powstaniem. Ponieważ jak się okazało, żołnierze Armii Czerwonej nie byli głusi na meldunki z Kronsztadu, Trocki wprowadził do walki (za poradą wymyślnego Stalina) oddziały sprowadzone z azjatyckiej części Rosji. Byli to mieszkańcy Syberii, Kirgizi, Baszkirowie. Aby wesprzeć ducha bojowego przybyło z Moskwy trzystu przedstawicieli X Korpusu Partyjnego, którzy mieli za zadanie pomóc w stłamszeniu rewolucyjnych nastrojów w armii. 10 marca, po udanym odparciu pierwszego ataku na twierdzę, przeszła do Kronsztadu wiadomość z Paryża i Reval. Rosyjscy kapitaliści, żyjący na emigracji proponowali powstańcom z Kronsztadu ponad 500.000 franków i byłe carskie wojska gotowe do wkroczenia z pomocą. Obie te propozycje zostały energicznie odrzucone. Odpowiedź do Reval brzmiała: "Zostaniecie gdzie jesteście - stop - takich jak wy nie potrzebujemy! Dwa następne ataki z 11 i 12 marca zostają odparte. Radio "Kronsztad" melduje: "Od dwunastu dni bohaterki opór atakom komunistycznych katów stawiają grupy marynarzy, żołnierzy Armii Czerwonej i robotników odcięte od świata. Stoimy za sprawą, która szansą dla wyzwolenia ludu od ucisku zrodzonego w łonie jednej partii i umrzemy z okrzykiem "niech żyją wolne wybrane Sowiećy, niech proletariat całego świata dowie się o tym co się tu dzieje! Towarzysze potrzebujemy waszego wsparcia moralnego. Protestujcie przeciwko przemocy komunistycznych autokratów". "Nasi generalowie z "Izwesti" z 12 marca: "Komuniści chcą wmówić całemu światu, że wśród członków rewolucyjnego, komunistycznego komitetu znajdują się białogwardyjscy generalowie i oficerowie wraz z jednym księdzem. Aby zakończyć te kłamstwa raz na zawsze, powiadamy komunistów, że nasz komitet składa się z piętnastu członków i są to:

1. Pietriczenko - starszy mat na krążowniku "Pietropawłowski";

2. Jakowienko - telefonista z okręgu kronsztadzkiego;
3. Ossosow - maszynista ze statku "Sewastopol";
4. Archipow - inżynier maszyn;
5. Perepelkin - mechanik na "Sewastopolu";
6. Patruszew - pierwszy mechanik na "Pietropawłowski";
7. Kupolow - asystent lekarski;
8. Werszinin - marynarz na "Sewastopolu";
9. Tukin - elektromechanik;
10. Romanienko - doker;
11. Orjesin - pracownik 3. Szkoły Technicznej;
12. Valik - tapicer;
13. Pawłow - robotnik fabryki min morskich;
14. Bajkow - kierowca;
15. Kilgast - starszy marynarz

to są nasi "generalowie", panowie Trocki i Zinowiew. Równocześnie tacy jak Brusilow, Kamieniew, Tuchaczewski i inne sławy carskiego reżimu stoją po waszej stronie". Ida Melt pisze w tych dniach: "Tutaj w Kronsztadzie zostały postawione fundamenty dla trzeciej rewolucji, która otworzy szerokie horyzonty sprawie socjalizmu. Rewolucja ta ma przekonać masy robotników na wschodzie i zachodzie o tym, że to co się u nas dotychczas wydarzyło, nie ma z socjalizmem nic wspólnego. Robotnicy i chłopci maszerują do przodu i zostawiają w tyle Zgromadzenie Narodowe, z jej burżuazyjnym reżimem oraz dyktaturę partii komunistycznej z jej "komisją nadzwyczajną" i kapitalizmem państwowym, który, jak strzyżek kata, dusi robotników. Terazniejsza rewolucja daje robotnikom możliwość wolnego wyboru rad, bez obawy, że jakaś partia wpłynie na wynik i ona umożliwi biurokratyzację. Związki zawodowe przeformują się w wolne zjednoczenia pracowników umysłowych i fizycznych"

Ostatnie starcie

W nocy, 16 marca Tuchaczewski formuje swe oddziały do decydującego starcia. Jego artyleria wzmocniła ogień, a samoloty prowadziły nieustanne bombardowania. Tymczasem oddziały rządowe odziane w białe płaszcze zbliżyły się do twierdzy i statków wojennych. Po dotarciu do linii obronnych Kronsztadowców rozpoczęła się mordercza rzeź, trwająca cały dzień. Trocki dotrzymał słowa, tysiące marynarzy zostało zastrzelonych. Tuchaczewski dowódca całej ekspedycji, powiedział później: "Byłem 5 lat na wojnie, ale takiej rzezi jeszcze nie przeżyłem. To nie była więc walka, a piekło. Grzmoty ciężkiej artylerii trwały cały dzień, były tak potężne, że w Oranienbaum powpadały wszystkie szyby z okien. Marynarze walczyli jak dzikie zwierzęta. Nie wiem skąd brali jeszcze tyle siły do walki. Każdy dom przez nich zajęty musiał zostać zdobyty szturmem. Cała kompania walczyła około godziny o jeden dom, a gdy go w końcu zdobyła znalezionezaledwie dwóch, trzech marynarzy z karabinem maszynowym. Wyglądali na wpół niezwyłych, jednakże wyciągnęli swe rewolwery i wołali "Wystrzelaliśmy was dranie, jeszcze o wielu za mało!". Berkman pisze w swym pamiętniku 17 marca: "Kronsztad padł dzisiaj. Na ulicach leżą tysiące trupów robotników i marynarzy.* Masowe rozstrzelania więźniów i zakładników trwają nadal". 18 marca kaci kronsztadzkiej rewolucji świętują na ruinach twierdzy 50 rocznicę Komuny Paryskiej. Trocki i Zinowiew oskarżają Thiers i Gallifeta o dokonanie rzezi wśród powstańców paryskiego proletariatu. Oni sami rozkazali 50 lat później, likwidację tysięcy marynarzy i robotników oddziałom "CzeKa". Wielu zostało skazanych na obozy pracy w odległej Syberii. Niewielu udało się zbiec po łodzi do Finlandii. Bolszewicy zwyciężyli. "Trocki triumfuje i wrzeszczy: "Żelazną miotłą wyzwoliłmy Rosję z anarchizmu "Trzecia Rewolucja", pierwsza próba ludu, chcącego dokonać samowyzwolenia i urzeczywistnienia socjalistycznej rewolucji została utopiona we krwi (Volin)". "Ostatnia iskra nadziei wygasła. Terror i despotyzm zdusiły wszystko co zrodziło się w październiku. Hasła rewolucji zostały zdradzone, a jej ideały utopione we krwi. Wczorajsze ozywienie oznacza dzisiaj śmierć dla milionów. Dyktatura zabiła rewolucję, jej duch płacze... Zdecydowałem się opuścić Rosję."

Aleksander Berkman

* W dniach od 15 do 18 marca bolszewicy bandyci zamordowali 7.000 i ranił 11.000 powstańców.

SŁOWNICZEK AUTORYTARNEJ NOWOMOWY



SZCZĘŚCIE - stan, w którym system jest zadowolony z człowieka. Tak więc szczęście danego człowieka jest zjawiskiem obiektywnym i nie zależy wcale od jego subiektywnych odczuć.

KRZYWDA - wszelkie działania na szkodę systemu. Krzywda danego człowieka jest zjawiskiem obiektywnym i w niczym nie zależy od jego subiektywnych odczuć. Toteż jeśli ktoś pragnie coś uczynić wbrew systemowi, to sam sobie czyni krzywdę i dlatego należy go chronić przed nim samym. Większość ludzi nie jest w stanie kierować własnym życiem, bo poczyniliby w ten sposób sobie samym krzywdę (gdyż są obciążeni grzechem pierworodnym, nie są w stanie wydzwignąć się ponad świadomość związkową, nie posiadają fachowej wiedzy ani zdolności itp.)

WOLNOŚĆ - prawo do działania na korzyść systemu. Każde zmniejszenie takiego prawa jest ograniczeniem wolności. Natomiast wszelkie restrykcje nie godzące w system nie są w żadnym wypadku ograniczeniem wolności.

OBOWIĄZEK - powinność odczuwania przez jednostkę w sposób całkowicie zgodny z oczekiwaniami systemu. Znaczący to, że jeśli na przykład system jest z kogoś zadowolony, to ten ktoś ma obowiązek czuć się szczęśliwy. A gdy czyjeś działania nie zaspokajają potrzeb systemu, to taki ktoś ma obowiązek czuć się nieszczęśliwym.

EGOIZM - postępowanie według swoich własnych zachcianek lub zachcianek innych ludzi; przeciwieństwo altruizmu.

ALTRUIZM - stawianie potrzeb systemu ponad swoje własne zachcianki i zachcianki innych ludzi.

PRAWA CZŁOWIEKA - całokształt praw jednostki do działania na korzyść systemu, do bycia nagradzonym i karany przez system. Oznacza to, że jeśli jednostka może bezkarnie działać na szkodę systemu, to prawa człowieka są brutalnie łamane. Na przykład w I połowie XIX wieku w Stanach Zjednoczonych i Brazylii murzyńscy niewolnicy mieli prawo do bycia kupowanymi i sprzedawanymi, karaniymi za wykroczenia, sprawdzanymi pod kątem przydatności, do pracy na plantacjach i zapoznawania się z kulturą europejską. Niestety, abolicjonści pogwałcili te wszystkie prawa. W obronie skrzywdzonych Murzynów wystąpiło amerykańskie Południe podczas wojny secesyjnej, pod wodzą długoletniego rzecznika praw niewolników Jeffersona Davisa.

POŚWIĘCENIE - altruistyczne działanie na korzyść systemu wbrew własnym i cudzym zachciankom. Jest to cecha kapitalistów, duchownych, feudałów, działaczy komunistycznych, właścicieli niewolników, bojówkarzy faszystowskich, imperialistycznych polityków itp.

WOLA - zdolność do poświęceń (patrz wyżej).

ODPOWIEDZIALNOŚĆ - zgodność czyichś zamiarów z potrzebami systemu.

SPOŁECZEŃSTWO, LUD, NARÓD - eufemizmy na określenie systemu.

ZAGŁADA - największe możliwe nieszczęście: zawalenie się systemu. Doprowadzi ono do wyginięcia gatunku Homo sapiens, ponieważ bez systemu wszyscy ludzie zostaną skazani na wieczne potępienie, popadną w skrajną nędzę i wymrą z głodu, zostaną podbici przez cudzoziemców, cofną się do poprzedniego wcielenia (lub też poprzedniej formacji społeczno-ekonomicznej), zostaną usidleni przez kontrrewolucjonistów, albo też wszyscy bez wyjątku staną się złodziejami, mordercami i narkomanami.

SŁUŻBA - zmuszanie ludzi do tego, aby szli ku świetlanej przyszłości, poprzez walkę z ich grzechami, wadami, niską świadomością klasową, lenistwem, nieuctwem, brakiem przedsiębiorczości itp.

PRZYSZŁOŚĆ - cudowny raj, do którego prowadzi nas obecny system: społeczeństwo bezklasowe, zbawienie duszy, powszechny dobrobyt, społeczeństwo składające się z samych przedsiębiorców, osobisty sukces życiowy itp. Niestety, wielu głupców nie jest w stanie tego zrozumieć!

SZACUNEK - coś, co należy się wyłącznie najlepszym (najwyżej postawionym w hierarchii społecznej lub religijnej, najzdolniejszym, najbogatszym, zwycięzcom zawodów sportowych, najbardziej świątobliwym, najbardziej przedsiębiorczym, mającym najdłuższego fiuta, największy biust itp.)

Andrzej Obuchowski

„Jeżeli Biosfera jest naroślą na powierzchni planety, bestia, niszcząca ją jest również naroślą. Niszczyciel Ziemi jest rdcą czy nimbem na powierzchni ludzkiej społeczności. Nie jest wydzielony przez każdą społeczność, przez rodzaj ludzki. Możliwe, że trupia bestia została wydzielona tylko przez jedną społeczność spośród miriad.”

- Fredy Perlman

Prymitywizm - radykalna alternatywa i krytyka cywilizacji

- Bartosz Bobkowski -

Nurt prymitywistyczny, zwany również anarcho-prymitywizmem, radykalnym prymitywizmem, ruchem anty-cywilizacyjnym czy technologicznym - niestety jest właściwiej opisany niż nazwany. Nie należy go również mylić z prymitywizmem w sztuce. Pod hasłem zachodniego prymitywizmu, powrotu do korzeni, źródeł - powierzchownie może się kryć również idea anarcho-prymitywizmu. Prawdopodobnie zawiodę niektórych z was - jednak rzecz ma się trochę inaczej. Niestety często jest tak, że radykalowie także pozostają na tej powierzchownej, wydawać by się mogło dość atrakcyjnej idei - powrotu do źródeł. Wyobrażenia prymitywu, które bierze się z takiego myślenia często było wykorzystywane do uprawomocnienia rasizmu i imperializmu w historii Zachodu. Teza, że Zachód czy inna polityczna-kulturowa część naszej cywilizacji może odkryć swoje źródła przez podróż do prymitywu, zawiera wiele sprzeczności.

Po pierwsze mylna jest teza, iż prymitywi zamieszkują świat - wieczny i nie zmieniający się. Historia, jak trafnie określa Perlman mianem „swojej opowieści”, jest opowieścią dominacji i kontroli, która jest swym narratorem. Prymitywy jednak wbrew powszechnym przekonaniom nie należą do struktur tejże opowieści,

zatem nie zajmują tego typu miejsca w chronologii. Ponadto wyobrażenie to odmawia prymitywom możliwości rozwoju, co zostało historycznie wykorzystane do scharakteryzowania ich jako zacofanych, uzasadniając tym samym potrzebę zachodniej interwencji w imię postępu.

Po drugie Zachodni prymitywizm podtrzymuje koncepcję historii liniowej, odrzucając inne sposoby konceptualizacji czasu i przestrzeni. Ponownie daje to uzasadnienie dla ideologii postępu, mającego uwalniać prymityw - jako stan, punkt w historii - od prostoty, kłopotliwych poróżnień, dając mu szansę rozwoju w ramach swoich struktur.

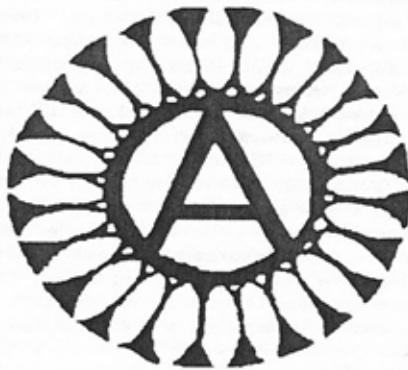
Po trzecie. Ten sposób wyobrażenia prymitywu cechuje się również stawianiem wyraźnej granicy pomiędzy „nami” a „nimi” - prymitywami. Tak też prymityw zawsze jest innym, był dawno, dawno temu i daleko od nas. Pomimo tego, że teraźniejszość przestrzeni i czasu prymitywów, ich specyfika została zatracona - w procesie powrotu do źródeł wyobrażenie prymitywów rysuje się jako sielanka, którą ma się właśnie odnaleźć w ramach nich lecz zachodniej historii (John Moore, *Powrót do domu*).

Anarcho-prymitywizm odchodzi od takiego wyobrażenia, tj. idei prymitywu jako genezy i źródła. Poszukuje natomiast bardziej radykalnych sposobów odejścia od struktur zachodniej cywilizacji. Łączy krytyczne analizy cywilizacji wraz z powtórny oszacowaniem prymitywu. Te dwa wzajemne powiązania są bardzo istotne dla zrozumienia tego nurtu. Nie zajmuje się zatem - kopiowaniem prymitywnych ścieżek życia, lecz oszacowuje prymityw i poszukuje w nim inspiracji - jednak tylko w takich granicach w jakich nie zaprzecza się podstawowemu anarchistycznemu analizom. Jest procesem ocknięcia się, odnowienia. Jest on - jak Moore przytacza - trybem myśli i akcji, światopoglądem, trybem życia w sensie, którego Hakim Bey określił jako ontologiczną anarchię. Jest on przeciwstawieniem się abstrakcji prymitywizm, oraz głosi potrzebę powstania prymitywu jeszcze raz.

Tak więc ma on na CELU ujawnienie i tropienie związków władzy w różnorodności form oraz realizowanie syntezy współczesnej anarchii z prymitywem, pełnej podziwu wizji opartej na Ziemi. Nurt ten odrzuca całą ideologię i władzę - na rzecz integralnego przeżycia teraźniejszości. Nie jest zatem popiecznikiem żadnej ideologii, a osoby podzielające uwagi tego nurtu często nie życzą nazywania ich prymitywistami, anarcho-prymitywistami, czy jakkolwiek inną ideologiczną etykietą. Jest to zatem poręczna nazwa, używana do scharakteryzowania różnych ludzi pod wspólnym projektem. Prymitywizm łączy w sobie elementy z różnych przeciwstawnych nurtów - ekologicznej świadomości, anarchistycznego antyautorytetyzmu, feministycznej krytyki, ideologii Sytuacjonistów, teorii zero-work, technologicznego krytycyzmu, podążając jednak ponad opozycją do pojedynczych form władzy, aby odrzucić je wszystkie - przedstawić radykalną alternatywę. Nurt ten koordynowany jest przez sieć kontaktową Primitivist Network z Anglii. Znaną z anglo-języcznych pism zajmujących się tematyką prymitywistyczną to - Green Anarchist, Fifth Estate, Anarchy: journal of desire armed.

Czasy postindustrialne odcieły się częściowo od zachwyty i niezłomnej wiary w postęp techniczny, a zatem i cywilizacyjny. Kończąc o tym pozytywistycznym chłamek zrodziły pierwsze punkty oporu wobec globalnej cywilizacji - stosunkom władzy

technologii w niej panującej. Lata 60-te zapoczątkowały głęboką krytykę władzy i technologii, inspirowaną do dziś radykalnych ekologów, zielonych anarchistów itd. O tego czasu zaczęła rozwijać się myśl anarcho-prymitywistyczna. Pierwszym z ognisk skupiających się wokół tej tematyki była anarchistyczna grupa z Detroit publikująca pismo „Fifth Estate” W 1979 roku wyraźnie



odżegnali się od sentymentalnego powrotu do natury czy podróży wstecz: „Pozwólcie nam uprzedzić krytyków, którzy oskarżiliby nas o pragnienie powrotu 'do jaskiń' lub zwyczajnego pozorowania naszej roli, tj. cieszenia się komfortami cywilizacji w chwili bycia jej najsurowzyszymi krytykami. My nie pozujemy epokę kamienia jako modelu naszej utopii (...), ani też nie sugerujemy powrotu do zbierania i polowań jako środków dla naszego bytowania. Raczej nasze rozpatrywanie w pojęciach przed cywilizacyjnych

sprzeciwia się pojęciu, że ludzie zawsze żyli w otoczeniu fabryk. Atakuje ono powszechną amnezję, której r o d z a j przedstawia się również w jej genezach jak i rozmaitościach społecznego zjednoczenia, które istniało na przestrzeni dziesiątków tysięcy lat przed wzniesieniem państw. Oznajmia

ono, że praca nie zawsze była kryterium ludzkiej egzystencji i że miasta i fabryki nie zawsze niszczyły środowiska. Zapewnia ono, iż był to czas kiedy ludzie żyli w harmonii z sobą nawzajem, oraz z swym naturalnym otoczeniem, z których obydwu znali dokładnie... Zredukowana do swoich najbardziej podstawowych elementów dyskusja o przyszłości świadomie powinna być głoszona o tym czego pragniemy społecznie i z czego wnioskujemy jaka możliwie jest technologia. Wszyscy z nas rozkoszują się wygodą centralnego ogrzewania, splukujących toalet, czy elektrycznego oświetlenia - lecz nie kosztem naszej ludzkości. Może są one możliwe razem, lecz może nie”.

Kontynuowanie tradycji filozoficznej

Prymitywizm jest kontynuatorem długiej tradycji filozoficznej - tj. przekonania o potrzebie powrotu do natury i harmonii, jako idea filozoficzna posiadał swych obrońców takich jak: Lao Tse, Rousseau, Thoreau, większość sokratesowców, średniowiecznych żydowskich i chrześcijańskich teologów, oraz XIX i XX wiecznych myślicieli anarchistycznych, z których wszyscy dowodzili wyższości prostego życia bliskiego naturze. Paradigmat dyskusji zwolenników i przeciwników postępu technologicznego, a zatem i cywilizacyjnego toczyła się już w starożytności, prezentując przeciwstawne greckie mity o początku, opowieści o Pięciu Wiekach (Hezjod, Owidiusz, Ajschylos). Paradoksalnie judeochrześcijański mit o Raju nawiązuje do Złotego Wieku, przedstawiając wyższość prostego życia w naturze i harmonii nad postępową cywilizacją. Współcześnie wielu antropologów wyraziło swój podziw dla duchowych i materialnych zalet sposobów życia najbardziej prymitywnych społeczności zbieracko-łowickich, mając doskonale odniesienie do porównań między naszym światem a ich. Podczas gdy cywilizacja staje przed kryzysem spowodowanym przeludnieniem i zniszczeniem ekologicznej integralności planety, prymitywizm cieszy się popularnym powrotem do życia poprzez drogę zwiększającego się zainteresowania szamanizmem, plemiennymi zwyczajami, zielarstwem, radykalną ekologią i naturalną żywnością.

Prymityw-oszacowany powtórnie

Nieszczęśliwość współczesnego życia staje się podejrzeniem o oficjalne kłamstwa, które stały się wizytówką tego życia, ukazując prawdziwszy obraz rozwoju ludzkiego. Wyrzekanie się i zależność w współczesnym życiu od dawna były wyjaśniane jako trwale towarzystwo 'ludzkiej natury'. Ostatecznie nasze pracywilizacyjne istnienie deprawacji, brutalności i ignorancji uczyniło z władzy laskawej dar, który uratował nas od dzikości 'Jaskiniowców' i 'Neandertalczyków' nadal są przywoływani, aby przypominać nam, gdzie znajdowalibyśmy się bez religii, rządu i ciężkiej pracy.

Ten ideologiczny obraz naszej przeszłości, w ostatnich dekadach radykalnie przekształcił się wskutek działalności niektórych antropologów. Teraz możemy zobaczyć, że życie przed ucywilizowaniem/rolnictwem było w rzeczywistości życiem wielkiej swobody, zżyłości z naturą, zmysłową mądrością, wolnością seksualną i zdrowiem. Przez parę milionów lat była to nasza czlowieczka natura aż do czasu zniewolenia przez księży, królów i szefów(...) Inne fundamentalne uderzenie na cywilizację udowodnia, że dawniej życie ludzkie (przez tak długi okres) nie było tylko stanem, który nie znalazł alienacji czy dominacji, lecz ludzie ci posiadali inteligencję co najmniej równą naszej własnej (badania w 80. archeologów J.Fowletta, Th Wynna i in.). Kolejna 'ignoranka' teza została usunięta, aby w nowym świetle zastanowić się jeszcze raz - skąd się wywodzimy (John Zerzan, *Prymityw Przyszłości*).

Prymitywizm w powtórnym oszacowaniu prymitywu czerpie wiele z akademickiego doświadczenia, szczególnie antropologii i archeologii. Ma to na celu odnalezienie swoistości bytowania w wspólnotach, inspirując tym do ustanowienia prymitywu 'tu i teraz'. Dla Perlmana i innych prymitywistów radykalnego nurtu istnieje przekonanie o prymitywie jako roli tutejszej i teraźniejszej, cywilizacja natomiast jest tylko warstwą, która jest cienko rozproszona po powierzchni cywilizowanych indywidualności. Jednak zapytawszy, że reakcji prymitywistów postrzegają prymityw przez brutalność - Perlman postrzega go przez bogactwo duchowego życia i jego sensu. Dla niego więc prymityw w cywilizowanych warunkach jest potencjałem, którego wybuchy są zawsze obietnicą radości i wolności. Prymityw w takim kontekście jest zamknięty, związany lecz zawsze zdolny do wyzwolenia się. Tak więc prymityw jest czymś co musi być w podróży, coś co nie jest odkryte, raczej niż to co odkryte. Prymityw dla utkwionych w cywilizacji jest procesem odnowienia i powrotu. Powrotem do korzeni, czymkolwiek one są. Powrotem do 'naszych korzeni', które są w całej swej prezenji i sensie możliwości - raczej niż bezsilnym poszukiwaniem źródeł.

Krytyka Mega-maszyny.
Czym jest cywilizacja? Richard Heinberg podaje, iż jest wiele możliwych definicji światowej cywilizacji. Jej pochodzenie - od *civis*, 'miasta' lub 'metropolii' - sugeruje, że minimalna definicja może być 'miejską kulturą'. Cywilizacja również wydaje się zawierać w sobie pismo, podział pracy, rolnictwo, zorganizowane działania wojenne, wzrost populacji i społeczne uwarstwienie. Dla większości historii cywilizacji na Bliskim i Dalekim Wschodzie, czy Centralnej Ameryce jest historią królestwa, niewolnictwa, podboju, rolnictwa, przeludnienia i środowiskowego zniszczenia, które to cechy kontynuowane są w najwspółczesnej fazie cywilizacji - industrialnego państwa i światowego rynku - choć państwo zajęło miejsce króla, niewolnictwo przemieniło się w pracę najemną i *de facto* kolonializm sprawuje rządy przez multinarodowe korporacje.

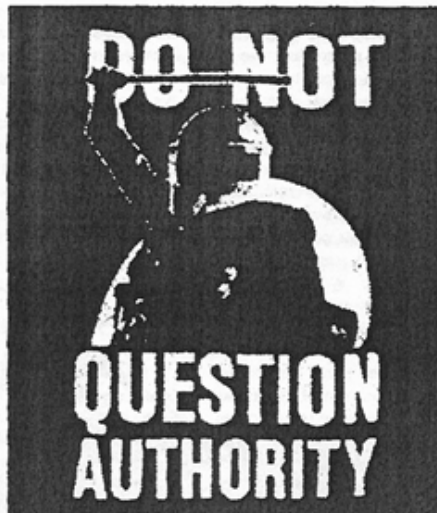
Gdzie zaczyna się władza? Pytanie to jest sednem toczącej się dyskusji w nurcie. Fredy Perlman postrzega tworzenie bezosobowych instytucji czy abstrakcyjnych związków władzy jako definiujący moment, w którym prymitywna anarchia zostaje rozbrajana przez cywilizowane związki społeczne. Z drugiej strony John Zerzan wskazuje na rozwój symbolicznego pośrednictwa - w wielu różnych formach, języku, czasie, rolnictwie - jako środki przejścia z ludzkiej wolności do stanu ucywilizowania.

Technologia zaś jest definiowana jest przez Zerzana jako całokształt podziału pracy, produkcji, przemysłowości i jego oddziaływania na nas i na naturę. Technologia jest sumą pośrednictw pomiędzy nami a światem natury i sumą tych rozłączeń pośredniczących nas nawzajem. Tocząca się dyskusja jednak sprowadza się jednak do dominacji technologii w cywilizacji. Rozróżnia się zatem narzędzia i samą technologię. Perlman wskazuje na to, iż proste społeczności rozwijają wszystkie rodzaje narzędzi i przyborów, lecz nie technologie. Narzędzia są wytwarzane na małą skalę dla lokalnych potrzeb małej grupy. Technologia w przeciwieństwie jest produktem wielkoskalowych systemów wydobywania, produkcji, dystrybucji i konsumpcji a właśnie takie systemy osiągają swoją własną siłę pędu i dynamikę. Perlman nazywa to bezosobową instytucją, gdyż systemy dają urosnąć strukturoi kontroli i posłuszeństwa na masową skalę. W 1981 Fifth Estate wykazało, że 'technologia nie jest pojedynczym narzędziem, które może być używane w jakikolwiek sposób my chcemy. Jest ona formą społecznej organizacji, gniazdem społecznych relacji. Posiada swoje własne prawa. Jeżeli zamierzamy angażować się w jej używanie musimy zaakceptować jej władzę (John Moore, *Prymitywistyczne ABC*).

Radykalizm. Ted Kaczynski.

Punkt odniesienia prymitywizmu odróżnia go od anarchizmu i innych radykalnych ideologii. John Moore wyjaśnia, iż z perspektywy anarcho-prymitywizmu inne formy radykalizmu postrzegane są jako reformistyczne, choć same postrzegają się jako rewolucyjne. Tak marksizm jak i klasyczny anarchizm, tkwiące korzeniami w pozytywistycznym zachwycie postępową technologią - chcą przejąć cywilizację, przebudować jej struktury do jakiegoś stopnia i usunąć jej najgorsze opresje i nadzucia. Jakkolwiek w ich przyszłych scenariuszach 99% życia w cywilizacji pozostaje niezmiennione. Prowadzą one co najwyżej do poprawienia zachodniego modelu postępu, który wciąż postrzegany byłby jako ideal. Masowe społeczeństwo dokładnie kontynuowałoby, z większością ludzi pracujących, żyjących w sztucznych, technologicznych środowiskach, oraz przywiązanych do form zniewolenia i kontroli. Radykalne ideologie lewicy usiłują przechwycić władzę, a nie ją znieść. Anarcho-prymitywizm poszukujący radykalnych odejść od struktur i związków władzy zaprzecza organizacjom czy związkom, które mają służyć do układania określonych ideologii u władzy. Również polityka w ramach struktur władzy jest odrzucona na rzecz polityki pragnienia, wzajemności i przyjemności. Prymitywizm nie tylko otwiera drogę do radykalizmu, jest on również niewątpliwie indywidualistyczny. Wrażliwość zaś poszczególnych osób doprowadza do gwałtownej potrzeby radykalnych przedsięwzięć. Jak wcześniej zaznaczyliśmy radykalizm jednak często jest dość powierzchowny, wybierając drogę walki nie zaś pragmatycznego rozwoju. Niewątpliwie jednak daje on innym inspirację i nadaje sens i wagę opozycji. Zamiast opisać istotę radykalizmu w tym nurcie - posłużyć się historią pewnego człowieka do jej zobrazowania.

Ted Kaczynski, znany również jako Unabomber jest doskonałym przykładem radykalnej przemiany, rozstania się z dostatkiem i wygodami amerykańskiego życia, oraz tym samym ze swoją przeszłością. Choć przypisano o różne o d c z u c i a anarchistycznego establiszmentu warto jednak przedstawić jego historię, nie wdając się w rozprawę o metodzie, skuteczności, czy ideologicznej postawie. Theodore Kaczynski dosyć wcześnie rozwinął u siebie krytyczne nastwienie do technologiczno-przemysłowego systemu, jak sam go całościowo określa. W 1962 na ostatnim roku studiów na Harvardzie zaczął odczuwać pewne rozczarowanie



panującym systemem. W swym nastwieniu jednak pozostał samotny. W latach 60-tych istniały już nieliczne krytyki technologii, jednak jak sam Kaczynski wspomina nie znał ani nie wiedział o ludziach będących przeciwko takiemu systemowi w całości. Az do roku 1971, 72 czuł się samotny w swej opozycji. Wtedy krótko po przeprowadzce do Montany przeczytał Jacques Ellula „Społeczeństwo Technologiczne”. Wreszcie natknął się na osobę, która w swej książce wypowiedziała wprost wszystko co chodziło mu po głowie. W tym czasie na równi z jego wściekłością i nienawiścią obróconą przeciwko maszynie, szła oczywista miłość do bardzo wyjątkowego miejsca w dzikich lasach Montany, gdzie stworzył sobie życie w gorach broniąc swojej autonomii. W tym czasie nie był tak naprawdę zorientowany politycznie. Chciał po prostu żyć w spokoju i

sprawami społecznymi, szczególnie dotyczącymi problemów technologicznych. Starał się zrozumieć w jaki sposób społeczeństwa zmieniają się, czytając w tym celu książki z antropologii, historii, oraz nieco socjologii i psychologii. Doszedł do konkluzji, iż strategie reformistów systemu nie były wystarczające i wypracował idee, iż masowa odmiana w myśleniu może pewnego dnia doprowadzić do obalenia systemu technologicznego. Jak mówi: może do tego dojść. Podkreśla, iż większość ludzi obiera drogę najmniejszego oporu rezygnując z samochodu, elektryczności, telewizji jednak to nie przyczyni się do załamania systemu. Myślę, że po załamaniu się systemu dojdzie do aktów przemocy, która przyczyni się do uzmysłowienia sobie kwestii, iż zastanawiając się nad zniesieniem systemu techniczno-

charakter i strategię największej na świecie sieci barów szybkiej obsługi jaką tworzy Mc Donald's Corporation. Ujednolicenie serwowanego pożywienia przy jednoczesnym szybkim procesie jego przygotowania i obsługi klienta daje z pewnością duże korzyści finansowe producentowi. Jednakże warto sobie zadać pytanie co zyskuje a co traci konsument? Żywność podawana w barach Mc Donalda czy burger Konga jest raczej substytutem pożywienia pozbawionego smaku, gustu a przede wszystkim walorów odżywczych. Bogata w duże ilości tłuszczu zwierzęcego, cukru i soli zawiera tylko w niewielkim stopniu, niezbędne człowiekowi witaminy, sole mineralne i błonnik. Ponadto, jak wynika z badań przeprowadzonych w USA przez Departament Rolnictwa i Amerykańską Akademię Nauk, sposób przygotowania i uboju żywa oraz przetwarzania i przechowywania mięsa budzi wiele zastrzeżeń m.in. chodzi o przestarzałe technologie, brak higieny stanowisk pracy, zanieczyszczoną wołowinę. Strategia firmy Mc Donald's - produkcja masowa - wymusza określoną politykę pozyskiwania surowca (wołowiny). Olbrzymią ilość mięsa sprowadza się z różnych stron świata, m.in. z Anglii i USA zostaje poddane działaniu różnych środków chemicznych wydłużających jego świeżość. Bardzo często owe środki generują choroby cywilizacji. Stąd też uzasadnione przypuszczenie, iż dieta Fast Food jest czynnikiem sprzyjającym powstawaniu chorób serca, cukrzycy, nadciśnieniu i pewnych odmian raka. Czy nie są to powody dość istotne i przekonujące do porzucenia tego sposobu odżywiania się? Czy korzystanie z usług Mc Donalda, Burger Kinga czy Kentucky Fried poza dużymi kolorowymi reklamami, olbrzymimi szklanymi fasadami, nadmuchanymi słowami, syntetyczną żywnością i szybką obsługą są w stanie dostarczyć nam czegośkolwiek z pożytkiem i zdrowiem? Mc Donald jest korporacją o dużym potencjale finansowym i jest dość znaczącym zagrożeniem dla krajowych wytwórców żywności (bary, restauracje, drobna garmazzeria). Większość produktów podawanych w barach Mc Donalda sprowadzana jest spoza terenów Polski np. ziemniaki z Niemiec (co na to Wielkopolska?), pieczywo z Rosji, Szwecji a wspomniana wołowina z Anglii i USA. Czy w takim sposób firma Mc Donald's wspiera polski rynek? Zamykane lokale drobnej gastronomii oraz niskie obroty większych barów czy restauracji świadczą na niekorzyść amerykańskiego potentata. Rynek drobnych wytwórców żywności stanowi nie tylko miejsce pracy dla bardzo wielu osób, jest również częstym nośnikiem wartości charakterystycznych rodziną "kuchnie". Czy warto rezygnować z oryginalności i tradycji kulinarnych na rzecz amerykańskiej (w tym wypadku) tandety, bezguszcie i zautomatyzowanej kultury? Jakże korzyści przynosi zachodnia kultura masowa - jakość? możliwość wyboru? czy jest może wyznacznikiem dobrobytu? statusem człowieka nowoczesnego i eleganckiego? Chyba nie. NA PEWNO NIE. Kultura masowa to żadna kultura! Ponadto warto zwrócić uwagę inne aspekty działalności Mc Donald's Corporation.



szczęśliwie w lasach. I prawdopodobnie tak by pozostało gdyby nikt nie zaczął wycinać drzew, budować nowych autostrad, latać helikopterami nad jego głową. To doprowadziło go do przedsięwzięcia politycznych stanowisk. Do swojej chaty w lesie, którą zbudował niedaleko miasta Lincoln, przeniósł się w 1971. Przez pierwsze 10 lat zajął się udoskonalaniem i zdobywaniem pierwotnych umiejętności, które pozwalały mu na niezależne życie w lesie. Po porzuceniu pracy wykładowcy matematyki na Kalifornijskim Uniwersytecie w Berkeley, mając 29 lat rozpoczął intensywną naukę rozpoznawania dzikich jadalnych roślin, tropienia zwierząt i poznawania pierwotnych technik. Porzucił czytanie naukowych książek o życiu w lasach itp., zaczął sam zdobywać tę wiedzę o dzikim życiu przez osobiste doświadczanie. Opowiadał że takie surowe życie dawało mu niestanne zajęcie i poczucie szczęścia. Właśnie szczęście, którego doświadczył w lesie było tym stanem, kiedy nie trzeba martwić się o przyszłość, o śmierć. Zaprzecza słowom Jane Austen, która napisała w jednej ze swych opowiadań, że szczęście jest zawsze czymś, co przewiduje się na przyszłość, a nie czymś co doświadczamy tu i teraz. Prawdopodobnie jest to prawdą w cywilizacji, lecz kiedy wychodzisz poza system i readoptujesz się do innego sposobu życia - szczęście wówczas często jest czymś co masz właśnie teraz. W latach 70-tych popenił kilka aktów tzw. monkeywreching, gdy postanowił poświęcić nieco więcej energii w walce przeciwko systemowi, na skutek pewnego wydarzenia. Do lata 1983 roku posiadał swoje magiczne miejsce głęboko w górach ze spadającym wodospadem i dziką przyrodą naokoło. W czasie letnich najazdów rodzinnych wycieczkowiczów często udawał się tam w celu odalenienia nieco spokoju. Jednak tego fatalnego lata dotarwszy tam ujrzał nowo wybudowaną drogę z przejeżdżającymi samochodami przez sam środek tego płaskowzgórza. Od tego czasu zdecydował, iż zamiast zdobywania dalszych zdolności życia w lesie poświęci się: zemście, odwetowi przeciwko systemowi. Już wcześniej lokował drobnych aktów niszczenia maszyn, lecz od tego czasu dogłębniej zajął się tym problemem. Dużo czasu poświęcił na czytanie pozycji związanych ze

industrialnego w efekcie zabijasz innych ludzi. Tu dochodzi do dylematu wielu pacyfistycznie nastawionych radykałów. Ale gdy dojdzie do załamania nie będzie już dostaw paliwa do farm rolniczych, nie będzie pestycydów, czy użyźniaczy gleby, na których to oparte jest nowoczesne rolnictwo. Zatem nie będzie wystarczająco dużo jedzenia i co wtedy? To jest pytanie, na które żaden z radykałów nie ma odpowiedzi. Kaczynski stawia mnóstwo pytań bez odpowiedzi. Jednak w przeciwieństwie do większości radykałów przedstawił on plan i ewentualne konsekwencje doprowadzenia do załamania się systemu techniczno-przemysłowego (Green Anarchist #57-58).

Indywidualizm. Poszukiwanie własnych sposobów życia

Kaczynski jest najradkalniejszym przykładem przeciwników technologii i jest rzeczywistie rewolucyjny. Prymitywizm jednak to pewna świadomość wspólna dla wielu ludzi zmęczonych progresywnością i brutalnością cywilizacji. Jest to zatem również przejaw czysto indywidualnych poszukiwań sposobu życia w tym co dzisiaj nas otacza. Prymitywizm głosi potrzebę odrzucenia ideologii, władzy, antropocentryzmu a skupieniu się na tym co najbardziej ludzkie, czyste, przez powtórne oszacowanie prymitywu czy post-sytuacjonistyczną analizę społeczeństwa, w którym żyjemy. Pozwala to na ustanowienie radykalnej wolności, swobodnego mikrokosmosu - tak różnorodnego jak różnorodne są projekty i temperamenty poszczególnych osób.

Wykład dla uniwersytetu krytycznego FA, Warszawa 17.03.2000

Szybkie jedzenie? - nie dziękuję! Chwila refleksji.

"Zwracanie uwagi na indywidualne gusty klientów oznacza, iż trzeba zajmować się każdym z osobna (...) nie możemy sobie na to pozwolić"

Ray Kroc - jeden z założycieli McDonald's

Powyższe stwierdzenie powinno w zasadzie obrazować

-Niszczenie środowiska naturalnego - jest to bardzo istotny argument przeciwko tego typu korporacji. Jeden z najpiękniejszych lasów tropikalnych Brazylii, Nikaragui, Gwatemali i Hondurasu zostaje wycięty, palony i niszczone pod pastwiska dla bydła przeznaczonego na hamburgery. Co roku obszar porównywalny z wielkością Anglii zostaje unicestwiony na zawsze! Metan powstający w czasie hodowli jest jedną z głównych przyczyn "efektu cieplarnianego". Na obszarze Amazonii (płc świata) znajduje się ok. 100 tys farm produkcyjnych. Z owych "mięsnych fabryk", pozbawionych oczyszczalni ścieków powstają odpady stanowiące 3-krotnie większe skażenie wody od zanieczyszczeń przemysłowych. Opakowanie styropianowe "bogate" we freon (oficjalnie wycofane z użycia połowy lat 80'), jeszcze w 89' było używanych w 29 krajach. Brian Lippset (amer. uczoney) wykazał, iż oprócz niszczenia warstwy ozonowej i nasileniu efektu cieplarnianego styre przedostawał się zapakowanej żywności!

-Głód - ok. 3/4 pow. ziemi rolnej przeznaczonej jest pod uprawy paszy lub hodowlę bydła. Najczęściej obszary te znajdują się w krajach Trzeciego Świata. Bydło eksportuje się do krajów zachodnich. Tubyłkami zobowiązani rządowymi nakazami (władza=pieniądze) zajmują się przede wszystkim "interesem" bogatych

państw, sami najczęściej żyją w nędzy i głodzie. Wyprodukowanie 21 mln. ton mięsa pochłania 145 mln. ton paszy (soja, ziemniaki, zborze). Potęża dolara sprawia iż 36 z 40 najbiedniejszych krajów świata eksportuje żywność do potentata gosp. USA. Tymczasem 15% ludności Ziemi umiera co roku z głodu, a 36% cierpi niedostatek pożywienia! Czy jest to sprawiedliwe? Dla Mc Donalda tak.

-Zwierzęta - Podczas licznych inspekcji na farmach produkcyjnych, w rzeźniach, zakładach przetwórczych doszło do ujawnienia szokujących faktów: kurcząt są pozbawione światła dziennego, stłoczone w klatkach o powierzchni kartki A4, zwierzęta w drodze do rzeźni w skutek niewłaściwego transportu doznają okaleczeń, złamań i cierpią mękę, metoda ogłuszania przed zabiciem (zanurzenie w wodzie pod prądem) jest nieskuteczna, duży % zwierząt umiera z pełną świadomością cierpienia (sparzenie wrzątkiem, podrywanie gardel), świniom przeznaczonym do tułczy przysługuje 0,5 m kw. podłogi. Zwierzęta karmione są olbrzymimi ilościami antybiotyków. Cały proces uboju fachowcy od Big Maca nazywają "humanitarnym zabijaniem". Metodami tymi morduje się co roku ok. 0,5 mld zwierząt!

-Związki Zawodowe - Pracownicy zatrudnieni w sieci Mc Donald są nisko opłacani, pracują po kilkanaście godzin dziennie, nierzadko zatrudnieni są bez zawierania umowy o pracę stają jedynie na 1/2 etatu (80% pracowników). Corocznie zmiany personalne sięgają ponad 60% a w USA ok. 300%! Stanowi to wygodną sytuację dla "szefów" Mc Donalda ponieważ uniemożliwia jednocześnie się pracowników w walce o lepsze warunki pracy. Mc Donald



zawsze sprzeciwiał się związkom zawodowym w swoim imperium. Sondaze wśród pracowników wykazały iż 80% zatrudnionych potrzebuje wsparcia zw. zawodowych. Wszelkie próby założenia zw. zawodowych kończą się zwolnieniem inicjatorów i sympatyków. Jest to jawnie dyskryminacja!

-Nieuczciwa reklama - Większość reklam Mc Donalda skierowana jest do dzieci. Roland Mc Donald - clown z pomarańczowymi włosami - zachęca dzieci zabawnymi tekstami, sztuczkami aby weszły w świat "cyrkowej zabawy", wesołych i szczęśliwych przygód jakimi są rzekomo bary z "szybkim jedzeniem". Jest to agresywna i nieuczciwa reklama. Wiadomo przecież jak trudno nie ulec wygodnemu sposobowi "uszcześliwienia" pociech. Papierowe czapki, słone paluszki i balony tworzą otoczkę dla miernego i niezdrowego jedzenia, dziecku jednak bardzo trudno jest cokolwiek wytłumaczyć. Mały człowiek myśli kolorowo i byszcząco o barach Mc Donalda, a rodzice przecież nie odmówią pójść wraz z pociechą do lokalu fast fooda. W wyniku tej reklamy, zdarza się iż w naszym kraju do hamburgerowych barów chodzą całe wycieczki szkolne!

Na koniec już chcielibyśmy aby każdy z Was, potencjalni klienci, zanim wejdzie do tego przybytku "rozkosznej wyzerki" choć przez małą chwilę pomyślał o tym wszystkim co w skrócie opisaliśmy powyżej. Jedząc produkty Mc Donalda, Burger Kinga itp. barów szybkiego jedzenia, wspieracie cały proces produkcji. Ponosicie odpowiedzialność za skutki jakie wywiera on na Was, Wasze dzieci i otaczający Was świat. Wyzysk ludzi, zwierząt, nieuczciwa reklama, głód, degradacja przyrody - wszystko to dzieje za sprawą waszego przyzwolenia. Przyzwolenia w formie konsumpcji!

Fast Food? - Nie Dziękuję

Leszek Kołakowski - autorytet moralny?

Jednym z największych "autorytetów moralnych" współczesnej Polski jest światowej sławy filozof, profesor Oxfordu i doktor honoris causa wielu uniwersytetów, Leszek Kołakowski. Jego osoba była zgłaszana przez wielu intelektualistów jako idealna kandydatura na prezydenta RP. Wielu obcokrajowcom Polska kojarzy się właśnie między innymi z Kołakowskim. Tymczasem śmiem twierdzić, że lektura dzieł owego myśliciela jest zwykłą stratą czasu. (Tytuł jednej z ostatnich jego książek: "Moje słuszne poglądy na wszystko" sam w sobie mówi bardzo wiele o autorze). Takie przekonanie uzyskałem po zapoznaniu się z pierwszym tekstem z cyklu "Mini-wykłady o maksy sprawach", zatytułowanym "O władzy". Ów wykład jest w istocie eklektycznym plagiatem ze szczególnym uwzględnieniem Engelsa i Lenina, dostosowanych do teorii liberalnej i katolickiej. Jako taki prezentuje sobą trudne wręcz do rozsuplania pomieszanie pojęć i lawirowanie między różnymi punktami widzenia, zawsze jednak przeprowadzane w taki sposób, aby maksymalnie zadowolić moźnych. Uderzającą w oczy rzeczą jest jednak to, że autor nie potrafi odróżnić od siebie kilku różnych znaczeń tego samego słowa, w bardzo perfidny sposób zwołując czytelnika na manowce. Sam tekst jest napisany prozą poetycką, tonem melancholijnego proroka zadumanego nad losami świata i z troską spoglądającego w jego przyszłość.

Tematem wykładu Kołakowskiego jest władza, pod którym to pojęciem tenże natchniony autor rozumie co najmniej trzy różne rzeczy:

- 1) władzę jako zdolność do działania w ogóle na przykład umiejętność jazdy na rowerze czy też znajomość jakiegoś obcego języka,
- 2) władzę jako naturalny wpływ na życie i zachowanie się innych ludzi;
- 3) władzę hierarchiczną, tj. zinstytucjonalizowane struktury przemocy, oraz wpływanie na innych ludzi metodami naruszającymi ich wolność.

Autor wykładu nagminnie myli ze sobą wyżej wymienione różne znaczenia tego samego słowa, a przy tym jeszcze twierdzi, że je rozróżnia! Powstaje z tego kolosalny mętlik, którego najbardziej charakterystyczną cechą jest niezdolność rozróżnienia znaczenia (2) od (3), zapożyczona od swoich mistrzów - Engelsa i Lenina (prof. Kołakowski we wczesnych latach sześćdziesiątych wykladał marksizm-leninizm na Uniwersytecie Warszawskim, więc dobrze byłoby, żeby chociaż powiedział, z jakich źródeł korzysta), przy jednoczesnym rozróżnianiu znaczenia (1) od pozostałych. Jednakże to rozróżnienie zostaje przeprowadzone w taki sposób, że za jednym razem znaczenie (1) jest przeciwstawiane (2+3), a za drugim (1+2) znaczeniu (3). Rezultatem tego jest urojone wrażenie, jakoby autor umiał odróżnić także znaczenie (2) od (3). Na koniec wykładu zostają wyciągnięte wnioski, oczywiście wnioski fałszywe, ponieważ sama metoda jest do gruntu nieuczciwa. Przeanalizujmy więc to wszystko po kolei.

"... jeżeli czynimy dobro innym ludziom, to po to, aby sprawować nadzór nad ich życiem, a więc zdobywać nad nimi częściową władzę, choćbyśmy nie byli świadomi tej utajonej motywacji. Wszystko w życiu jest zatem poszukiwaniem władzy i nic innego nie ma, a reszta jest samooszukiwaniem."

Czy tak jest naprawdę?

Powyższe motto i pytanie retoryczne sugeruje władzę w znaczeniu (2), zwłaszcza pierwsze zdanie. Lecz już drugie zdanie każe się nam zastanowić, czy nie chodzi tutaj przypadkiem także o pozostałe znaczenia. Czytajmy więc dalej:

Były brytyjski kanclerz, gdy go w telewizji zapytano, czy chciałby być premierem, powiedział: "niejakim

zdziwieniem: "Przecież każdy chciałby być premierem.", To mnie z kolei zdziwiło, ponieważ wcale nie sądzę, że każdy chciałby być premierem; jest mnóstwo ludzi, którzy bynajmniej o takiej posadzie nie marzą - nie dlatego, że i tak nie mają szans, że to "kwaśne winogrono", ale dlatego, że uważaliby tę robotę za okropną; wielkie zwracanie głowy, ciężka odpowiedzialność; z góry wiadomo, że człowiek będzie bez przerwy wystawiony na ataki, że ośmieszanie, że będą mu przypisywali najgorsze intencje itd.

Jest tu więc bardzo wyraźna mowa o władzy w znaczeniu politycznym, a zatem (3). To jednak jeszcze względnie najmniej pomieszanie pojęć, z jakim mamy do czynienia w omawianym tekście. Powyższy fragment został napisany z pozycji ideologicznych poddyktowanych sadomasochizmem, wedle których dręczenie swoich bliźnich, życie z owoców ich pracy i odbieranie im wolności jest ciężką udręką i poświęcaniem się dla ich dobra, czego owi nieświadomi dumnie nigdy nie będą w stanie zrozumieć. Taki belkot jako żywo przypomina argumenty generała Jaruzelskiego na temat 13 grudnia, które z kolei zdają się stanowić parodię jakiegoś katechizmu katolickiego. Później zaś następuje fragment, w którym Kołakowski argumentuje, że słowo "władza" może mieć różne znaczenia:

Czy więc nie jest prawdą, że "wszyscy chcą władzy"? To zależy od tego, jak daleko rozciągniemy sens słowa. W najszerszym znaczeniu władzę nazywamy wszystko, co pozwala nam wpływać na otoczenie - naturalne czy ludzkie - w pożądanym kierunku. Małe dziecko, które po raz pierwszy potrafi samo wstać albo zaczyna chodzić, zdobywa pewien zakres władzy nad swoim ciałem i widzimy, że się z tego cieszy; pewno też każdy wolałby mieć więcej raczej niż mniej władzy nad funkcjami, które mogą być kontrolowane, jak mięśnie i stawy. Kiedy nauczymy się obcego języka albo gry w szachy, albo pływania, albo jakiejś dziedziny matematyki, wolno powiedzieć, że nabywamy umiejętności, dzięki którym władamy pewnym zakresem kultury.

Tak więc odpowiedzią na pytanie retoryczne postawione na początku wykładu jest obszerny wywód, w którym "władza" występuje w najszerszym możliwym znaczeniu (1+2+3). Dalej czytamy, iż:

Tak rozległe pojęcie władzy jest dozwolone, stąd też powstały teorie, wedle których wszystko w ludzkich poczynaniach podporządkowane jest pragnieniu władzy. Wszystkie nasze motywacje pochodzą z dążenia do władzy w rozmaitych jej formach; o cokolwiek zabiegamy, zabiegamy naprawdę o władzę, to jest źródłowa energia ludzkiego życia. Ludzie pożądadają bogactw, bo bogactwo daje im władzę, zarówno nad rzeczami jak i do pewnego stopnia - czasem znacznego - nad innymi ludźmi. Nawet seks może być tłumaczony w kategoriach władzy, czy to dlatego, że wydaje nam się, że posiadamy ciało drugiego człowieka, a przez to człowieka samego, czy to, że posiadając je wykluczamy innych z tego posiadania i przez to wykluczenie albo zubożenie innych dostępujemy satysfakcji władzy. Seks jest oczywiście dziełem natury przedludzkiej, ale cała natura według tych teorii jest przeniknięta tym samym dążeniem, które u ludzi przybiera inne, przez kulturę ukształtowane formy, ale u korzeni jest tym samym. Co więcej, nawet zachowania altruistyczne, przy pewnym wysiłku mogą być tak tłumaczone: jeżeli czynimy dobro innym ludziom, to po to, aby sprawować nadzór nad ich życiem, a więc zdobywać nad nimi częściową władzę, choćbyśmy nie byli świadomi tej utajonej motywacji. Wszystko w życiu jest zatem poszukiwaniem władzy i nic innego nie ma, a reszta jest samooszukiwaniem.

Później jednak Kołakowski zaczyna przeczyć sam sobie. Bo chociaż "Tak rozległe pojęcie władzy jest



dozwolone", to jednak: Takie teorie w zamierzeniu demaskatorskie, mają pozór wiarygodności, ale tłumaczą bardzo niewiele. Każda teoria, która wyjaśnia wszystkie zachowania ludzkie jednym rodzajem motywów albo całość życia społecznego jednym rodzajem sprawczej energii, może się obronić, ale to właśnie pokazuje, że wszystkie one są nieprzydatne i są w końcu filozoficznymi konstrukcjami.

Cóż nam to wyjaśni, gdy powiemy na przykład, że czy człowiek poświęca się dla bliźniego, czy go torturuje, jego motywacje są takie same, że więc nie ma prawomocnych pojęć, za pomocą których moglibyśmy oceniać te rzeczy czy wręcz je odróżniać ze względu na to, o co w nich chodzi, bo zawsze chodzi o to samo (teoria jest bardzo przydatna tym, którzy chętnie sobie powiedzą: nie mam co mieć wyrzutów sumienia z powodu moich łajdactw, bo wszyscy są tacy sami). Podobną pokusę umysłową



odkrywamy w tych nurtach myśli chrześcijańskiej - dziś rzadkich, kiedyś potężnych - wedle których cokolwiek czynimy, czynimy zawsze zło, jeśli brak nam boskiej inspiracji, a jeśli ją mamy, z konieczności czynimy dobro. Stąd również wynika, że gdy tej inspiracji nie ma, wszystko jedno, czy pomagamy bliźnim, czy ich torturujemy, pójdziemy do piekła, jak też poszli wszyscy boganie, choćby i najszlachetniejsi. W takich teoriach zawsze szuka się jednego wytrychu, który wszystkie drzwi otwiera, wszystko tłumaczy. Ale nie ma takiego wytrychu, kultura roślin przez zróżnicowanie, przez powstawanie nowych potrzeb i usamodzielnianie się starych.

Cóż tutaj zaczyna się dziać nie tak, jak trzeba. Albo powiem "Tak rozległe pojęcie władzy jest dozwolone", a zatem i powyższe teorie są dozwolone, albo też powyższe teorie okazują się fałszem, a wtedy tak rozległe pojęcie władzy nie powinno być dozwolone. Zatem Kołakowski albo nie zna podstaw logicznego myślenia, albo też nie potrafi odróżnić prawdy od fałszu, tj. od czysto spekulacyjnych konstrukcji myślowych nie znajdujących pokrycia w realnej rzeczywistości. Później bowiem przeciwstawia się opisanej przez siebie teorii: "Jeśli teoria, wedle której nie w nas nie ma oprócz żądy władzy, jest naiwna i mało co tłumaczy, to nikt nie zaprzeczy, że władza jest dobrem wybitnie porządnym." [oryginalna pisownia webmastera, który umieścił owo dzieło w Sieci]. Robi to jednak w taki sposób, że błędność teorii mówiącej o władzy w znaczeniu (1+2+3), uważa za dowód, iż nie wszyscy dążą do władzy (3) [co jest zresztą prawdą, ale w żaden logiczny sposób nie wynikającą z przesłanek Kołakowskiego!]. A skoro podaż władzy jest stosunkowo mała, to zgodnie z zasadami rynku jest ona "dobrem wybitnie porządnym". Jest to oczywiście kolejny nonsens, bo chociaż istotnie nie wszyscy pragną władzy, to pragnie jej wystarczająco wielu ludzi, ażeby podaż znacznie przewyższała popyt. Tu znowu odzywa się sadomasochistyczna ideologia, twierdząca, że rezygnacja z socjalizmu jest niewdzięcznym trydem, którego mało kto chciałby się podjąć. W tym momencie Kołakowski zaczyna odróżniać węższe (3) od szerszego (1-2) znaczenie "władzy".

Najczęściej, gdy mówimy o władzy, mamy na myśli sens

węższy niż ten, o którym była mowa, mianowicie władzę, która polega na dysponowaniu środkami, za pomocą których możemy wpływać - przemocą lub groźbą przemocy - na zachowanie ludzi i regulować to zachowanie wedle zamierzeń władcy jednostkowego czy zbiorowego. Władza w tym sensie zakłada obecność zorganizowanych narzędzi przemocy, a w dzisiejszym świecie - państwa.

Czy każdy z nas pragnie władzy w tym sensie? Na pewno każdy by chciał, by inni ludzie zachowywali się tak, jak on uważa za właściwe, a to znaczy: albo zgodnie z jego poczuciem sprawiedliwości, albo dla niego najkorzystniej. Nie oznacza to bynajmniej, iż celem każdego człowieka jest władza polityczna, ponieważ zdaniem Kołakowskiego pragnienie jej sprawowania zostało dane wyłącznie wybranej kasty nadludzi:

Stąd nie wynika jednakże, że każdy chciałby być królem. Jak Pascal mówi, tylko król pozbawiony tronu jest nieszczęśliwy, że nie jest królem.

Następnie pan profesor przechodzi do krytyki anarchizmu, stawiającego sobie za cel likwidację władzy (3):

Ponieważ wiadomo, że posiadanie władzy bardzo często - choć nie bezwyjątkowo - korumpuje ludzi, ponieważ ludzie, którzy przez długi czas cieszyli się jakimś znaczącym zakresem władzy mają w końcu poczucie, że władza należy im się na mocy porządku natury, podobnie jak władza dawnych monarchów miała być z boskiego nadania, a gdy ją z jakichś powodów utracą, uważają to za katastrofę kosmiczną, ponieważ walka o władzę jest głównym źródłem wojen i wszelkich okropności świata, pojawiły się dziecinne utopie anarchistyczne, które znalazły na to wszystko zbawienne lekarstwo: zlikwidować w ogóle władzę. Co więcej, utopie takie głoszą czasem tacy myśliciele, którzy nadają władzy sens najszerszy, powiadając na przykład, że władza rodziców nad dziećmi jest z jednej strony okropną tyranią: wynikałoby stąd, że gdy rodzice uczą dzieci ojczystej mowy, to sprawują nad nimi tyrańską przemoc, odbierając im wolność, i że najlepiej byłoby zostawić je w stanie zwierzęcym, by same sobie wymyśliły język, obyczaje i całą kulturę. Ale anarchizm mniej absurdalny ma na myśli zniesienie władzy politycznej: zlikwidujemy wszelkie rządy, administrację i sądy, a ludzie będą się cieszyli przyrodzonym braterstwem.

Widzimy tutaj tak ogromne i wielowarstwowe pomieszanie pojęć, że naprawdę nie bardzo dobrze wiem, od którego miejsca należy zacząć je rozsupływać. Kołakowski skupia się przede wszystkim, jak już powiedziałem, na anarchizmie jako dążeniu do likwidacji władzy w znaczeniu (3), nazywając je "dziecinnyimi utopiami". Ażeby w pełni zrozumieć racje pana profesora, trzeba wiedzieć z jakiego środowiska się on wywodzi. Środowisko to, skupione wokół PZPR i Urzędu Bezpieczeństwa PRL, zasłynęło w latach pięćdziesiątych (a więc w czasach młodości naszego ulubionego filozofa) z wyjątkowego okrucieństwa w służbie Stalina, wywołując tym samym zacieklą nienawiść większości Polaków, trwającą nierzadko do dnia dzisiejszego. Później jednak, w obliczu krachu ortodoksyjnego stalinizmu w 1956 roku, przeszło na pozycje trockistowskie, co stało się przyczyną stopniowego wykluczania z PZPR. Niemniej jednak Leszek Kołakowski, profesor marksizmu-leninizmu na Uniwersytecie Warszawskim, jeszcze w latach sześćdziesiątych pozostawał członkiem partii i dopiero w roku 1966 został z niej wykluczony. W tym kontekście nietrudno zrozumieć, z jakimi "wartościami" Kołakowski czuje się związany od wczesnej młodości: oportunistem, zakłamanym, naganianiem prawdy do potrzeb moźnych, fagasostwem, relatywizmem etycznym, elitaryzmem i korupcją intelektualną. Gdyby nie czuł się z nimi związany, nie zaszedłby tak wysoko w tamtych czasach. Dlatego też godność, honor, odwaga, braterstwo, determinacja i wrażliwość, na których opiera się anarchizm, to dla Kołakowskiego cechy "dziecinne" i "absurdalne", a świat oparty na nich to "utopia". W mrocznym świecie Tęglat-Pileserów, Syracuzesów, Trockich i Kołakowskich na takie sprawy oczywiście nie może być miejsca.

Kołakowski rozróżnia anarchizm "bardziej absurdalny" i "mniej absurdalny". Jego zdaniem, ten pierwszy zwalcza wszystkie rodzaje władzy wśród ludzi (2+3), zaś ten drugi tylko (3). Tymczasem każdy, kto chociaż pobieżnie zna się na rzeczy, dobrze wie, że anarchiści pragną zlikwidować jedynie władzę (3), zaś przeciwnie twierdzenie jest kłamstwem, wymyślonym przez Engelsa

w swoim paszkwilu "O władzy" i powtarzającym przez Lenina i jego następców. Przeczytajmy jeszcze raz najbardziej zdumiewający fragment wykładu:

Co więcej, utopie takie głoszą czasem tacy myśliciele, którzy nadają władzy sens najszerszy, powiadając na przykład, że władza rodziców nad dziećmi jest z natury rzeczy okropną tyranią: wynikałoby stąd, że gdy rodzice uczą dzieci ojczystej mowy, to sprawują nad nimi tyrańską przemoc, odbierając im wolność, i że najlepiej byłoby zostawić je w stanie zwierzęcym, by same sobie wymyśliły język, obyczaje i całą kulturę. Ale anarchizm mniej absurdalny ma na myśli zniesienie władzy politycznej: zlikwidujemy wszelkie rządy, administrację i sądy, a ludzie będą się cieszyli przyrodzonym braterstwem.

Istny majstersztyk! Chyba jeszcze nigdy w życiu nie widziałem równie przemyślnie i pokretnie skonstruowanego kłamstwa. Po pierwsze, ciekawy jestem, gdzie Kołakowski widział myślicieli pragnących znieść władzę w znaczeniu (2), a tym bardziej (1)? Takowi istnieją tylko w jego wyobraźni, tudzież w dziełach ukochanych klasyków - Engelsa i Lenina, nie umiejących (bądź też nie chcących) odróżnić znaczenia (3) od (2). W swoich oszczerstwach Kołakowski posunął się jednak znacznie dalej niż Engels i Lenin, przypisując anarchom dążenie do zniesienia władzy również w pierwszym znaczeniu ("Co więcej, utopie takie głoszą czasem tacy myśliciele, którzy nadają władzy sens najszerszy" - te słowa świadczą jednoznacznie o takim właśnie znaczeniu w świetle wcześniejszej części wykładu). Omawiany przykład można interpretować trojako:

a) zdaniem Kołakowskiego, dzieci nie są istotami ludzkimi, a więc władza rodzicielska, choćby nie wiem jak despotyczna, zawsze z powodów ideologicznych musi zostać zakwalifikowana do znaczenia (1), a nigdy (3). Za taką interpretacją przemawiałyby słowa następujące poniżej: "najlepiej byłoby zostawić je w stanie zwierzęcym, by same sobie wymyśliły język, obyczaje i całą kulturę". Jeśli tak, to zapewne ludy niepiśmienne także są zwierzętami i należy je przemocą nawrócić na "człowieczeństwo".

b) anarchizm "absurdalny" walczy przeciwko władzy (2+3), podczas gdy "mniej absurdalny" tylko przeciwko (3). Zatem słowo "władza" może, zdaniem Kołakowskiego, mieć dwa znaczenia: węższe (3) i szersze (w omawianym przykładzie - 2+3, ale we wcześniejszych jest to 1+2+3!!!). Zatem, zdaniem Kołakowskiego, słowo "władza" w rozumieniu drugim jest zbiorem pustym! Taka interpretacja byłaby całkowicie zgodna z zasadami marksizmu-leninizmu, z którego Kołakowski się wywodzi. Według tejszej tradycji, każda współpraca międzyludzka opiera się na przemocy i dominacji, a między posłuszeństwem wobec władzy represyjnej, a posłuszeństwem wobec dobrowolnego zobowiązania nie ma żadnej różnicy. Przy takiej interpretacji wykład Kołakowskiego byłby po prostu poetyckim ozdobionym plagiatem z Engelsa. Jeśli tak, to dla Kołakowskiego nie ma żadnej różnicy, czy pisze mowę pochwalną po śmierci Stalina, bo zmusza go do tego bezpieka pod groźbą Syberii, czy też po śmierci żony najbliższego przyjaciela w zamian za jakąś przysługę.

c) konieczna jest interpretacja pośrednia: Kołakowski chce, ażeby część słuchaczy przyjęła interpretację a), a część b). Jeśli tak, to cały wykład jest arcydziełem



zakłamania. Co więcej, między wierszami widzimy tutaj niedwuznaczoną sugestię, że anarchiści pragną zlikwidować języki narodowe i ujednolicić cały świat, podczas gdy w rzeczywistości jest dokładnie odwrotnie.

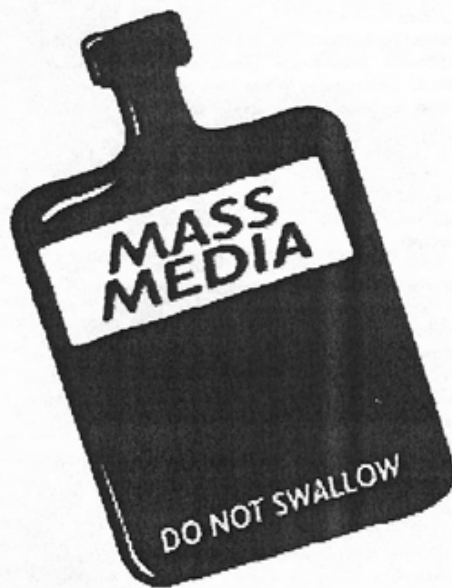
A teraz na chwilę oderwijmy się od owej pokrętej argumentacji i przyjrzyjmy się, jak to jest naprawdę z nauką czystego języka przez rodziców. Jest to niewątpliwie przykład "władzy" w nieznanym przez Kołakowskiego znaczeniu (2), czyli dobrowolnej współpracy kilku osób. Nauka języka mówionego, dzięki któremu można się porozumiewać z innymi osobami jest niewątpliwie realizacją wolności, a nie jej ograniczeniem. Dziecko uczy się mówić dobrowolnie, a nie pod przymusem; owszem, w przypadkach, kiedy z jakichś powodów nie czuje takiej potrzeby, to na pewno się nie nauczy pomimo dobrych chęci z naszej strony (np. autyzm czy inne schorzenia). Zaś Kołakowski pisząc "wynikłoby stąd, że gdy rodzice uczą dzieci ojczyste mowy, to sprawują nad nimi tyranicką przemoc, odbierając im wolność" po prostu wykazuje niezrozumienie różnicy między przemocą a dobrowolną współpracą, i to posunięte do granic absurdu. Takie podejście do rzeczy jest oczywistym plagiatem z Engelsa i jego następców - Lenina, Trockiego i Stalina. Z rozważań Kołakowskiego wynika, że osoby niepełnosprawne, niezdolne do nauczenia się ojczystej mowy, znajdują się "w stanie zwierzęcym", a więc są co najmniej podludźmi. Trochę dziwny punkt widzenia jak na chrześcijańskiego filozofa. W omawianym przykładzie, zdaniem Kołakowskiego, zakres pojęcia "władza" nie zależy od jej charakteru (2 czy 3), lecz od tego, kogo dotyczy. A ponieważ wcześniej zostało opisane przeciwstawienie władzy (3) szerszemu znaczeniu (1+2+3), a i w omawianym przykładzie mowa jest o "szerszym" i "węższym" znaczeniu, więc cała ta argumentacja okazuje się bardzo mętnym belkotem, całkowicie sprzecznym z jakimkolwiek zasadami logicznego myślenia. Raczej przypomina ona "filozofię" partyjnych referatów w czasach Gomułki.

Dalsze słowa okazują się także pomówieniami: "Ale anarchizm mniej absurdalny ma na myśli zniesienie władzy politycznej: zlikwidujemy wszelkie rządy, administrację i sądy, a ludzie będą się cieszyli przyrodzonym braterstwem". Kołakowski, podobnie jak jego mistrz Engels, albo wcale nie zna założeń anarchizmu, albo umyślnie przedstawia je w krzywym zwierciadle, chcąc znieść czytelnika na manowce. W pierwszym wypadku, jeśli nie ma się orientacji w jakiejś sprawie, to nie powinno się w ogóle na ten temat zabierać głosu. W drugim, Kołakowski okazałby się świadomym kłamcą i obłudnikiem. Podobnie jak wyprowadzenie się ze slumsów samo w sobie nie czyni jeszcze człowieka bogatym, gdyż może oznaczać zarówno poprawę (przeprowadzkę do przyzwoitszego mieszkania), jak i pogorszenie jego losu (całkowitą bezdomność) - tak samo likwidacja rządów, administracji i sądów dla żadnego anarchysty nie jest celem samym w sobie, automatycznie zapewniającym "przyrodzone braterstwo", lecz jedynie środkiem do osiągnięcia celu, jakim jest budowa anarchistycznych struktur społecznych. Czytajmy dalej:

Na szczęście anarchistycznej rewolucji zrobić na zamówienie niepodobna: anarchia powstaje gdy z jakichś powodów rozpada się wszystkie organy władzy i nikt nie panuje nad sytuacją; wynik musi być taki, że jakaś siła, która chce niepodzielnej władzy dla siebie - a zawsze są takie - skorzysta z powszechnego bezładu i demoralizacji i narzuci własny despotyczny porządek; najbardziej widowiskowym tego przykładem była rewolucja rosyjska - ustanowienie despotycznych rządów bolszewickich dzięki powszechnemu zanarchizowaniu społeczeństwa. Anarchizm praktycznie jest na usługach tyranii.

Otóż nie tylko anarchystycznie, ale też i jakiegokolwiek innej rewolucji na zamówienie zrobić niepodobna, co jest chyba sprawą całkowicie oczywistą. W powyższych rozważaniach Kołakowski myli anarchię (tj. porządek społeczny, do którego dążą anarchiści) z destabilizacją, podczas gdy obie te rzeczy mają się tak do siebie, jak pięść do nosa. Jeśli zaś chodzi o rewolucję rosyjską, to rzeczywiście podczas niej doszło do znacznej anarchizacji społeczeństwa. Despotyczne rządy bolszewickie doszły jednak do skutku nie dlatego, że w Rosji było za dużo anarchii, lecz właśnie dlatego, że anarchii było za mało, to znaczy przez cały czas istniały organy władzy państwowej na czele z Leninem, który wykorzystując zbyt małe zanarchizowanie rosyjskiego społeczeństwa stanął na czele zwycięskiej kontrrewolucji. Przyczyną tej katastrofy była naiwność rosyjskiego ludu, który wierzył, że jego

władza da się pogodzić z istnieniem państwa. Ale wydarzeniem w Rosji możemy przeciwstawić rewolucję hiszpańską, kiedy to anarchiści przejęli władzę na znacznych obszarach kraju, podporządkowując gospodarce, a nawet siły zbrojne zasadom wolnościowym, co zaowocowało sukcesami przewyższającymi najmielsze oczekiwania, dopóki komuniści wspólnie z burżuazyjnym rządem nie zorganizowali kontrrewolucji, doprowadzając do zwycięstwa Franco. O tym jako Kołakowski jednak nie wspomina. Później zaś następuje obelga: "Anarchizm praktycznie jest na usługach tyranii". Bardzo zabawne, że podobne oszczerstwa wypowiada człowiek, który sam całą swoją młodość spędził na usługach tyranii. Anarchiści nigdy nie byli sługami bolszewików. Anarchista Bakunin na pięćdziesiąt lat przed rewolucją październikową zdołał już przewidzieć jej rezultat: zniszczenie starych klas społecznych przy zachowaniu struktur państwa doprowadzi do takiej tyranii, jakiej jeszcze nie było w dziejach ludzkości. Bakunin już wtedy jasno dostrzegł nierealność marksizmu. Podobnie amerykański anarchista Tucker na początku XX wieku twierdził, że anarchizmem bliżej już nawet do obecnego społeczeństwa niż do propanstwowych socjalistów. Dla porównania, Kołakowski jeszcze na początku lat sześćdziesiątych



pozostawał zwolennikiem marksizmu-leninizmu i czerpał z tego tytułu niemałe profity. Na przykład po masakrze robotników w Poznaniu w czerwcu 1956 roku nasz ukochany profesor wcale nie uznał za stosowne wystąpić z partii (został z niej dopiero usunięty siłą w 1966 roku), czym dał moralne przyzwolenie autorom owej rzezi na prowadzenie totalitarnych rządów. Dopiero kiedy Gomułka pozabawił go wszelkich zaszczytów i profitów w 1968 roku, Kołakowski wyemigrował na Zachód i zaczął czerpać jeszcze większe korzyści materialne z krytykowania marksizmu i popierania prądów myślowych dominujących akurat w wpływowym kręgu zachodnich społeczeństw. W czasach, kiedy Kołakowski za dobre pieniądze pozostawał teoretykiem bolszewizmu, rosyjscy anarchiści przebywali w katakumbach i szpitalach psychiatrycznych, stawiając zacieklej opór komunistycznej tyranii. Ale to oczywiście nie Kołakowski, lecz anarchizm jest praktycznie na usługach tyranii.

Prawdą jest, że podczas rewolucji rosyjskiej miała miejsce - do pewnego stopnia - współpraca anarchistów z bolszewikami. Ale wywołana została ona przede wszystkim demagogią Lenina, który w swoim niepomąganym dążeniu do władzy używał także quasi-anarchistycznych hasł, ale ani przez moment nie dążył do ich realizacji. Po 7 listopada rosyjscy anarchiści liczyli na to, że staną się wewnątrzrządową opozycją w ramach pluralistycznego państwa; podobne oczekiwania mieli zresztą też socjaldemokraci (mienszewicy) i chłopscy radykałowie (eserowcy). Tymczasem Lenin ustanowił totalitarną dyktaturę. W odpowiedzi na to anarchiści (i inni) chwycili za broń i stoczyli nierówną walkę z bolszewikami na barykadach Kronsztađu w marcu 1921 roku. Jeśli obwiniamy anarchistów za zwycięstwo

bolszewizmu, to ma to tyle samo sensu, co obwinianie Sierpina 1980 za dojsie do władzy Walendziaków, Balcerowiczów i Kolakowskich. Każdy bunt społeczny niesie ze sobą zagrożenie przejęcia władzy przez niepożądane elementy; dlatego też w chwili obecnej najbardziej czarnym scenariuszem dla Polski byłoby przejęcie władzy przez Prawo i Sprawiedliwość lub kolakowszczyznę spod znaku Alternatywy. Przyczyną tego jest jednak zbyt mała, a nie zbyt duża ilość anarchizmu w życiu społecznym. Pragnę oświadczyć, jako anarchista, że wcale nie zamierzam torować ww. siłom drogi do władzy, podobnie jak rosyjscy anarchiści nie pragnęli, aby zdobyli ją bolszewicy!

Czytajmy dalej:

Nie, władzy zlikwidować nie można, można tylko lepszą zastąpić gorszą albo czasami odwrotnie. Nie jest niestety tak, że gdy władzy politycznej nie będzie, wszyscy staną się braćmi; skoro interesy ludzi są skłócone z natury rzeczy, nie z przypadku, skoro niepodobna przeczyć temu, że nosimy w sobie pewne zasoby agresji, skoro potrzeby i zachcianki nasze mogą rosnać w nieskończoność, to gdyby instytucje władzy politycznej cudem wyparowały, wynikiem byłoby nie powszechne braterstwo, ale powszechna rzeź.

Prawdą jest, że gdyby instytucje władzy politycznej nagle cudem wyparowały, wynikiem byłoby nie powszechne braterstwo, lecz powszechna rzeź. Ale rzecz w tym, iż świat został tak stworzony, że nie mogą one cudem wyparować i nie wyparują! Anarchiści nie pragną cudów, lecz rozmontowania tych struktur na drodze świadomego wysiłku. Oznacza to walkę klasową, która przekształca nie tylko świat, ale i nas samych. Proces ten prowadzi do stopniowego eliminowania osobowości autorytarnych ze społeczeństwa. Ktoś jednak, kto w swoim długim życiu nigdy nie zanotował podobnych doświadczeń, wiedzieć na ten temat nie może. Ale dlaczego gdyby instytucje władzy państwowej nagle cudem wyparowały, wynikiem byłoby powszechna rzeź? Dlatego, że nie oznaczałoby to wcale jeszcze zniesienia władzy w znaczeniu (3), lecz jedynie zniesienie monopolu na jej sprawowanie! Z tego powodu "anarchia" może okazać się koszmarem, ale tylko wtedy, gdy jest to "anarchia" stosowana niekonsekwentnie. Konsekwentna anarchia zawsze prowadzi do niewyobraźalnego wręcz rozkwitu! Zdaniem Kołakowskiego, "interesy ludzi są skłócone z natury rzeczy, nie z przypadku", a wszyscy "nosimy w sobie pewne zasoby agresji". Jest to wierutna bzdura. Interesy ludzi nie są skłócone z natury rzeczy, ani też z przypadku, tylko wskutek obowiązywania patologicznych systemów społeczno-ekonomicznych i etycznych. Systemy te powodują także wyzwalanie się agresji, która w warunkach anarchii nie byłaby nikomu na nic potrzebna (nawet jeśli rzeczywiście agresję mamy zapisaną w genach, w co szczerze wątpię). Na przykład, jeśli ktoś posiada 10 miliardów dolarów, to "z natury rzeczy" nie potrzeba mu już ani dolara więcej, a tym mniej agresji. Jednakże wymagania "wolnego rynku" zmuszają go do dalszej walki o nowe zdobycze, bo w przeciwnym razie zostanie zniszczony przez konkurencję. Co więcej, wymagania te sprawiają, że nawet jego ewentualna dobra wola pozostanie tu praktycznie bez znaczenia. Kołakowski twierdzi, że "potrzeby i zachcianki nasze mogą rosnać w nieskończoność". Pomijając nawet powyższy przykład należy stwierdzić, że nasze potrzeby i zachcianki mogą rosnać w nieskończoność między innymi dlatego, że są sztucznie napełdane przez przemysł reklamowy oraz przez patologiczne systemy etyczne. Ale nawet jeśli rosły one w nieskończoność z natury rzeczy, to jest to możliwe tylko dzięki istnieniu władzy w znaczeniu (3). W warunkach anarchii, gdyby czyjeś potrzeby i zachcianki zaczęły rosnać w nieskończoność, nikt nie zgodziłby się na ich realizację. Na przykład, gdybym zapragnął prywatnego wahadłowca, to zapewne musiałbym też samemu go sobie zbudować, ponieważ producenci odmówiliby mi jego zbudowania. Kołakowski pisze dalej:

Nie byłoby i nie będzie w dosłownym sensie "władzy ludu": jest to zresztą technicznie niewykonalne. Mogą być tylko różne narzędzia, za pomocą których lud patrzy na ręce władzy i w stanie zastąpić ją inną ... [...]

Jeszcze raz pan profesor się myli. Jest to całkowicie wykonalne technicznie, nawet w węższej Nowej Gwinei (a cóż dopiero w naszym komputeryzowanym i bezprzewodowym świecie!), jeśli użyje się delegatów zobowiązanych instrukcjami (tak jak to było w czasach I Rzeczypospolitej) pod groźbą odwołania, nie wyposażonych w żadną władzę dla siebie, lecz jedynie reprezentujących wolę swej społeczności. Tak rozumiana

"Władza ludu" stała się faktem w Aragonii w 1936 roku. Następnie czytamy:

Kontrola ludu nad władzą nie była też bezbłędna, władza demokratycznie wybrana też podlega korupcji, jej decyzje są często sprzeczne z pragnieniami większości, wszystkich zadowolonych żadna władza nie potrafi itd. To są rzeczy banalne, znane wszystkim. Narzędzia kontroli ludu nad władzą nigdy nie są doskonałe, ale najskuteczniejsze co ludzkość do tej pory wymyśliła, by zapobiegać samowolnej władzy, to to właśnie: utrzymywać narzędzia nadzoru społecznego nad władzą i ograniczać zakres władzy państwowej do tego co naprawdę niezbędne, by ład społeczny był zachowany. W przeciwnym razie regulacja wszystkiego, co ludzie robią, to tyle co władza totalitarna.

Możemy zatem - i powinniśmy - organy władzy politycznej podejrzliwie traktować, sprawdzać jak najczęściej i w razie potrzeby na nie zawsze narzekać (a potrzeba jest prawie zawsze), nie powinniśmy jednak narzekać na samo istnienie, samą obecność władzy, chyba że wymyślimy inny świat, czego już wielu próbowało, ale nikt z powodzeniem.

Chyba jednak ktoś wreszcie wymyślił inny świat, i to z powodzeniem, o czym świadczy niezwykła popularność swego mini-wykładu. Mam tu oczywiście na myśli samego Kolakowskiego, który w omawianym dziele **zbudował zupełnie nowy świat, wymyślając zupełnie inne niż dotychczasowe zasady logicznego myślenia.** Mianowicie dokonał podziału pojęcia "władza" na podzbiory pionowe, następnie zaś na podzbiory poziome, a na koniec stwierdził rozszalenie obu podziałów. Takiego odkrycia nie byłby w stanie dokonać nawet Einstein.

Profesor Leszek Kołakowski nie jest zresztą jedynym człowiekiem z powodzeniem wymyślającym zupełnie inny świat. Podobnie możemy powiedzieć także o większości współczesnych ekonomistów, którzy zakwestionowali podstawowe prawa fizyki. Zdaniem owych geniuszy, w naszym świecie coś może powstać z niczego: otóż kapitał ma zdolność do samistnego rozmnażania się bez udziału ludzkiej pracy, podobnie jak istoty żywe! Śmiej się, ale zakwestionowanie prawa zachowania materii i dokonanie aktu stworzenia świata na nowo poprzez obdarzenie człowieka życia przyrody nieożywionej zakończyło się sukcesem. Dowodem na to jest fakt, że głoszący podobne poglądy ekonomiści zajmują lukratywne posady na szołowych światowych uniwersytetach i cieszą się niekwestionowanym autorytetem. Podobnie jak pan profesor Leszek Kołakowski.

Andrzej Obuchowski

P.S. Nasi szanowni ludzie kultury narzekają, że powstaje bardzo dużo ekranizacji dzieł wielkich polskich pisarzy, natomiast brakuje dobrych polskich filmów współczesnych. Chciałbym więc im podpowiedzieć: zróbcie na przykład film

zadosć.

...całe zajście trwało kilka minut

Było kwietniowe popołudnie 1920 r. Dochodziła trzecia. Na ulicy w South Braintree stali klienci, robotnicy oraz dwaj mężczyźni opierający się o plot oddzielający firmy Rice & Hutchins oraz dwie fabryki Morill, w których wyrabiano obuwie.

Kasjer Frederick A. Parmenter i jego ochroniarz Alexander Berardelli, jak co tydzień przewożili główną ulicą pieniądze przeznaczone na wypłaty dla robotników fabryki Slater i Morill. W pewnym momencie Berardelli, który kierował ciężarówką, zahamował, aby przepuścić dwóch przechodniów. Wtedy właśnie poczuł, że ktoś przyłożył mu pistolet między zebra. Wystrzelono kilka razy i wyrzucono ochroniarza z samochodu do rowu. Kasjer Parmenter, widząc co się święci, chwycił kasetkę z pieniędzmi i zaczął uciekać ulicą. Bandyta ruszył w pościg i zastrzelił kasjera drugim strzałem. W tym czasie drugi sprawca oddał jeszcze kilka strzałów do Berardelliego i raz wystrzelił w powietrze. Z bocznej przecznicy wyjechał samochód. Przestępcy wrzucili pieniądze do nadjeżdżającego pojazdu i odjechali pośpiesznie z miejsca napadu. Całe zajście trwało kilka minut.

Cztery miesiące wcześniej, rankiem w Wigilię Bożego Narodzenia 1919 r., w Bridgewater, robotniczym miasteczku kilkadziesiąt mil na południe od Bostonu, furgonetka przewożąca pieniądze dla pracowników zakładu obuwniczego White Shoe została zatrzymana na drodze. Ze stojącego nie opodal samochodu wyskoczyli mężczyźni wyglądający na cudzoziemców. Dwóch z nich oddało strzały, jeden w kierunku kierowcy furgonetki. Ponieważ pociski nie dosięgły celu, a kierowca furgonetki również zaczął strzelać, napastnicy zdali sobie sprawę, że ich zamiar się nie powiedzie i odjechali.

W toku śledztwa policja z Bridgewater w lokalnym warsztacie naprawczym znalazła samochód, który kilka dni wcześniej przyprawiono do naprawy. Policja podejrzewała, że jego posiadaczem lub przynajmniej kierowcą był Włoch o nazwisku Boda, a samochód wykorzystano do napadu na furgonetkę przewożącą pieniądze dla robotników. Policjanci poprosili dyskretnie Johnsonów prowadzących warsztat, by jak najszybciej poinformowali ich, gdy ktoś zgłosi się po pojazd.

Wieczorem piątego maja rzeczywiście senior Boda przyszedł odebrać samochód. Towarzyszyli mu Sacco i Vanzetti oraz inny Włoch o nazwisku Orciani. Kiedy Boda rozmawiał z panem Johnsonem, jego żona pod pretekstem przyniesienia mleka poszła do sąsiadów i powiadomiła policję o wizycie właścicieli pojazdu. W

oskarżony o popełnienie dwóch zbrodni.

Ławę przysięgłych kompletował prokurator Fred Katzman. Od samego początku był zdeterminowany w swych pomysłach. "Ukrzyżować tych przeklętych radykałów" - powtarzał. Miał poparcie dwunastu konserwatywnych sędziów przysięgłych i sędziego Webstera Thayera, który tak mówił po procesie: "Czy widzieliście, co zrobiłem z tymi anarchizującymi sukinsynami?"

Kłopoty oskarżonych nie kończyły się tylko na wrogo nastawionej ławie przysięgłych. W akcie desperacji oskarżeni zwrócili się o pomoc do anarchizujących grup z Nowego Jorku. Poradzono im, by poprosili Freda



Moore'a, aby podjął się on ich obrony przed sądem. Był to jednak najgorszy wybór. Nie tylko dlatego, że ściągłeli z Kalifornii zatwardziałego radykała z długimi włosami. Na niekorzyść działał również fakt, że sędziowie ze stanu Massachusetts krzywo patrzyli na prawników z innych niż oni okręgów.

Akt balistyczny

Strażnik Berardelli zmarł na ulicy. Obok niego znaleziono cztery puste łuski nabozi. W zwłokach Berardelliego tkwiły cztery pociski kalibru 32. Jeden z

Proces Sacco i Vanzettiego

Przedruk „Prawo i Życie”

Panowie sędziowie, wy wiecie, że jestem niewinny. Powtarzam to od siedmiu lat. Skazujecie dwóch niewinnych ludzi - krzychał Nicola Sacco skazany wraz z Bartolomeo Vanzettim przez amerykański sąd stanu Massachusetts na karę śmierci za morderstwo pierwszego stopnia.

W tym czasie Vanzetti żegnał się z rodziną: Żegnaj droga żono, kochane dziecko i moi przyjaciele. Żegnaj mamę.

On również zapewniał o swojej niewinności: Nigdy nie dopuściłem się żadnej zbrodni, a jedynie trzech.

Jestem niewinny, nie popełniłem ani tej zbrodni, ani żadnej innej.

W dniu egzekucji wokół więzienia Charlestown zgromadził się tłum podekscytowanych gapiów, a także zwolennicy obu skazanych. 23 sierpnia 1927 r. zaraz po północy na krześle elektrycznym został stracony Sacco, za nim Vanzetti, a przed nimi Celestino Madeiros, portugalski strzelec skazany za inne morderstwo.

Swie ostatnie słowa Sacco wykrzyczał po włosku: Niech żyje anarchia!

Tak zakończyło się siedmioletnie śledztwo w sprawie morderstwa kasjera i jego ochroniarza, przewożących pieniądze przeznaczone na wypłaty dla robotników fabryki obuwniczej. Sześć lat niepewności, czy wyrok śmierci zostanie wykonany, sześć lat błagania, by sprawiedliwości stało się

międzyczasie Johnson zwrócił uwagę Bode, że samochód nie ma prawdziwej tablicy rejestracyjnej. Po krótkiej wymianie zdań Włosi domyślili się, że Johnson poinformował już policję i opuścili pośpiesznie warsztat. Boda i Orciani odjechali motorem, a dwaj pozostali poszli pieszo.

Jeszcze tego wieczoru Sacco i Vanzetti zostali aresztowani. Jak się okazało, byli uzbrojeni. Przewieziono ich do lokalnego komisariatu policji i oskarżono o nielegalne posiadanie broni, do czego się przyznali. Zapytano ich o powod wizyty w Bridgewater oraz gdzie przebywali w ciągu ostatnich dni. Policja jeszcze nic konkretnego nie ustaliła, ale gazety już zaczęły spekulacje na temat ich ewentualnych powiązań ze sprawcami napadów na konwojentów pieniędzy. Bode i Orciano także aresztowano, ale po przesłuchaniu obydwu wypuszczono.

Kiedy Sacco i Vanzetti przebywali w areszcie, przesłuchiowano świadków zajęć w Bridgewater i South Braintree. Sacco przedstawił swoje alibi. Twierdził, że pracował w wigilię św. Bożego Narodzenia, więc nie mógł popełnić przestępstwa w Bridgewater. Jednakże okazało się, że miał on dzień wolny 15 kwietnia. Obciążono go więc zarzutem morderstwa w South Braintree. Vanzetti, sprzedawca ryb, mimo iż twierdził, że na pewno 14 i 15 kwietnia sprzedawał ryby, został

nich przebił prawe płuco i zatrzymał się na kości biodrowej. Pewne było, że to on spowodował śmierć.

Drugiego strażnika, umierającego Parmentera umieszczono w szpitalu. Trafily go dwie kule. Ranny zmarł cztery godziny później. Szef policji miejskiej w Massachusetts kapitan Proctor zabezpieczył wszystkie kule i łuski. Chodziło o łuski firmy Peters, Remington i Winchester. W procesie Sacco i Vanzettiego te właśnie pociski, naboje, pistolety i rewolwer nabrały decydującego znaczenia.

Biegły od spraw balistyki na pytanie prokuratora: czy kula oznaczona symbolem III, która spowodowała śmierć Berardelliego, została wystrzelona z pistoletu Sacco, odpowiedział: "Skłaniam się do mniemania, iż pocisk został wystrzelony z tego automatycznego pistoletu Colta. Na dnie lufy pistoletu znajduje się ślad rdzy, którego odbicie znalazłem na pociskach".

Biegły powołany przez obronę oskarżonych był odmiennego zdania. On również oddał strzały porównawcze z pistoletu Sacco. Przed sądem oświadczył, stanowczo, że jest niemożliwe by "kula III" kiedykolwiek została wystrzelona z pistoletu Sacco. Jego zdaniem lufa, z której wyszła śmiertelna kula, nie miała na dnie śladu rdzy, ale była po prostu zardzewiała w całości. Drugi biegły powołany przez obronę stwierdził wprost: "Kula III nie została wystrzelona z

NOAM CHOMSKY O KAPITALIZMIE

(wywiad dla *Detroit Metro Times* przeprowadzony przez Davida Finkela)

przetłumaczył z sieci Olaf Swolkień

DF: Zaczynijmy naszą rozmowę od momentu upadku Związku Radzieckiego. Czy to oznacza zwycięstwo wolnego rynku? Czy rozwiąże problemy kapitalizmu czy może stworzy nowe?

NC: Zaczynijmy od tego, że terminy „kapitalizm” i „socjalizm” zostały tak bardzo wyprane z jakiegokolwiek znaczenia, że nawet nie lubię ich używać. Nie istnieje dzisiaj nic co nawet by go przypominało. O ile kapitalizm kiedykolwiek istniał to zniknął w latach 20-tych czy 30-tych. Każde społeczeństwo przemysłowe jest pewną formą kapitalizmu państwowego. Ale będę używał terminu „kapitalizm” w jego obecnym brzmieniu. To co zdarzyło się w ciągu ostatnich 10-15 lat to gigantyczna katastrofa. Ten kryzys wybuchł około roku 1980. Dwa spośród trzech sektorów państwowego kapitalizmu: prowadzona przez Niemcy Europa i Japonia odbyły się od dna, ale nie były w stanie osiągnąć poprzedniego poziomu wzrostu. Stany Zjednoczone też przeżywały kryzys, ale w bardzo kulawy sposób opierający się na ogromnych pożyczkach i interwencji państwa. Reszta świata nie podniosła się, a szczególnie dotyczy to Trzeciego Świata. To był kryzys urastający do katastrofy w Afryce, należącej do Zachodniego Systemu części Azji i Ameryki Południowej. To można nazwać katastrofą Południa, a to oznacza katastrofę kapitalizmu. W Drugim Świecie poddanym dominacji Związku Radzieckiego także doszło do ekonomicznej zapaści..., stagnacji sterowanej centralnie ekonomii, która miała z socjalizmem nawet mniej wspólnego niż nasz system z kapitalizmem. Było to połączone z ruchami nacjonalistycznymi na rzecz niepodległości i presją społeczną atakującymi tyrański system, który na początku lat 80-tych wszedł w stan kryzysu, a ten z kolei doprowadził do upadku Związku Radzieckiego. Miało to niewiele wspólnego z polityką Zachodu, ale wynikało głównie z przyczyn wewnętrznych i sprawy zadłużenia. To był także kryzys radzieckiej produkcji, chociaż nie tak poważny jak w Trzecim Świecie.

To było zwycięstwo Zachodu w Zimnej Wojnie, ale jej rezultat nigdy nie budził wątpliwości biorąc pod uwagę relacje potencjałów ekonomicznych, a także inne czynniki.

DF: Co Pan dokładnie rozumie przez „kapitalizm państwowy”?

NC: Zwycięstwo Zachodu w Zimnej Wojnie nałożyło się zarówno na niebывалą katastrofę kapitalizmu jak i na ruch w kierunku takiej lub innej formy interwencjonizmu państwowego. Dla przykładu administracja Busha i Regana są najbardziej interwencjonistyczne od czasu II Wojny Światowej i dwukrotnie zwiększyły ilość restrykcji celnych na dobra importowane. Z kolei jeżeli Pan się przyjrzy tym spośród krajów Trzeciego Świata, które przeżyły kryzys lat 80-tych to są to nowoprzemysłowe kraje na peryferiach Japonii. Porównanie z Ameryką Łacińską jest uderzające: Aż do roku 1980 postępowało tam według podobnych wzorców, potem Ameryka Łacińska weszła w stan upadku podczas gdy gospodarki Wschodniej Azji miały się dobrze. Stało się tak dlatego, że Ameryka Południowa otwarła się na obcy kapitał podczas gdy Wschodnia Azja nie. Nie można wywozić kapitału z Południowej Korei bo za to grozi tam kara śmierci. Tam nie tylko dyscyplinuje się i terroryzuje pracowników w tradycyjny sposób, ale reguluje się także działania kapitalistów. Mówiąc ogólnie jest to zwrot w kierunku jednego krańca całego spektrum odmian kapitalizmu państwowego - krańca faszystowskiego - w przypadku ogólnego kryzysu lat 80-tych okazało się to efektywne. DF: Jak Pan ocenia administrację Busha szczególnie jeżeli chodzi o politykę wewnętrzną. Gdzie dostrzega Pan kontynuację, a gdzie odejście od polityki poprzednika? NC: To jest kontynuacja polityki Cartera - Reagana. Należy pamiętać, że polityka Reagana była proponowana już przez Cartera,

pistoletu Sacco. Nie mogłem na kuli III zobaczyć żadnych znaków, które dałyby się porównać z kulą pochodzącą z tej broni...”

W 1923 r., kiedy to odrzucono wnioski o wznowienie postępowania, obrońca oskarżonych jeszcze raz nawiązał do „aktu balistycznego” dramatu Sacco - Vanzetti. Ale również i tym razem wysiłki jego okazały się bezskuteczne.

Wątpliwe alibi

Podczas procesu Sacco twierdził, że nie był w pracy w dniu, gdy popełniono morderstwo, czyli 15 kwietnia. Mówił, że tego dnia pojechał do Bostonu do konsulatu włoskiego, aby zasięgnąć informacji o warunkach uzyskania paszportu, gdyż planował powrót do Włoch. Antonio Dentamore, świadek obrony, twierdził, że oskarżony Sacco został mu przedstawiony tego właśnie dnia około 14.45. Rozmawiał z nim przez dwadzieścia minut między innymi o paszporcie i wyjeździe do Włoch. Zapytany, jak może udowodnić, że było to 15 kwietnia, odpowiedział, że spotkanie dobrze pamięta, gdyż tego dnia szedł na bankiet wydany na cześć wydawcy, którego gazeta popierała Włochy w czasie wojny. Właśnie wychodził na bankiet, gdy w konsulacie zjawili się Sacco. Świadek obrony - pani Alphonsine Brini zeznała, że 15 kwietnia widziała Vanzettiego ze sprzedawcą ryb - Josephem Rosenem, między godziną 11.30 a 12. Vanzetti miał jej pokazywać płótna na sprzedaż. Ona również dobrze pamiętała, że miało to miejsce 15 kwietnia, gdyż było to w pierwszym tygodniu po jej wyjściu ze szpitala. Sprzeczne zeznania dróżnika

Oskarżenie bazowało między innymi na zeznaniach świadków, którzy twierdzili, że widzieli oskarżonych w czasie napadu na kasjera wiozącego pieniądze dla robotników z fabryki Slater i Morill. Przedstawiono ławie przysięgłych dowody, że zaraz po napadzie sprawcy uciekali samochodem, mijając przejazd kolejowy oraz kilka miasteczek znajdujących się w sąsiedztwie miejsca zdarzenia.

Obu oskarżonych widziało wiele osób, które później zidentyfikowały ich podczas procesu. Świadkowie twierdzili, że 15 kwietnia widzieli Włochów w samochodzie przed popełnieniem morderstwa, inni mówili że widzieli ich podczas ucieczki. Jednym ze świadków był dróżnik z South Braintree - Michael Levangie.

Na początku mówił, że nikogo nie widział. Był za bardzo przerażony, aby cokolwiek zobaczyć:

- Zobaczyłem tylko wylot lufy broni bandytów i pospieszyłem do budki dróżniczej, do której oni zaczęli strzelać.

W sądzie jednak Levangie opowiedział inną historię. Prowadzony pytaniami przez oskarżyciela Harolda P. Williamsa mówił, że widział człowieka w samochodzie. Miał on ciemną karnację, wystające kości policzkowe, czarne włosy i krzaczaste wąsy, nosił kapelusz i żołnierski płaszcz.

- Widział pan tego mężczyznę? - zapytał Williams świada.

- Tak - odpowiedział M. Levangie. - Tego z wąsami - dodał i wskazał na Vanzettiego.

Obrona szybko zdołała obalić zeznania Levangiego. Zbyt wielu innych świadków twierdziło, że kierowcą pojazdu był blondyn. Jednak prokurator Katzman obstawał przy zeznaniach Levangiego. W swojej końcowej mowie do ławy przysięgłych postawił retoryczne pytanie: - Czy zeznania dróżnika Levangiego powinny być odrzucone tylko dlatego, że nie zgadzają się z zeznaniami pozostałych?

Jeden ze świadków twierdził, że widział, gdy Sacco strzelał do Berardelliego. Oskarżenie twierdziło, że huska od kuli, która zabiła ochroniarza, mogła pochodzić z rewolweru znalezionego później u oskarżonego. Jednakże powołany ekspert nie był w stanie stwierdzić, z jakiego

rewolweru wystrzelono pocisk, mimo że ślady na nim zgadzały się z tymi na pistolecie Sacco. Na miejscu zdarzenia znaleziono kapelusz, który mógł należeć do Sacco. Podczas procesu zapytano go, czy to jego kapelusz. - Wygląda jak mój - odpowiedział.

- Czy w domu miał pan kapelusz taki jak ten, gdy pana aresztowano?

- Tak, sądzę, że to mój kapelusz.

Następnie poproszono oskarżonego, aby założył kapelusz.

- Nie wiem - odpowiedział. - Jak na mój kapelusz, jest za brudny. Nigdy nie noszę brudnych kapeluszy. Chyba zawsze mam przy sobie pięćdziesiąt centów na nowy, ale ten jest za brudny, i poza tym mój kapelusz jest bardziej szary.

Gdy ponownie zapytano Sacco, czy to jego kapelusz, odpowiedział:

- Chyba tak, ale jest brudny.

Dlaczego skłamał?

Podczas przesłuchania w policyjnym komisariacie Sacco i Vanzetti zaprzeczyli, że znali seniora Bode, właściciela samochodu i że byli w warsztacie u Johnsonów. Vanzetti podczas procesu zmieniał wyjaśnienia ze śledztwa. Twierdził, że był u Johnsonów. Zapytany, dlaczego korzystał z samochodu Bode, odpowiedział, że chciał nim przewieźć literaturę anarchistyczną w bezpieczniejsze miejsce niż jego dom. Wtedy oto właśnie pierwszy raz poznano poglądy polityczne Vanzettiego.

Vanzetti wyjaśniał, dlaczego skłamał policji, gdy go aresztowano.

- Ponieważ groziłoby mi deportacja - tłumaczył.

Sacco i Vanzetti skłamał, gdyż zostaliby deportowani, gdyby wyszło na jaw, że w 1917 r. uciekli do Meksyku, aby uniknąć służby wojskowej. Natomiast jeśli chodzi o rewolwer, Vanzetti powiedział, że nie chciał mieścić w sprawie swych przyjaciół, od których kupił broń cztery lata wcześniej w Bostonie.

- To był niebezpieczny czas w Ameryce - wyjaśniał ławie przysięgłych.

Twierdził, że posiadał broń w celach samoobrony, ponieważ często pobierał znaczne kwoty pieniędzy na zakup ryb.

Sacco również nie mówił prawdy policji, gdyż, jak wyjaśnił przed sądem, nie chciał wydać swych przyjaciół socjalistów - anarchistów.

- Oni mieli literaturę socjalistyczną w domu - tłumaczył.

Sześciolatnie oczekiwanie

14 lipca 1921 r. skazano obu oskarżonych na karę śmierci. Przez sześć lat zdołano odroczyć najgorszy dla nich moment - wykonania wyroku śmierci poprzez składanie wniosków o wznowienie postępowania. W międzyczasie Portugalczyk Celestino Modeiros przyznał, że był zamieszany w napady na kasjerów. Wyznał również, że Sacco i Vanzetti nie mieli z nimi nic wspólnego. Jednak sędzia Thayer nie uznał winy Portugalczyka i 15 kwietnia 1927 r. zatwierdził wyrok śmierci na Sacco i Vanzettim.

Opinia publiczna zmusiła gubernatora Massachusetts, by powołał niezależną komisję w celu ponownego zbadania sprawy. Jej członkowie uznali jednak Sacco i Vanzettiego winnymi popełnienia morderstwa w South Braintree.

Skazanych przygotowano do egzekucji 10 sierpnia. Obcięto im włosy, aby w ten sposób ułatwić przepływ prądu. Nieoczekiwanie nadeszła wiadomość, że egzekucję odroczono o dwanaście dni, ale i ta isierka nadziei zgasała bardzo szybko.

Wyrok jednak wykonano 23 sierpnia. Zaraz po tym ciała złożono w trumnach. Ostatnie wyrazy szacunku oddano Włochom podczas pogrzebu, na którym zgromadziły się tysiące ich zwolenników. Wszyscy chcieli w ten sposób zmanifestować swój protest przeciwko skazaniu na śmierć dwóch najprawdopodobniej niewinnych ludzi i podkreślić wstrząsającą pomyłkę amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości.

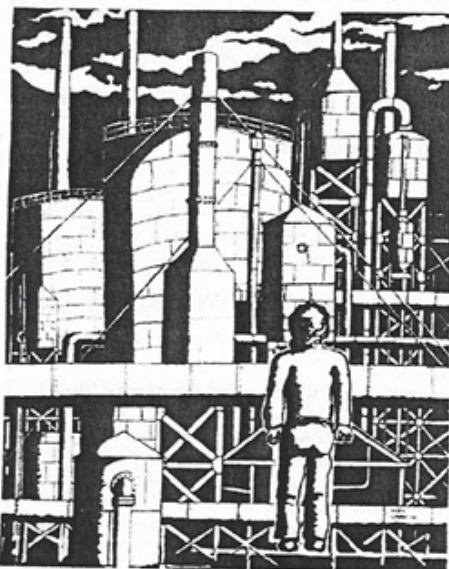


któremu brakowało tylko siły żeby ją przeforsować. To Carter proponował rozbudowę sektora zbrojeniowego, która przeprowadził Reagan, różnica polegała tylko na tym, że Reagan doprowadził do jej gwałtownej eskalacji już na początku i ustabilizowania na końcu. Administracja Cartera też proponowała atak na wydatki socjalne i zaprzestanie wspierania biedniejszej części społeczeństwa, potem administracja Reagana przeprowadziła to za obustronną zgodą. To co ta polityka osiągnęła to, że państwo w jeszcze większym stopniu niż uprzednio stało się państwem dobrobytu dla bogatych; o znacznie większym stopniu interwencjonizmu, który polega na pompowaniu środków publicznych w przemysł zaawansowanych technologii i odbieraniu środków biednym w połączeniu z atakiem na prawa pracownicze i obywatelskie. Jest to obiektywnie rzecz biorąc rozsądna polityka z punktu widzenia potężnych i bogatych w skomplikowanym świecie stosunków międzynarodowych. Doprowadziło to do interaktywnej kapitalizmu tak by mógł korzystać z taniej siły roboczej za granicą i zintensyfikowała walkę klasową, którą biznes zawsze prowadził przeciw pracownikom i osobom społecznie upośledzonym. Program administracji Busha praktycznie nie istnieje jeżeli chodzi o edukację, energię czy ekologię. Jest oczywiście retoryka o „prezydencie edukacji” i trochę hasła, ale polityka pozostaje ta sama ponieważ nikt nie jest w stanie odpowiedzieć na pytanie jak utrzymać przemysł zaawansowanych technologii bez subsydiów państwowych albo bez Pentagonu, który gwarantuje rynek na jego niezbędne towary. Ponieważ nikt nie przedstawia alternatywy ten system bez wątpienia będzie trwał. To samo odnosi się do polityki fiskalnej, która pociąga Stany Zjednoczone na drogę krajów Trzeciego Świata jeżeli chodzi o infrastrukturę, usługi, haniebnym poziomem zdrowia i wskaźniki śmiertelności - podwójne społeczeństwo z ogromnymi przywilejami i bogactwem pośród biedy i cierpienia. To jeszcze nie jest Brazylia, ponieważ to bogatsze społeczeństwo - ale to jest społeczeństwo tego samego typu, stworzone za obopólną zgodą. Te zagadnienia są nieobecne w czasie wyborów prezydenckich podobnie jak nie istnieją dla prezydentów. Lata prezydentury Reagana to były faktycznie lata w ogóle bez prezydenta. On ledwo zdawał sobie sprawę z tego co się dzieje. Bush to wykonawca, ale w bardzo wąskim sensie tego słowa. Jest oczywiście sporo wykreowanych obrazów - Reagan jako wielki mówca komunikujący się z narodem, Bush jako mąż stanu manipulujący polityką międzynarodową. To oczywiście bzdura. Jedyną rzeczą jaką on potrafił jest to jak bić ludzi, którzy nie są w stanie mu oddać.

DF: Czy znalazł Pan jakieś podstawy do optymizmu obserwując zwykłych ludzi w czasie Pana podróży po rzezi w Zatoce Perskiej?

NC: Od pewnego czasu postanowiłem zmienić utarte schematy i zobaczyć co dzieje się w najmniej zorganizowanych i najbardziej reakcyjnych okręgach gdzie tylko mogłem uzyskać zaproszenie. W czasie wojny w zatoce miałem spotkania w Georgii, Apalachach i w Północnej Kalifornii - w miejscach gdzie ludzie w czasie wojny nosili wojskowe gadzety. Wszędzie tam ludzie wykazywali zainteresowanie i odkrywali się. Myślę, że dominującą dziś postawą jest cynizm i ludzie nie wierzą w nic. To może przybrać formę historycznego *jingoisimu*, ale to jest zupełnie powierzchowne. Inną formę jaką to może przybrać jest odrodzenie religijności, które przybiera rozmaite niespotykane nigdzie na świecie formy. Może to także przybrać formę zanurzenia się w czymkolwiek innym np. w rozgrywkach futbolu. Noam Chomsky dla *New Statesman*, Lipiec 1994

Istnieje popularna teoria dotycząca ery w którą wkraczamy



i obietnicy, która ma być spełniona. W skrócie wygląda to tak, że nasi chłopcy wygrali zimnowojenną strzelaninę i mocno siedzą w siodle. Być może jest trochę trudnych miejsc do przebycia, ale nie ma niczego z czym by sobie nie poradzili. Jadą konno w stronę zachodu słońca, torując drogę świetlanej przyszłości opartej na idealach, którym zawsze holdowali tylko nie zawsze mogli zabezpieczyć ich spełnienie - demokracji, wolnym rynku i prawach człowieka. Rzeczywistość jednak jest inna. Władza jest coraz bardziej skoncentrowana w niezliczonych instytucjach, a bogaci i potężni mają nie więcej niż przedtem zamiar podporządkować się wolnemu rynkowi i oczekiwaniom społecznym. Zaczniemy od praw człowieka ponieważ to jest najłatwiejsze. Są one aktualnie skodyfikowane w Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka, zaakceptowanej jednomyślnie przez zgromadzenie Ogólne ONZ w grudniu 1948 r. W USA było wiele wspaniałej retoryki o tym jak to trwamy przy Powszechnej Deklaracji i jak bronimy zasady uniwersalności przed zacofanymi mieszkańcami Trzeciego Świata, którzy reprezentują kulturowy relatywizm. Jednakże retoryka rzadko ma pokrycie w tym co rzeczywiście mówi Powszechna Deklaracja. Np. artykuł 25 stwierdza że: „Każdy ma prawo do standardu życia potrzebnego dla zdrowia i dobrobytu jego oraz jego rodziny.” zawiera się w tym: „żywność, ubranie, mieszkanie, opieka medyczna, pomoc społeczna a także zabezpieczenie na wypadek bezrobocia, choroby, kalectwa, wdowieństwa, starości i innych przypadków braku środków do życia.” Jak są przestrzegane te zasady w najbogatszym kraju świata, który ma największe możliwości i żadnych usprawiedliwień dla ich niespełnienia? W Stanach Zjednoczonych istnieją obszary nędzy największe w całym uprzemysłowanym świecie. Dziesiątki milionów ludzi są głodne każdego wieczoru, w tym miliony dzieci, wśród których występuje taki sam poziom niedożywienia i liczba chorób jak w Trzecim Świecie. W Nowym Jorku, jednym z najbogatszych miast świata, 40% dzieci żyje poniżej progu ubóstwa, pozbawiona minimum środków, które dawałyby szansę ucieczki ze świata nędzy, biedy i przemocy. To tylko jedna strona światowej katastrofy. UNESCO szacuje, że około 500,000 dzieci umiera każdego roku w wyniku spłat zadłużenia. Oznacza to, że komercyjne banki udzieliły złych kredytów swym ulubionym dyktatorom, a teraz te kredyty spłacają biedacy, którzy oczywiście nie mieli z tym nic do czynienia. Jednocześnie Światowa Organizacja Zdrowia ocenia, że około 11 milionów dzieci umiera każdego roku w wyniku łatwo uleczalnych chorób. WHO określa to jako „ciche ludobójstwo”. Mogłoby ono zostać powstrzymane za groszowe sumy. UNESCO ocenia też, że ludzkie koszty tak zwanej „reformy ekonomicznej” w Rosji to około 500,000 zgonów każdego roku począwszy od 1989 roku. Podobne cyfry odnoszą się do innych krajów Środkowej Europy. Powróćmy jednak do artykułu 23 Powszechnej Deklaracji.

Stanowi on że: „Każdy ma prawo do pracy, do sprawiedliwych i godziwych warunków pracy, do ochrony przed bezrobociem, do zapłaty zapewniającej jemu i jego rodzinie egzystencje odpowiadającą ludzkiej godności, a jeżeli jest to konieczne do innej formy pomocy społecznej.” i dalej: „Każdy ma prawo do tworzenia i wstępowania do związków zawodowych dla ochrony swych interesów”. Zaczniemy od punktu ostatniego, technicznie w USA każdy może wstąpić do związku zawodowego. Jednak realia są zupełnie inne. W 1992 roku Międzynarodowa Organizacja Pracy, która rzadko zdobywa się na krytykę swych sponsorów wezwwała Stany Zjednoczone do stosowania się do międzynarodowych standardów w dziedzinie „stałe zastępujących pracowników”. Te standardy były łamane tylko w USA i w RPA spośród państw uprzemysłowionych. „Stale zastępujący pracownicy” inaczej zwani lamistrajkami to ci, którzy zastępują zwolnionych z pracy związkowców ażeby łamać strajk: Międzynarodowa Organizacja Pracy potępia tę praktykę, ale jest ona tolerowana w Stanach Zjednoczonych. W ubiegłym tygodniu był w *Business Week* pojawił się artykuł opisujący niektóre konsekwencje antypracowniczego stanowiska rządu amerykańskiego. Przyznano w nim, że nielegalne zwolnienia za organizowanie Związków Zawodowych wrosły sześciokrotnie w ciągu ubiegłych 25 lat. W szczególności tysiące związkowców zostało zwolnionych od czasu objęcia prezydentury przez Ronalda Reagana w 1981r. Według amerykańskiego Departamentu Pracy, zniszczenie związków zawodowych było główną przyczyną stałego spadku realnych zarobków od czasu nastania ery Reagana. Warunki zdrowia i bezpieczeństwa w miejscu pracy też się pogorszyły: istnieją przepisy, ale po prostu nie są egzekwowane, w efekcie liczba wypadków przy pracy gwałtownie wzrosła w ostatnich dziesięciu latach. Upadek związków zawodowych ma też swój wpływ na upadek demokracji. Związki Zawodowe to jeden z niewielu sposobów dzięki którym zwykły człowiek może wejść do życia politycznego. Ma to także swój efekt psychologiczny. Zniszczenie Związków Zawodowych jest częścią bardziej generalnego działania na rzecz zprywatyzowania aspiracji, wyeliminowania solidarności, unicestwienia poczucia, że uczestniczymy w czymś razem, że troszczymy się jeden o drugiego. Powróćmy do artykułu 23: „Każdy ma prawo do pracy.” MOP właśnie opublikował dane według których poziom światowego bezrobocia w styczniu 1994 wynosił 30%. To oznacza, że mamy do czynienia z kryzysem gorszym niż w latach 30-tych. Wszędzie są wolne ręce do pracy i wszędzie jest mnóstwo rzeczy do zrobienia, ale system gospodarczy jest po prostu niezdolny do tego by te dwa elementy zostały skojarzone. Stany Zjednoczone rzeczywiście wyszły z recesji, ale jest zamienne, że ten proces jest wyjątkowo niemrawy ze wzrostem zatrudnienia stanowiącym mniej niż jedną trzecią tego z czym mieliśmy do czynienia w poprzednich okresach koniunktury. Co więcej spośród nowo utworzonych miejsc pracy ogromny procent to miejsca tymczasowe, ponad 1 w 1992 to miejsca tymczasowe i większość należy do nieprodukcyjnego sektora gospodarki. Place w USA mierzone jako stosunek kosztów pracy do wartości wyprodukowanej są obecnie najniższe w całym uprzemysłowanym świecie z wyjątkiem Wielkiej Brytanii. W 1985 roku były one najwyższe na świecie (co jest zrozumiałe w przypadku najbogatszego państwa świata) obecnie są 60% niższe niż w Niemczech i 20% niż we Włoszech. *The Wall Street Journal* określił to jako „a welcome development of transcendent importance” (długoczekiwany zwrot o ponad czasowym znaczeniu). Jest w modzie twierdzić, że wszystko to jest wynikiem automatyzacji i handlu odzwierciedlonych w „prawach rynku”, które traktuje się jak prawa naturalne. Tak naprawdę to państwo odegrało decydującą rolę zarówno w handlu jak i automatyzacji. Handel jest subsydiowany na ogromną skalę przede wszystkim przez manipulację kosztami energii w transporcie: realna ocena kosztów handlu powinna dla przykładu uwzględnić koszty obecności Stanów Zjednoczonych na Bliskim Wschodzie, której głównym celem jest utrzymanie cen ropy na określonym poziomie. Nie za niskim bo konkretny naftowy muszą mieć swoje zyski, nie za wysokim bo handel ma być „efektywny”. Analogicznie, przez dziesiątki lat automatyzacja była rozwijana w sektorze państwowym (to znaczy w przypadku USA w sektorze zbrojeniowym). Dla przykładu w roku 1950 kiedy komputery nie były jeszcze w stanie zaistnieć na rynku były one w 100% dotowane przez



podatników. System wolnej przedsiębiorczości oznacza, że podatnicy ponoszą koszty, a jeżeli coś zaczyna przynosić zyski to przejmują to korporacje. To nie znaczy, że państwo może kontrolować siły rynkowe. W zeszłym miesiącu zmarł Richard Nixon i dlatego warto przypomnieć jak zniszczył w początku lat 70-tych układ z Bretton Woods, który regulował międzynarodowy rynek walutowy, a w którym rolę światowego bankiera pełniły Stany Zjednoczone. Jednym z efektów tej deregulacji walutowej był ogromny wzrost kapitału i rynków



finansowych. I rozmiary transferów kapitałowych rosną z każdym dniem. Dziś to prawdopodobnie trylion dolarów dziennie - kolejne osłabienie rządów. Dokonała się także radykalna zmiana w samej naturze transakcji walutowych. Według Johna Eatwell'a ekonomisty z Cambridge, zanim Nixon nie rozmontował systemu, około 90% międzynarodowych transakcji walutowych to były długoterminowe inwestycje lub transakcje handlowe, a tylko 10% stanowiły spekulacje. Teraz kiedy całość ma o wiele większe rozmiary te proporcje zostały odwrócone: 90% stanowią spekulacje a tylko 10% inwestycje i handel. I to właśnie wydaje się być zasadniczą przyczyną spadku stopy wzrostu począwszy od wczesnych lat 70-tych. Studium opublikowane badając tydzień temu w *The Wall Street Journal* szacuje, że ponad połowa tego spadku ma za przyczynę kapitał spekulacyjny. Posiadacze bonów skarbowych chcą by waluta była stabilna: nie chcą wzrostu bo to mogłoby prowadzić do inflacji. Wzrost kapitału spekulacyjnego oznacza, że jest obecnie bardzo trudne dla państwa narodowego - nawet Stanów Zjednoczonych, najbogatszej gospodarki świata - prowadzenie jakiegokolwiek planowania gospodarczego. (Dla krajów Trzeciego Świata - pozycja jest beznadziejna) Nowe układy GATT uniemożliwiają planowanie jeszcze bardziej poprzez rozszerzenie tak zwanej liberalizacji na to co oni nazywają usługami - inaczej mówiąc wielkie banki japońskie, brytyjskie i amerykańskie zastępują banki rodzime w mniejszych krajach. Podczas gdy kapitał jest obecnie wysoce mobilny, praca jest coraz bardziej niemobilna - a to ma natychmiastowe konsekwencje. Oznacza to, że jest bardzo łatwe przeniesienie produkcji do tych obszarów świata gdzie repressyjny system utrzymuje niskie płace i gdzie są niskie standardy ekologiczne. To oznacza także łatwość w rozgrywaniu niemobilnych sił pracowniczych w jednym kraju przeciw innym tak jak to miało miejsce w czasie debaty na temat układu NAFTA w USA. Kiedy media dla przykładu koncentrowały się nad tym, że NAFTA spowoduje ucieczkę miejsc pracy z USA do Meksyku. Z drugiej strony wiadomo, że efektem NAFTA jest obniżenie płac dla pracowników niewykwalifikowanych w USA (pod tym technicznym terminem kryje się od 70% do 75% siły roboczej). Układ będzie miał podobne konsekwencje dla Kanady, ale spowoduje spadek płac także w Meksyku choć z innych powodów. Zbyle obciąż płace nie trzeba przenosić produkcji, wystarczy zagrozić, że się ją przeniesie. Sama groźba wystarczy żeby obcią płace i zwiększyć zatrudnienie tymczasowe. Odejście od gospodarki narodowej do światowej będzie także oznaczało osłabienie demokracji. Mechanizmy są proste. Władza przechodzi w ręce ponadnarodowych korporacji a wymyka się spod kontroli parlamentów. W tym czasie tworzy się struktura, która porządkuje działania tych korporacji. Kilka lat temu *Financial Times* określił ją jako: „faktyczny rząd światowy” zaliczając doń: Bank Światowy, Międzynarodowy Fundusz Walutowy, GATT, The World Trade Organization,

egzekutywę grupy G7 i tym podobne. To bardzo wygodne, że przejmują on kompetencje parlamentów, które są określane jako niebezpieczne ponieważ mogą dostać się przynajmniej częściowo pod wpływ ludu. *The Economist* stwierdził ostatnio jak ważne jest trzymać politykę „z dala od polityków”. Jeżeli polityka jest trzymana z dala od polityków wtedy można utrzymywać demokratyczne formy będąc pewnym, że nikomu nie zaszkodzą. Wtedy niczym nie niepokojeni technokraci będą mogli pracować nad zdrowiem gospodarki w technicznym sensie tego słowa a to oznacza wolny wzrost i niskie płace - ale wysokie zyski dla małej części ludzi na świecie, która już dziś korzysta z ogromnego bogactwa i przywilejów.

Czy tylko GLOBALIZACJA!?

By pojąć w czym rzecz, trzeba wiedzieć o czym się mówi. Kiedy słyszy się o globalizacji, każdy interpretuje owo słówko po swojemu - dla zwolenników tego procesu idzie rzekomo tylko o to, że internet, współpraca gospodarcza etc. przekraczają granicę i przyjmują skalę globalną, przeciwnicy globalizacji mówią zaś, że nie idzie o zamykanie się na współpracę, lecz o to jakie jej formy próbuje się nam narzucić - formy, które nie są już współpracą a wyzyskiem.

Współczesna władza opiera się nie na monopolu ideologicznym czy samej polityce, jak dawniej, lecz na gospodarce, która w pogoni za zyskiem usiłuje się uwolnić od wszelkich zobowiązań publicznych, nie tylko moralnych (władza też unikała etyki), ale i politycznych. Najprostszym sposobem na to jest rozszerzenie biznesu na taką skalę, której nie jest już w stanie kontrolować żaden rząd, nie mówiąc już o wspólnotach lokalnych. Dodatkowo zaś przerzucanie produkcji do krajów słabo rozwiniętych sprzyja obniżce kosztów (niższe płace, łatwiejsze łamanie praw pracowniczych, brak kontroli produkcji w kwestii bezpieczeństwa pracy czy zanieczyszczenie środowiska, ulgi podatkowe, zwłaszcza gdy uda się wzmocnić, że obecne inwestycje to zysk dla tamtejszej gospodarki i trzeba je nimi pozyskiwać). Nikt nie mówi o faktycznym wzroście kosztów, spowodowanym chociażby zwiększeniem odległości producenta od konsumenta i - co za tym idzie - zwiększeniem kosztów transportu, budowy dróg, wojny o ropę itp.

Skutki takiej polityki są zabójcze zarówno dla krajów rozwijających się, gdzie gospodarka przestaje służyć zaspokojeniu miejscowych potrzeb, nastawiając się na obsługę ponadnarodowych koncernów(*), jak i dla krajów rozwiniętych, gdzie ludzie tracą pracę (lub -by jej nie stracić- muszą się godzić na gorsze warunki pracy i płacy), bo produkcję przerzucono gdzieś indziej dla obniżki kosztów firmy, ale przy wzroście kosztów realnych, zarówno materialnych (transport, zniszczenie przyrody itp.), jak i przede wszystkim społecznych. Jest to przy tym zabawa na krótką metę, gdyż zarówno ostra konkurencja, jak i przede wszystkim podcinanie chłonności rynku (jak ludzie nie zarabiają, to i nie kupią zbyt wiele) sprawia, że coraz więcej firm upada, nie wyłączając przy tym wielkich koncernów, pożeranych lub tylko niszczonej przez jeszcze większe.

Tu nie idzie bowiem o wzrost produkcji, a zwłaszcza o zaspokojenie potrzeb (większość tego, co się produkuje, to śmieci, które próbuje się nam potem narzucić nachalną reklamą jako spełnienie naszych pragnień i warunek szczęścia), ale o udział w zysku i wygrywa ten, kto zdobędzie większą pulę nawet kosztem rozbicia gospodarki (stąd permanentnie powtarzające się kryzysy ekonomiczne w kapitalizmie).

Walka o kasę prowadzi do tak absurdalnych sytuacji, jak bezrobocie (brak pracy) i ubóstwo (brak owoców pracy) - choć nie brak ani surowców czy energii, ani chętnych do wykonania danej roboty - przy istnieniu zapotrzebowania na efekty tejże pracy. Na Zachodzie istnieje już pierwsze próby ominięcia tego paradoksu poprzez wymianę bez użycia oficjalnych pieniędzy (przy pomocy zetonów, własnej kasy czy bilansowania wzajemnych usług i zobowiązań na papierze), zaś o lipności kasy świadczą gwałtowne inflacje w czasie wielkich kryzysów, zwłaszcza w okresach powojennych, gdy ludzie traciли zaufanie do rządu i jego oficjalnej waluty.

Tłumaczenie, że „nie ma kasy” na to czy owo jest więc fałszywe, prawdziwym powodem jest to, że przy pomocy nieczystych regul gry rynkowej ktoś zawłaszczyl pewne dobra czy dostęp do nich, próbując poprzez

zmonopolizowanie rynku narzucić nam swą władzę (i w tym momencie nie jest to już sprawa potrzeb i ich zaspokojenia, a użycia gospodarki do rządzenia innymi ludźmi). Jest to możliwe dlatego, że ludzie kupili pewien określony sposób widzenia świata, gdzie o wartości własnej czy drugiego człowieka świadczy to, ile może kupić, i gdzie robi się to tylko dla siebie (a przeciwko innym**). W tej sytuacji dzielenie i rządzenie ludźmi jest równie proste, jak zmuszenie ich, by dali się zaprząć do kieratu w wysięgu szczurów o dostęp do koryta. Czy można to zmienić?

Część przeciwników globalizacji (tak fanów socjalizmu, jak i nacjonalistów) sądzi, iż wystarczy wykonać jeden krok wstecz, do czasów gdy najwzajemniejsze było państwo, wydać specjalne prawa przeciw wielkim korporacjom, opodatkować je, powstrzymać clami etc. Jest to pogląd naiwny, bowiem politycy są wybierani za pieniądze owych korporacji i zależą od swoich sponsorów a nie naiwnych wyborców. Można jednak spróbować to ominąć i narzucić swoją wolę siłą, oznaczaloby to jednak powrót do dyktatury i nie wiem, czy byłoby to opłacalne (a do tego część dyktatur występuje się i tak wielkim korporacjom, dławiąc opór społeczny przeciw ich działalności).

Można jednak spróbować inaczej, np. zmieniając hierarchię wartości, by obok ilości (kasy) i jakości (zaspokojenia potrzeb / życia) docenić solidarność klienta - kupca - producenta w gospodarowaniu ze względu na społeczne skutki takiego postępowania (co nam bowiem po „kwitującej gospodarce”, skoro jednocześnie wielu ludzi nie ma pracy i zapewnionej choćby minimum egzystencji, a ci co mają pracę - nie dość, że są skazani na wyzysk, to jeszcze zamiast rozwijać swoją osobowość, życie rodzinne czy wspólnotę marnują całe dni w pogoni za kasą?!).

Do tego trzeba by jednak szerszego spojrzenia - w kategoriach „my”, a nie tylko „ja” (i to przeciw całej reszcie***) - albo takiego ustawienia systemu, by solidarność ludziom się opłacała (ale tego nigdy nie zrobi żaden rząd, to możemy zrobić tylko my sami, oddolnie, ustanawiając samorząd w gospodarce i życiu społecznym****). Poza systemem kapitalistycznym, czyli władzą pieniądza i żądzy zysku, możemy bowiem urządzić to wszystko inaczej, skoro rozwój gospodarczy pozwała posłać człowieka w kosmos, powinien też pozwolić na to, by każdy miał własne mieszkanie i dość „chleba naszego powszedniego”, a jeśli się tak nie dzieje, to jest to wina nie „braku kasy”, ale niesprawiedliwości systemu, który trzeba odrzucić i poza który trzeba wyjść.

J@ny

(*) Tworzy się np. plantacje produkujące tylko jeden surowiec, jak kakao czy fistaszki, rujnując resztę rolnictwa, wyjąłając głąb monokulturą upraw, a często przy tym odbierając ziemię miejscowym rolnikom na rzecz wielkich posiadaczy czy zachodnich koncernów, gdy zaś minie moda na te czy inne orzeszki lub pustynia pochłonie pola - przerzucą się produkcję do innego kraju, nie dbając o ofiary głodu spowodowanego taką polityką, bo to nie jest wpisane w bilans zysków i strat danej firmy - to nie jej problem, choć jest to owoc jej działań.

Inną formą negatywnego oddziaływania na miejscowy rynek jest zalewanie go własnymi produktami (masowa skala produkcji, rządowe dopłaty do niej, tymczasowe zaniżanie cen -na co nie stać małych firm lokalnych- czy wykupywanie i zamykanie miejscowych zakładów bardzo przy tym ułatwiają „konkurencję” o klienta), co pozbawia dany kraj zarówno miejsc pracy czy udziału w zyskach (nawet podatki są płacone gdzie indziej), jak i samodzielności gospodarczej.

(**) Dawniej bywało tak, że konsumpcja odbywała się na pokaz, a często nawet swe bogactwo demonstrowano poprzez fundowanie dla swej społeczności pewnych imprez, instytucji itp. (co w antycznej Grecji nazywano „liturgią”). Dziś nawet powołani do dbania o wspólne dobro urzędnicy publiczni (a co dopiero mówić o prywatnych przedsiębiorcach i spekulantach giełdowych) myślą głównie o tym, jak dorobić się naszym kosztem.

(***) To niezwykle, jak człowiek potrafi codziennie minąć na ulicy tysiące innych, udając, że nie ma z nimi nic wspólnego, nie walcząc i nie współpracując (a przecież całe nasze życie od nich zależy - z wzajemnością zresztą).

(****) Ponieważ nie da się żyć bez innych, osobście zaś nie jesteśmy w stanie sami z nimi wszystkimi się dogadać, jesteśmy skazani na pośredników. I tu kwestia zasadnicza jest, czy owym pośrednikami między nami będzie odgórny rząd i prywatni przedsiębiorcy (ONI zaś dbają tylko o swoje interesy), czy też oddolna rzeczpospolita i samorządne wspólnoty, a więc MY sami?!

Edukacja czy indoktrynacja ?

Na początek chciałbym poruszyć temat, który bezpośrednio dotyczy właśnie Was Mianowicie szkoła. Jako iż wychodzimy głównie do młodzieży szkolnej właściwym będzie poruszenie tego tematu, który nas dotyczy.

Czym jest szkoła? Szkoła jako taka, jako system nauczania, jest kolejną metodą indoktrynacji systemowej państwo, władza dbają o to, by idee przez nie krzewione nie uchodziły niczym para w gwizdek, a by stawały się wykładnią postępowania społeczeństwa. By móc utrzymać istniejący porządek trzeba wypracować metody kontroli jednostek by te jako takie nie były w stanie same zdecydować o sobie, a tym samym by były skazane na bezwolne tkwienie w ustanowionym systemie. Tych metod kontroli jest wiele, dla przykładu wymienię tu tylko społeczeństwo jako całość stanowiące swoisty bastion kreowanej ideologii, stosunki prawne preferowane przez dany system, instytucje kontroli bezpośredniej, jak policja czy wojsko, wpajany konsumpcyjny model społeczny z wciąż rosnącym popytem na dobra luksusowe, cywilizacja naukowo - techniczna uzależniająca jednostkę od oferowanych dóbr, sieć mediów służących jako zapychacz wolnego czasu, by jednostka nie mogła poświęcić go na czynne uczestnictwo w życiu społecznym, oraz wynikający z tego przymus pracy do której człowiek zmuszany jest w nadmiarze, co także powoduje, że nie ma on czasu na inną działalność, a przez to staje się biernym akceptatorem istniejącego systemu, który nieraz daje mu w kość, jednak nie jest on w stanie sobie z nim poradzić, kolejną metodą kontroli są podatki, inna systemy religijne, często współpracujące z władzą w celu obopólnych korzyści i w końcu szkoła, jako jeden z pierwszych i podstawowych sposobów indoktrynacji systemowej (opisem poszczególnych wymienionych tu metod zajmę się innym razem, dziś zostawmy szkołę).

II. Dziecko trafiający do szkoły od razu wpada w magiel ogłupiających działań mających na celu uzależnienie go od systemu. Rozpoczyna się trwający wiele lat proces, który z chwilą zakończenia daje produkt w postaci beznysnej istoty, na tyle odmłodzonej, by dalsze nią sterowanie było już tylko formalnością. Wiedza, którą tak hojnie zostajemy obdarowani właściwie niczego nam nie daje, czytać, pisać i liczyć w tym zakresie jak jest potrzebny w normalnym życiu dziecko nauczyłoby się w ciągu dwu - trzech lat. Reszta wiedzy jest skrajnie bezużyteczna. Preferowany pamięciowy system opanowania materiału hamuje rozwój dziecka, powodując jego ujednolicenie. Początkowy zapal poznawania świata i zgłębiania jego tajemnic wyjąławiany jest bardzo skutecznie przez uczenie się na pamięć, odpytywanie na zasadzie od tej linijki do tej linijki, stawianie ocen, gorównanie nauczyciela nad uczniem i rodząca się wzajemna wrogość. Kolejnym czynnikiem hamującym rozwój jest sama atmosfera stwarzana przez szkołę jako miejsce, rodzi się zawsze budowana przez system ocen, tworzy się współzawodnictwo, które wypacza umysł dziecka. Nauka zaś powinna być nastawiona na dawanie, na rozwijanie osobowości i indywidualizm dziecka, na kreowanie jego osobowości nie przez system nauczania wspólny dla wszystkich, ale system preferujący indywidualność, budowanie w oparciu o zainteresowania przejawiane przez dziecko. Jednak szkoła taka by ona nie była, nigdy nie będzie w stanie zapewnić dziecku indywidualnego rozwoju. Najlepszą metodą rozwoju byłoby wychowanie przez rodziców, to oni najlepiej wiedzą co dla dziecka jest dobre, obserwują je i sami widzą jakie przejawia zainteresowania i tym powinni się kierować. Powinni pełnić rolę drogowskazów, podpowiadaczy, a nie kategorycznych i bezwzględnych najlepiej wiedzających. Jednak taka postawa rodziców także nie jest możliwa bez odpowiednich zmian społecznych. Dopóki ojciec i matka będą zmuszeni do ciężkiej pracy zawodowej, zabierającej im nadto cennego czasu, nadto męczącej i uszczuplającej ich energię, dopóki musieliby być czynni gorączkowe rachunki i poszukiwania " niezbednego

" pieniądza, by móc godnie żyć dopóki te czynności będą pochłaniały ich prawie w całości dopóty ich powinności przejmowała będzie szkoła, a zadania tej wytyczał będzie aktualny system mający na celu wpojenie swoich idei tak gruntowne by jednostka nie stanowiła dla niego zagrożenia. Kończąc naukę trafiamy w ramy społeczeństwa, zaczynamy żyć jak dorośli, idziemy do

pracy, która zajmuje nas od rana do wieczora, wracając zmęczeni, rzucamy się na kanapę i zatapiamy zmęczony wzrok w "kojącym" obrazie telewizyjnym, zasypiamy. Nadchodzi kolejny dzień, po nim następny i następny, aż niezauważając tego wtapiamy się w to społeczeństwo i choć nieraz coś nas gnębi, denerwuje, złości, nie możemy tego zmienić bo po prostu nie umiemy, tak zostaliśmy ukształtowani. Rodzą się frustracje. W międzyczasie zawieramy związek małżeński. Mamy dzieci. Wyprowadzamy psa. Bijemy dzieci i posyłamy je do szkoły, one zaś przechodzą podobną do naszej indoktrynację, odmłodzenia i stają się takimi jak my grzecznymi członkami społeczeństwa.

III. Szkoła nie uczy ani samodzielności, wiecznie prowadzi nas za rękę, minimum programowe, czujne oko nauczyciela i dyrektora, ani życia w grupie przez wzajemną rywalizację o lepsze oceny tworzy egoizm, model postępowania wg zasady "kto silniejszy, czyli zdolniejszy, czy pilniejszy ten lepszy". Co w konsekwencji prowadzi do konfliktów między członkami uczniowskiej społeczności. Przeladowane programy oferują dwa rozwiązania: spędzanie całych dni nad książkami i zapychanie umysłu setkami zbędnych definicji i satysfakcja gdy zaliczymy materiał, tzw. luz i w efekcie ciągły strach przed kląpą w szkole. Na dziś jest chyba tylko jedno rozwiązanie - staraj się możliwie jak najmniej mieć wspólnego ze szkołą, i jej ramami, w które chcą cię wtłoczyć - ucz się sam - tego co cię naprawdę interesuje. Codzienne życie jest tak ogarte w zdarzenia, że jeżeli mamy otwarty umysł to żadna szkoła już nie jest potrzebna.

IV. Wiedza włączana przez szkołę jest bez użyteczna, sam się o tym przekonałem: w tym roku zdałem maturę - egzamin dojrzałości, moja wiedza świadczy o tym że jestem dojrzały (moja wstępna indoktrynacja się zakończyła) i coż o to mogę uczynić z tą moją wiedzą? Jak mogę ją wykorzystać? Otóż ni jak. Wchodząc w nowe dorosłe życie nie mam nic poza zbędną stertą nic nie znaczących wiadomości, które i tak z dnia na dzień zapominam, wiadomości które przyswajalem przez szereg lat, a które gdybym chciał mógłbym znaleźć w ciągu jednego popołudnia zachodząc do biblioteki. Gdybym aktualnie został odcięty od rodzinnego budżetu prawdopodobnie skończył bym na śmietniku, to nie jest żart, niech ktoś z was spróbuje teraz odciąć się od rodzinnych finansów, niech znajdzie pracę, założy rodzinę, wyżywi ją i jeszcze niech będzie szczęśliwy. Sądzę że nie wielu by się to udało, po prostu nie jesteśmy nauczeni samodzielności i będziemy się jej musieli uczyć sami, na rachunek rodziców. Że więc nauczyła nas szkoła jeżeli po jej zakończeniu nie jesteśmy sobie w stanie dać rady w życiu? Nie nauczyła nas nic, będąc tylko składnikiem systemowej indoktrynacji. Wszystkiego musimy się uczyć sami, a czas nie czeka życie ucieka. Nie mogąc sobie poradzić uciekamy od życia, idziemy do baru koić swoje smutki, stajemy się tylko marionetkami systemu, ludzkiej głupoty i zachłanności. A państwo jest zadowolone, władza się cieszy.

V. Szkoły produkują beznógkich, nieudolnych życiowo impotentów. Tylko tyle daje nam szkoła. Ostatnio próbowałem znaleźć dorywczą pracę, nie będę opisywał swoich perypetii, parę razy zrobiono mnie w konia, pracy nie znalazłem. Boję się pomyśleć co by było gdyby nie było moich rodziców? Z pewnością nie dałbym sobie rady, jestem tego pewien. Jednak zmiana systemu społecznego wymaga działań na wszystkich płaszczyznach, tylko tak można coś zmienić. Trzeba mówić i coś robić. W tym celu między innymi powstało to pismo.

Przedruk z "Walka Trwa"

Złoty środek

Długo zastanawiałem się w jaki sposób zabrać się do tego tematu. Jak go ugryźć i czy w ogóle go poruszać. Jednakże problem ten wydał mi się na tyle ważny iż w końcu postanowiłem się za niego zabrać i stąd poniższy tekst. Problem ten, o którym do tej pory mawiano się mało uważam, to problem alkoholu. Ow państwowy narkotyk jest sprawą dość popularną na naszym własnym podwórku i bardzo często w swych konsekwencjach prowadzi do ślepego zaułka. Tekst ten nie traktuje o tym że alkohol jest szkodliwy - bo to sprawa wiadoma. N



jest to również odezwa typu hardline czy coś w tym guście. Nie chodzi o to. Każdy człowiek jest wolny i ma prawo robić to co zechce - a więc również spożywać alkohol. Jednakże celem tych przemysłów jest druga strona medalu, strona szkodliwości alkoholu nie na nasze zdrowie (choć to jest także istotnym problemem) lecz zwrócenie uwagi na to iż ów państwowy narkotyk jest doskonałym środkiem ujarzmiającym niewygodne osobniki. Ale może po kolei.

Dlaczego narkotyk?

Wychodząc z encyklopedycznego pojęcia narkotyku, a więc związku chemicznego pochodzenia roślinnego lub syntetycznego, powodującego (zależnie od dawki) uspokojenie, euforię, zniesienie bólu, odurzenie czy sen - możemy ową definicję z powodzeniem zastosować także i w naszym przypadku. Ponadto częste używanie narkotyku prowadzi do nałogu - w tym przypadku noszącego odmienną nazwę - alkoholizm. Oczywiście prócz tych cech alkohol charakteryzuje się jeszcze wieloma innymi przymiotami. Bardzo charakterystyczne jest wyzwalanie się przemocy u osobników znajdujących się na tzw. gazie. Poza tym intensywne spożywanie prowadzi do niszczenia komórek nerwowych w korze mózgowej prowadzące do obniżenia sprawności umysłowej i zaburzeń psychicznych - krótko mówiąc alkohol ogłupia.

Dlaczego państwowy?

Myszę, że na te pytanie wielu z nas potrafiło by odpowiedzieć sobie samemu. Jak wiadomo państwo posiada monopol na produkcję i sprzedaż ognistej wody. Tak więc będąc monopolistą na rynku może zawiadywać cenami oraz kreować rynek. Legalny alkohol posiada widoczną akcyza - dowód jego legalności. Zresztą gdyby ktoś miał wątpliwości co do tego gdzie trafiają pieniądze zarobione na mocnych trunkach niech przeczyta napis widniejący właśnie na akcyzie. Tak więc na rynku nie istnieje żadna konkurencja - jest ona nielegalna. Chyba wszyscy dobrze wiemy jakie następstwa w skutkach ma domowy wyrób mocniejszego alkoholu. Gdy państwo poczuje zagrożenie (mogło by stracić potencjalnego klienta) atakuje paragrafami. Zresztą ta sama historia z akcyzą tyczy się nikotyny - o czym może świadczyć zakaz

sprzedaży papierosów "na sztuki". Az dziw bierze, że nie wprowadzono zakazu spożywania wódki i jej pokrewnych w postaci "pięćdziesiątek". Widocznie ten wyczyn nie przyniósł by korzyści finansowych.

No ale przejdźmy może do meritum sprawy. Jaki cel prócz zysków materialnych może czerpać państwo ze sprzedaży alkoholu. Ano wniosek jest bardzo prosty - jest on doskonałym lekiem na problemy i rozterki. Gdy coś dzieje się źle - najczęściej jest to przyczyną właśnie działalności rządzących elit - zalewamy robaka. Odpadamy od rzeczywistości nie potrafiąc się z nią uporać. Człowiek ulega złudzeniu, że wystarczy nie myśleć o kłopotach żeby zniknęły z życia. Utrudnia to w widoczny dla nas sposób racjonalne myślenie oraz kojarzenie faktów. Alkohol oszukuje. Będąc pod jego wpływem wszystko wydaje się bardzo proste. Niestety rzeczywistość z jaką później trzeba się zetknąć staje się jeszcze bardziej trudna do zniesienia niż poprzednim razem. I tu pewnie niektórzy z Was zapytają - no dobrze ale jaki związek ma to z nami? Ano ma, bowiem fakt spożywania alkoholu w nadmiernych ilościach jest na naszym podwórku zjawiskiem częstym i bardzo często uciążliwym dla innych. Zjawiskiem nagminnym jest (przynajmniej tu - na Śląsku) widok zalanych typów na koncertach czy innych imprezach. Zdarzają się w związku z tym niemiłe akcenty. Na jednym z takich koncertów miałem okazję samemu się o tym przekonać - mianowicie sprzedając różnorakie gadzety podczas koncertu zostałem sterroryzowany nożem przez nawaloną parę, która to ukradła mi kilka rzeczy tłumacząc się faktem, że nie stać ich na to - ciekawe za co się nawalili. Problem alkoholizmu osiąga swymi sponami coraz więcej młodych ludzi - w tym dużą częścią stanowią tu ludzie obracający się wokół klimatów związanych z tzw. sceną. Jest to fakt smutny ale prawdziwy. Jeszcze raz podkreślam, że nie krytykuję tu ludzi spożywających alkohol (zresztą sam czasem to robię), choć tylko zwrócić uwagę na pewne aspekty sprawy, a wnioski pozostawiam Wam. Wartym również wspomnienia jest pewien fakt z historii traktujący o zniewoleniu oraz wykańczaniu niepożądanych czy w pewien sposób niebezpiecznych osobników za pomocą alkoholu - a konkretniej chyba najpopularniejszej jego odmiany - wódki. Fakt ten miał mieć miejsce na Ukrainie po zakończeniu przez Niemców wojny. Zakładali oni osiedlenie się na tychże ziemiach (oczywiście zakładali oni wygranie wojny). Mieli oni ciekawy plan wykorzystania i zniszczenia ukraińskiej kultury za pomocą właśnie wódki. Mianowicie wiedząc iż spożywanie wódki ogłupia oraz prowadzi do nałogu postanowili obniżyć jej cenę do takiego stopnia aby każdy z zamieszkujejących te tereny mieszkańców mógł sobie pozwolić na częste nabywanie go, a co za tym idzie coraz częstsze spożywanie. W końcu po pewnym czasie postanowiono nieco podnieść cenę - w momencie w którym wódka stanie się już potrzebna. Zezwolić miano na sprzedaż wódki w zamian za dorobek kulturalny Ukraińców. Wymieniano książki na alkohol, donoszono na kogoś w zamian za nagrodę w postaci butelki. W ten oto sposób nowe państwo niemieckie zamierzało zniszczyć kulturę i świadomość narodową Ukraińców. Pomysł ten był już częściowo realizowany i pewnie po pomyślnym dla Niemców zakończeniu wojny powiódł by się. Przykład ten można doskonale przenieść na nasz teren. Wyobraźmy sobie nas jako Ukraińców oraz po drugiej stronie barykady państwo ze swym aparatem ucisku i przymusu w postaci Niemców. Sprawa jest prosta i chyba nie wymaga zbyt długiego komentarza. Wódka jest doskonałym środkiem zniewalania i ograniczania. Zauważmy fakt jak mało w massmediach mówi się o tym problemie - owszem czasem można tu i tam coś zauważyć - ale w porównaniu z innymi sprawami jest to bardzo mało. Zresztą dobre w tym względzie są tematy zastępcze w postaci narkotyków czy ostatnio popularnej pornografii. Tak się jednak składa iż ów państwowy narkotyk w skutkach jest dużo bardziej niebezpieczny od wielu innych używek nazywanych przez państwo szkodliwymi i niebezpiecznymi.

"Mamy dla was wódkę na radości i problemy. Pokażemy Wam jak pić byście kupowali mimo ceny." <http://kki.net.pl/czlow/> czlow@kki.net.pl

cechy konstytucji demokratycznej, w jej postaci najbardziej rozwiniętej: najwyższa władza prawodawcza, spoczywająca w rękach ogółu, prawo inicjatywy, przysługujące każdemu; bezwzględna swoboda krytyki i

IDEE KOOPERATYZMU

Józef Edward Abramowski

1. Stowarzyszenia i państwo

Dzisiaj, kiedy uwaga społeczeństwa jest zaprzęgnięta reformami państwowymi, kiedy rozmaite stronnictwa współubiegają się o postawienie programu zadań, zabezpieczającego najlepiej prawa i wolności obywatelskie, warto jest przypomnieć sobie, że istnieje forma współzycia, stojąca poza granicą państwowa, a zdolna jest nie tylko do wykonywania wszelkich zadań społecznych, lecz zarazem zabezpiecza najlepiej i najszerzej wolności obywatelskie. Formą tą są stowarzyszenia. Najdalej idące konstytucje państw demokratycznych, najszerzej pojęte przedstawicielstwa ludowe nie osiągają nigdy i nigdy osiągnąć nie mogą takiego zabezpieczenia wolności człowieka, takiego poszanowania woli jednostki wobec zbiorowości, jaka charakteryzuje stowarzyszenie. W żadnej też formie organizacji państwowej nie znajdziemy takiej łatwości przystosowywania się do warunków i potrzeb życia, do nowo powstających idei i ruchów, jak w stowarzyszeniach. Dlatego śmiało możemy twierdzić, że wobec mnożących się ciągle zagadnień życia ludzkiego, wobec jego rosnącej zmienności, bogactwa typów i kierunków, wobec rozwoju indywidualizmu grup i jednostek, poddających się coraz trudniej pod ogólne normy, typ ten organizacji społecznej, który przedstawiają stowarzyszenia, jest typem przyszłości, dziedzicem nowożytnego Państwa. Owe skromne "ustawy" rozmaitych kooperatyw spożywców, rolnych, kredytowych, na które przyzwyczailiśmy się patrzeć lekceważąco, traktować jako politykę zaściankową małych czynów i małych ludzi, kryją w sobie jednak zarodek nowej myśli politycznej, mogącej wyrugować w przyszłości wszelkie "konstytucje" i "przedstawicielstwa" państwowe jako zbyt czyny przytępk niewoli.

Do zrozumienia tego przyjrzyjmy się, jakie są zasady organizacji stowarzyszeń kooperatywnych. Możemy wziąć dla przykładu jakąkolwiek ustawę stowarzyszeń spożywców, pomocy wzajemnej, robotniczych lub innych, rozgłaszonych na zachodzie Europy, wszędzie zobaczymy tę samą budowę konstytucyjną, zastosowaną tylko do rozmaitych celów.

A więc przede wszystkim, władza prawodawcza stowarzyszeń należy do ogółu członków, zarówno kobiet jak i mężczyzn. Tylko uchwały zgromadzenia ogólnego, przyjęte większością głosów, mają moc obowiązującą dla stowarzyszenia. Uchwały te są w ciągłej zależności od woli swych twórców i jeżeli, po pewnym czasie okazać się niedogodne, zgromadzenie następne może je usunąć i zastąpić innymi. W tworzeniu uchwał, ich doskonaleniu i krytyce mogą brać udział wszyscy członkowie. Prawo inicjatywy prywatnej jest tutaj nieograniczone: każde uzdolnienie i energia osobista, każda idea w czymś użytecznym wyrosła i rozwinęła, może znaleźć dla siebie odpowiednie pole twórczości i mocą przekonywania wejść w życie stowarzyszeń. Prawodawstwo, jeśli można ten termin państwowy zastosować do zrzeszeń wolnych, jest tutaj w ciągłej styczności i w ciągłym uzależnieniu od potrzeb i od przekonań tego ogółu, dla którego powstaje i działa. Władza wykonawcza, tj. zarząd i administracja stowarzyszenia, jest wybierana przez zgromadzenie ogólne na czas ograniczony i zostaje pod dwojaką kontrolą stowarzyszenia; pod kontrolą zgromadzenia ogólnego, któremu musi przedstawiać szczegółowe sprawozdanie ze swej działalności, oraz pod kontrolą komisji, wybranej w tym celu przez zgromadzenie. Rola zarządu jest zazwyczaj ograniczona do wykonywania i tych zadań, które stanowią stałą funkcję stowarzyszenia. O ile by zaś stowarzyszenie przekonało się, że wykonywanie to nie zgadza się z duchem jego uchwał i dążeń, może w każdej chwili poddać je surowej krytyce i zmienić skład zarządu.

Mamy więc tutaj wszystkie zasadnicze

propagandy; władza wykonawcza, powstająca z wyborów bezpośrednich, odpowiedzialna przed ogółem za wszystkie swoje czyny i skrepowana wolą większości w reformach zasadniczych. Zaledwie niektóre kraje republikańskie, jak Szwajcaria i niektóre ze stanów Ameryki Północnej doszły w swej organizacji państwowej do tego stopnia rozwoju demokratycznego. I tam jednak prawa polityczne obywateli, takie np. jak prawo inicjatywy i kontroli nad władzą wykonawczą, są w znacznym stopniu ograniczone i nie dosięgają nigdy tej pełni, jaka istnieje w konstytucjach stowarzyszeń.

Z tej strony widziane stowarzyszenia przedstawiają się zatem jako nie terytorialne rzeszospolite, o wydoskonalonej formie demokratycznej, urzeczywistniającej prawa człowieka i obywatela w tak szerokiach granicach, w jakich żadna demokracja państwowa nie zdołała tego uczynić. Pomiędzy stowarzyszeniem a państwem, choćby najbardziej demokratycznym, zachodzi jednak różnica zasadnicza i niezmiernego znaczenia dla przyszłości społecznej. Oto ta mianowicie, że stowarzyszenie jest dobrowolnym związkiem ludzi, tworzącym się na mocy naturalnej wspólności potrzeb, państwo zaś - organizacją terytorialną - przymusową, prawem ziemi, które owdłada człowiekiem dlatego, że na niej zamieszkał. Nie daje ono nigdy swoim obywatelom swobody uchylania się od jego praw i rozporządzeń, swobody dobrowolnego należenia lub nienależenia do jego organizacji. Prawdziwa wolność jednostek staje się tutaj nieziszczalną nigdy utopią. Nawet w państwach najbardziej demokratycznych rozstrzyga tylko prosta większość przedstawicieli lub samego ludu, i mniejszościom, bardzo poważnym nawet, mogą być narzucone ustawy w najwyższym stopniu dla nich niedogodne; pomimo to muszą one pozostać w ramach wspólnej organizacji, stosować się do rozporządzeń i ponosić wspólne ciężary.

Oprócz tego, podczas gdy stowarzyszenie ma zwykle na celu zaspokojenie jakiejś jednej kategorii potrzeb ludzkich, państwo dąży do ogarnięcia wszystkich potrzeb całego człowieka. Reguluje nie tylko warunki bezpieczeństwa i obrony, lecz także wychowanie, religię, oświatę, postępowanie prywatne i publiczne, warunki ekonomiczne, higienę, moralność; wszystko bowiem zahacza o interesy państwowe i wszystko może zagrażać podwalinom jego istnienia. Stąd zaś wynika, że prawodawstwo państwowe musi być sztywne, trudno zmieniające się i trudno przystosowujące się do potrzeb życia. Skomplikowany mechanizm państwa, ogarniający sobą różne czynniki ludzkie i zagadnienia, musi rachować się poważnie z każdą zmianą. Reforma zamierzona w jednej dziedzinie musi być oceniana z rozmaitych i obcych jej punktów widzenia i nieraz względy militarne, interesy polityki kolonialnej, finansowe lub dyplomatyczne uniemożliwiają przeprowadzenie reformy w dziedzinie ekonomicznej, kulturalnej lub oświatowej.

Wszystko to sprawia, że nawet najbardziej demokratyczne państwo staje się coraz mniej zdolne do rozstrzygnięcia zmiennych, różnorodnych i przeobrażających się szybko zagadnień społecznych. Zagadnienia te, mnożąc się z postępem historii, wymagają organizacji giętkiej, uduchowionej, gdzie byłoby jak najmniej rutyny i szablonu, a jak najwięcej swobodnego rozumowania i przyrodzonego doboru. Znajdują zaś taką organizację w stowarzyszeniach.

I oto jesteśmy świadkami ciekawego procesu, że pomimo wzmagającego się ciągle hasła "upaństwowienia", idącego od dołu i od góry, szerzy się nie tylko upaństwowienie, ale także i jego antagonistą - demokracja stowarzyszeń, tak iż nie spotykamy już dzisiaj żadnej prawie dziedziny życia społecznego, żadnego prawie zagadnienia zbiorowości, gdzie by równocześnie nie występowały obie te formy. Mamy więc politykę ekonomiczną państwową i federację kooperatyw spożywców, dążące do regulowania produkcji i rynku według interesów spożywców; państwo prawodawstwo pracy i prawodawstwo związków zawodowych, ochraniające robotnika przed wyzyskiem;



państwowe ubezpieczenie starości i ubezpieczenie przez towarzystwa pomocy wzajemnej i kooperatywy spożywców; państwową politykę agrarną i stowarzyszenia rolnicze, podejmujące te same zadania dzwignięcia kultury i dobrobytu ludności włościańskiej; państwowe szkoły i uniwersytety obok szkół i uniwersytetów wolnych; państwowy kredyt obok kredytu towarzystw pożyczkowo-oszczędnościowych, kas Raiffeisena i wielu innych; i tak dalej w każdej dziedzinie życia i interesów. Występują zaś tutaj nie tylko dwie różne organizacje społeczne, lecz także dwie różne idee, dwa różne kierunki ducha ludzkiego: jeden, który pragnie życie skrepić ustawą i podać jego przyrodzoną rozmiarowość normom przymusowym, a jednolitym - i drugi, który pragnie ustawę uczynić podległą życiu, uzależnić ją i przystosować do zmienności i bogactw typów ludzkich, do tego, co wobec niej jest istotne, pierwsze i zwierzchnicze.

2. Kultura demokratyczna

W każdym przełomie dziejowym, kiedy pojawiają się zwiastuny nowego świata, bezimienne, wielkie idee, własność wszystkich i niczyja, wtedy zjawia się także i krytyka osobistego życia, pierwsze zarzewie rozterki wewnętrznej. Idee wydają się tak ogromne, a zarazem tak dalekie i tak obce temu, co stanowi szare codzienne życie. Tam, w tym świecie idei, żyją odwieczne marzenia ludzkości - braterstwo, dobrobyt, wolność, zmartwychwstają prorocтва Izajasza o orężach przekuwanych na lemiesz i ewangeliczna zapowiedź świątyni, przeniesionej do tajemniczych skrytek serc ludzkich. A przed obliczem tego piękna wlecze się wstydlive, brudne życie; życie zabiegów geszefciarskich, samolubstwa, przemocy nad słabszymi; życie kancelarii, sądów, giełdy i przytułków; korowód małych trosk i ambicji, czolgających się myśli i uczuć. I oto przed każdym, kogo dotknął nowy powiew myśli, zjawia się zagadnienie osobistego życia, jego uzdrowienia, uszlachetnienia; zjawia się niezwalczony, konieczny postulat, że nowy świat społeczny wymaga nowych ludzi. Z natur niewolniczych nie mogą powstać instytucje wolnościowe. Z rabusiów i pasożytów społecznych nie może powstać demokracja. Z ludzi goniących tylko za zyskiem, lub zbytkami nie może narodzić się sprawiedliwość społeczna. Nawet wtedy, gdybyśmy, odwracając zagadnienie, twierdzili, że same instytucje polityczne nowego typu zdolają uszlachetnić ludzi i uzdrowić życie, nawet wtedy pozostaje nienaruszone pytanie, jakie siły zdolają te instytucje wydobyć z nicości, zorganizować, utrzymać i duchem ożywić? Skąd weźną się te zastępy jednostek, zdolnych do tworzenia rozwoju społecznego, te masy o rozwiniętym sumieniu człowieka i obywatela, bez których demokracja polityczna jest tylko fikcją, nazwą bez treści, pobielanym grobem taryzeuszów?

Demokracja tam tylko wyrasta, gdzie jest potrzeba mas ludowych. Zjawia się ona jako reakcja przeciwko zachłanności państwa, jako konieczna obrona samorodnych instytucji, zorganizowanych interesów ekonomicznych i kulturalnych ludu przeciw biurokracji. Jeżeli lud szwajcarski z takim logicznym uporem broni swych urządzeń demokratycznych wobec różnych rozszerzeń rządu centralnego, jeżeli potrafił rozszerzyć je do najdalszych granic wolności politycznej, to pamiętajmy o tym, że jego obrona demokracji była to obrona swego własnego życia. Konstytucja polityczna, którą stworzył, posiada swą przyrodzoną, szeroką podstawę: tysiące najrozmaitszych zrzeseń, kół i związków; tysiące samorodnych organizacji gospodarskich, handlowych, robotniczych, kulturalnych; zwyczaj demokratyczne, zwyczaj równości i poszanowania człowieka, zakorzenione w całej cywilizacji tego ludu; przyzwyczajenie i zdolność do samodzielnego załatwiania swoich spraw i potrzeb zbiorowych; silnie rozwinięte sumienie obywatelskie i nierozłączna z tym nieufność do biurokracji.

Wszystko to stanowi kulturę demokratyczną, pierwszy a niezbędny warunek demokracji i samodzielności politycznej.

Lud Polski takiej kultury nie ma dotychczas. Nie jest to społeczeństwo nowoczesne, zorganizowane w różnorodne zrzeseń i związków wolne, lecz do niedawna jeszcze, zbiorowisko luźnych jednostek, wyczekujących, jakie reformy będą mu dane, w jakim nowym łożysku państwowym każą popłynąć jego życiu. Nie mając

własnych instytucji społecznych, które by mógł dalej rozwijać i doskonalić, oczekiwał tylko na reformy policyjne. I ten zanik samodzielności tak głęboko wsiąknął w charakter narodu, że nawet umysły przodujące, programy partii i stronnictw, nie mogły zdobyć się na żadne inne postulaty społeczne, jak tylko takie, które zawierają się w formule "czego żądać od państwa".

Przyzwycailiśmy się uważać siebie za materiał, z którego ktos inny urabia rozmaite formy; przy każdej sposobności ofiarowaliśmy siebie: "zróbcie z nas to lub



owo; zróbcie z nas społeczeństwo konstytucyjne, demokratyczne lub społeczno-demokratyczne; zreformujcie nam szkoły i szpitale; ochrońcie przed nędzą i wyzyskiem". Cała mądrość polityczna zawierala się w tych prośbach czy żądaniach reformy. Wszystkie ideały chyliły się przed tym jednym: Państwa-Opatrzności. Ono miało za nas myśleć i działać, miało nas karmić, uzdrawiać, chronić. I to się nazywało u nas "demokracją". Na drodze takiej polityki mogło jednak wytworzyć się wszystko inne, tylko nie demokracja. Demokracja wymaga przede wszystkim silnego poczucia i instynktu samopomocy społecznej. Wymaga ludzi, umiejących nie tylko żądać reform od państwa, lecz przeprowadzać te reformy za pomocą swoich własnych instytucji. Wymaga umiejętności samodzielnego organizowania interesów społecznych. Wymaga rozwoju stowarzyszeń, zagarniających rozmaite dziedziny gospodarstwa, kultury, ochrony pracy i zdrowia. Wymaga wreszcie silnego indywidualizmu człowieka, wyrobionej potrzeby urządzania swego życia według własnej normy i poszanowania tej samodzielności u innego. Bez tych warunków moralnych i społecznych demokracja wytworzyć się nie może.

Jeżeliby nawet w komitecie ministrów lub Dumie, wypracowane były jak najdalej idące reformy; jeżeli byśmy nawet otrzymali instytucje samorządu politycznego oparte na powszechnym głosowaniu, to zamieniłyby się one niechybnie w rządy urzędników i przedstawicieli z wyrobów, zcentralizowałyby się - gdzieś daleko poza ludem, przystosowując się najzupełniej do niedojrzałości demokratycznej społeczeństwa... gdyby praca tworzenia demokracji od dołu tej wolnej demokracji stowarzyszeń, została przez nas zaniedbana.

Tworzenie demokracji przez samo społeczeństwo, tworzenie jej istoty, jej sił wewnętrznych jest to zarazem uzdrowienie życia i wyzwolenie moralne ludzi. Tam gdzie rozwijają się instytucje samopomocy, kooperatywy, spółki włościańskie i związki zawodowe, gdzie powstają samodzielne ogniska oświaty i kultury, tam jednocześnie zachodzić muszą i zachodzą głębokie zmiany w zwyczajach i w duszach ludzkich, w wychowywaniu dzieci, w higienie fizycznej i moralnej, w pojmovaniu zadań życia i szczęścia. Przede wszystkim ludzie tworzą wtenczas sami warunki swojego bytu. Od ich zdolności, energii, ofiarności zależy to wspólne dobro, którego stowarzyszenie poszukuje. W życiu jednostki zjawiają się cele, których nie było; zjawia się uczucie samodzielnego tworzenia i solidarności międzyludzkiej. Zanikają nie tylko przyzwyki duszy niewolnika, ale i duszy nowożytnego "geszefciarza", nie pojmującego zysku bez krzywdy. Powstają nowe kategorie rozkoszy moralnych i towarzyskich, które wypierają bezmyślną nudę zbytków,

rozpuszty i pijaństwa. Słowem, tworzy się nowa kultura i nowy typ człowieka, który wyróżnia zasadniczo społeczeństwo demokratyczne.

Członek stowarzyszeń wolnych jest to typ, który życie tworzy siłami swego umysłu, charakteru, serca i jest to obywatel demokracji. Zaś jednostka, chodząca luzem, w stadzie, jest to bierny pionek w rękach biurokracji i przywódców partyjnych, niewolnik warunków życia i typ społeczeństwa niewolniczego.

Te dwa zasadnicze rysy określają całą różnicę psychologiczną i moralną, przystosowują do siebie pojęcia, uczucia i sumienie, potrzeby i tryb życia, pragnienia i ideały. Typ demokratyczny pożąda przede wszystkim wolności tworzenia, typ niewolniczy - "chleba i igrzysk", pierwszy próbuje sam doskonalić i ulepszać swoje życie drugi żąda tego od państwa. W typie demokratycznym zanika potrzeba jałowych narzekań i utyskiwań, zanika rozterka między indywidualnością a warunkami, między ideałem, piastowanym w umyśle, a życiem rzeczywistym, gdyż członek stowarzyszeń wolnych ma możliwość tworzenia swego życia i przystosowywania warunków do swojej indywidualności. Wytwarza się tutaj doskonała jedność myśli, uczucia i czynu, warunek zdrowia i pełnego rozwoju jednostki.

W typie niewolniczym natomiast istnieje cała przepaść między ideałem a rzeczywistością, między indywidualnością a warunkami. Człowiek wchodzi w szablon życia, który inni wytworzyli dla niego przymusowo, męczy się nadaremny doń przystosowaniem się, kastruje swą indywidualność w najrozmaitszy sposób, przechodzi przez rozmaite musztry pojęciowe i moralne, zatracca wszelką łączność swych utajionych pragnień z czynem - i przez to samo wypacza się w typ chorobliwy, zwyrodniały, cząstkowy. W tym przeobrażeniu moralnym człowieka - z niewolnika na wolnego twórcę życia - widzi kooperatyzm swoje najważniejsze zadania, głęboką istotę szerzonej przez się kultury demokratycznej.

Każda kooperatywa spożywców, każda spółka włościańska lub związek zawodowy staje się żywym ogniskiem i szkołą tej kultury, gdzie ludzie uczą się swymi czynami nowej nauki wolności. Ci, którzy dotychczas korzystali tylko z rozkazów swoich przełożonych lub z jałmużny swych dobroczyńców, rządzeni i cywilizowania na czyjąś modłę, tutaj w kooperatywie i związku, sami muszą radzić i decydować o wszystkich sprawach: o warunkach swego najmu, o gospodarce w swoich kasach, warsztatach i sklepach, o potrzebach swoich szkół, bibliotek, szpitali, ochron. Muszą nie tylko radzić nad tym, ale i tworzyć to wszystko, ukształcać instytucje, przystosowywać je do swoich żądań i charakterów, wkładać w nie własną inicjatywę, zapal tworzenia, wytrawość. Instytucja społeczna przestaje wtedy gnębić człowieka, staje się poshusznym w jego rękę



narzędziem, pozwala mu być twórcą. Na tym zasadza się, w pojmovaniu kooperatystów, idea kultury demokratycznej.

4. Idea wyzwolenia

Dziwnie smutna bywa historia ideału. Poczęty w jakichś nie nazwanych głębiach ludzkich, w jakimś boskim widzeniu krzywd, walk i cierpien, przychodzi na świat jasny i prosty, jako rzecz wiekująca. Przychodzi radosny i czysty, jak prawdziwy twórca nowego życia. Obiecuje wszystko, rozstrzyga wszelkie sprzeczności i zatargi, lecz pod jednym tylko warunkiem - szczerości. Tymczasem wrogowie jego czuwają, przebiegają, chytro wrogowie: starcze nalogi życia; i nie zwalczają go, wiedząc, że walka często upiększa i wzmacnia przeciwnika, ale przystosowują do siebie, wypaczają, parodiują. I radosny ideał ginie potworną, komiczną śmiercią.

Tak dzieje się z socjalizmem, w jego historii zarówno społecznej, jak i indywidualno-psychologicznej. W społecznej - były czasy "utopii", kiedy wierzono, że socjalizm ma być dziełem ludzi "dobrej woli", wyzwoleniem pracujących "przez nich samych", tworzeniem swobodnym nowego życia, przez samą moc ideału, siłą przykładów żywych, które zjawiać się będą jako oazy wyzwolenia na pustyni kapitalistycznego świata wyżysku i niewoli. Wierzono wówczas także,

że socjalizm to nie tylko wolność ekonomiczna, zapewniająca każdemu dobrobyt i równość praw, ale także wolność, nieograniczona wolność narodów, grup i człowieka, zniesienie wszelkiego przymusu, wszelkiej przemocy zbiorowości nad jednostką, kodeksu nad żywą myślą i sercem. Wierzono również w to, że zadaniem jego jest nie tylko przekształcenie stosunków pomiędzy ludźmi, ale i przekształcenie samego człowieka przez narodzenie się w jego duszy - niesmiertelnej religii braterstwa.

Potem nadeszły czasy polityki realnej. Dzieło ludzi "dobrej woli" stało się dziełem "dyktatury proletariatu", a później parlamentu socjaldemokratycznego. Wspólność ekonomiczna woli komun przeobraziła się na przymusowe "upamiętnienie", a państwowe monopole wdzęz, tytoniowe, kolejowe, pocztowe itd. Stały się jedynym spadkobiercą i przykładem żywym "wyzwalającego komunizmu". Obwieszczono je jako nowe tory, po których ewolucja zdążyła ku wyzwoleniu, a ponieważ przykłady były niezbyt zachęcające, obiecywano je uszlachetnić i wydoskonalić przez zdemokratyzowanie państwa, zwalając wszystkie jego wady na brak powszechnego głosowania. Owo głosowanie stworzyło ma prawdziwe przedstawicielstwo ludowe; przedstawicielstwo to, jako nieograniczony zwierzchnik wszystkiego zadeklaruje upamiętnienie przemysłu, rolnictwa, handlu, wychowania, oświaty, podziału zajęć i podziału wytworów i odda to wszystko do przeprowadzenia rozmaitych ministerium ludowym, nowej policji o barwach rewolucyjnych. Przy takim postawieniu sprawy wyzwolenia - "wolność" okazała się oczywiście rzeczą niebezpieczną, często reakcyjną (jak np. francuskich kongregacji), hasłem "burżuazjnym", które nie może decydować w ludowym państwie pracy. "Braterstwo" stało się jeszcze bardziej niebezpieczne jako klerykałno-chrześcijański środek do uspienia antagonizmów klasowych, zaś jak ideał stało się zbyt czyste wobec braterskich kodeksów przyszłego państwa ludowego. I tu zaczyna się tragedia, a zarazem śmieszna agonja dawnych wierzeń, nielitościwa dialektyka tezy, która sama siebie pożarła: wyzwolenie, dochodzące do rozszerzenia niewoli, i jego bojownicy w parlamencie francuskim, dyktujący prefektem policji najskuteczniejsze przepisy tropienia zakazanych stowarzyszeń religijnych i woli nauczania. W historii indywidualno-psychicznej socjalizmu, w dziejach, które przeżywa w duszy swego wyznawcy, odbywa się proces podobny. Ponieważ hasła społeczne głoszą, że sprawiedliwość i kolektywizm mają być dziełem nowego państwa ludowego, przeto dopóki tego państwa nie ma, utopia i bezpłodnym macierzyństwem byłoby tworzyć w obecnych warunkach życia wzory

sprawiedliwości i kolektywizmu. Wyznawca ideału, zamiast zaprzęcać sobie głowę reformowaniem stosunków ludzkich, powinien przystosować się do stosunków istniejących i wszystkie swoje siły skierować tam, gdzie się buduje nowe państwo, tj. ku walce politycznej, wyborczej, parlamentarnej lub innej powinien wyzyskać wszystkie gorące nienawiści, plugastwa życia, wszystkie praktykowane w dzisiejszym społeczeństwie sposoby walki i panowania, ażeby z tej pracy rewolucyjnej wyszedł nareszcie ów oczekiwany, wszechpotężny "rząd wyzwolicielski". Na ten czas trzeba wyrzucić się w praktyce swoich "idealnych" uprzedzeń do państwa burżuazjnego i korzystać ze wszystkich jego środków do zwalczania

braterstwo".

Ten typ obłudy rozwija się zresztą w ludziach przez samo wychowanie i trzeba wielkiej siły młodości, ażeby wpływy te umiała przezwyciężyć. Przypomina mi się widziany kiedyś w jednej z galerii obraz, Chrystus przemawia do tłumu, z oczami pełnymi wizji swojego królestwa; a poza nim stoi mała, która przedrzeźnia i komentuje jego słowa; w twarzach ludzi widać budzące się pomieszanie, rozterkę, niepokój; widać, że mała zaczyna działać, a niektórymi owdładnęła już zupełnie. Przez cały czas "wychowania" dzieje się to samo. Dochodzą ku nam legendowej piękności słowa, którymi nawet przeróbki katechizmowe nie mogą odjąć siły i czaru, wersety niesmiertelne "kazania na górze" o oddawaniu bogactw, o sądach o potępieniu, o bezcelowych troskach dnia, o tych, co nie mają mieć swoich ksiąg, o jednym przykazaniu miłości i braterstwa, o jednym grzechu - krzywdzie. Lecz poza tym stoi zawsze mała, stoją ludzie trzeźwi, praktyczni, którzy komentują nam te słowa i starają się je pogodzić z wymogami życia, na ich modłę pojmuwanego; komentują w taki sposób, że krzywdą staje się prawidłem, normalną atmosferą sumienia, a braterstwo - jałmużną. Ta sama "mała" wpływa także i później, a wpływa jeszcze skuteczniej. Kiedy jasna postać Nazarejczyka usuwa się sprzed oczu naszych, a na jej miejsce zjawiają się wizje nowoczesnej sprawiedliwości, porywając za sobą wszystkie młode uczucia i pragnienia, kiedy zapatrzeni w ten umiłowany wzór Odrodzenia postanawiamy urzeczywistnić jego piękno w życiu otaczającym, wtedy także zjawia się owa "mała" praktyczna i rozumowa stara się nas przekonać, że Odrodzenie nasze możliwe jest tylko w przyszłości, w innym ustroju społecznym, że tylko nieuk, utopista, nie znający materialistycznego pojmowania dziejów, może myśleć o przeobrażeniu swojej moralności wtedy, gdy trwają społeczne i ekonomiczne podstawy starej, że na wet powinnyśmy, nie chcąc wejść na złą drogę utopii, pozostać wyznawcami moralności tego ustroju, w jakim żyjemy, przystosować do niego swoje osobiste życie, aby mieć siłę głoszenia ideałów.

I "mała" prawie zawsze zwycięża. Tak się przedstawia owa smutna historia radosnego ideału. Chcąc w jednym obrazie scharakteryzować losy idei odrodzenia społecznego, można by powiedzieć, że trzyma ją w niewoli Lewiatan Hobbesowski, Lewiatan sługowy i sturamienny, gnieżdzący się wygodnie we wszystkich starczych nalogach życia, we wszystkich plugastwach, jakie przemoc zrodziła w duszach ludzkich, we wszystkich nienawiściach, jakie poczęła niewola. Ma on wiele różnych imion i masek. Nazywał się Cezarymem rzymskim, Teokracją, Inkwizycją świętą, Jakobinizmem, Konwentem republikańskim, a dziś nazywa się dyktaturą proletariatu i ludowym państwem pracy. Ten sam, niesmiertelny, wielolico.

Ci, którzy to wszystko sami przeżyli w myślach i uczuciach swoich, nie zdziwią się zatem, że podnoszę sprawę wyzwolenia ideału. Trzeba go wyzwolić od polityki, która go kastruje i przerabia na jakiś kancelaryjny ideał przyszłej biurokracji ludowej, od polityki, która jemu, dziecku wolności i braterstwa, nakazuje głosić przemoc i nienawiść Apostołem obłudy, ich smutnej nauce o odrodzeniu świata przez policję, trzeba przeciwstawić "wiedzę radosną", zacerpniętą z



przeciwników. Trzeba z umiarkowaniem i "dialektycznie" wygłaszać zasadę wolności, ażeby umiec przerobić ją z ręcznie na knut dla reakcyjnych wrogów; trzeba przemilczać dyskretnie niebezpieczne postulaty poznanowania człowieka i braterstwa ludzi, gdyż polityka realna wymagać będzie na każdym kroku wyszydzenia tych utopii.

Tym sposobem wytwarza się uprawnione, podniesione do znaczenia mądrości politycznej okłamywanie idei, rozterka pomiędzy ideowością wyznawaną a sumieniem i życiem. Wytwarza się nowy gatunek ludzi - apostołów obłudy i jej nieświadomych wyznawców. Któż nie zna ludzi, wyznających szczerze zupełnie ideały sprawiedliwości społecznej i braterstwa, a jednocześnie korzystających najspokojniej w świecie ze wszystkich arkanów i dogodności życiowych sądownictwa, policji i giełdy, ludzi protestujących weksle, wszczynających rozprawy cywilne, donoszących policji o kradzieżach, bez względu na to, jaka i jakiego rozmiaru kłeska i nędza czyjaś będzie wynikiem tych niewinnych, prawnych, papierowych formalności? Któż nie zna przeciwników wyżysku, czcicieli idei poznanowania człowieka, a jednocześnie obarczających służbę domową całodzienną pracą, tłumiących brutalnie indywidualność dziecka i dobijających się wyższych szczebli w hierarchii społecznej? To wszystko nie przeszkadza temu, że w rozmowach, na zebraniach lub w pismach potępia się gorąco rozmaite nikczemności ustroju kapitalistycznego, że wierzy się rozumowo w mające nadejść przeobrażenia społeczne, że ze wzruszeniem odczytuje się "Nędzników" Huga, "Odrodzenia" Tolstoja, zalecając je jako książki do propagandy moralnej służące.

W młodości było inaczej. Każda idea nowa, która wtedy wchodziła do umysłu, stawała się obłubieńcem duszy całej; kładło się pod jej stopy wszystkie daty życia, wszystkie korzyści, rozkosze i cierpienia. Była ona nie tylko postulatem rozumu, ale i sumienia, nie tylko widmem przyszłości, ale i prawdą żywą, podług niej chciało się żyć i działać. Dzień życia był jej dniem. Polityka jednak zrobiła swoje, stworzyła starość. Nadchodzi doba dojrzałości i owe piękne, tętniące krwią prawdziwą, wierzenia zamieniają się w skostniałe, martwe pojęcia, które życiem osobistym człowieka nie rządzą i nie w nim nie tworzą. Zamknięte w sferze czysto umysłowej ożywiają się wtedy tylko, gdy trzeba dowodzić i mówić o polityce; w głębinach zaś duszy, w tym, co tworzy życie codzienne, w woli i sumieniu praktycznym stare, znieawidzone teoretycznie idee zapanowują zupełnie, natrąsając się cicho ze swoich poprzedników, ze zbankrutowanych ideałów młodości. I oto człowiek staje się podobny do tych więźni francuskich, na których wielkimi zgłoskami stoi napisane - "wolność, równość,



PERFORMANCE BONUS

młodzieńczej epoki ideału.

5. Wiedza radosna

Czym jest wiedza radosna? Oto przede wszystkim mówi ona tak: nie okłamujcie swojej duszy. Jeżeli potępiacie w swoich przekonaniach społecznych wyzysk i przemoc, własność, która żyje kosztem głodnych, i kodeksy, którymi się ona posługuje, natenczas niechże i życie wasze osobiste to samo głosi. Niech was poznają po waszym życiu. Wymaga tego nie tylko piękno i godność idei, którą wyznajecie, ale i umiejętność tworzenia historii świata.

Każda instytucja społeczna, zarówno zwyczajowa jak i prawna, żyje tylko w ludziach, w ich potrzebach, przyzwyczajeniach, wierzeniach i uczuciach; żyje dopóty, dopóki siebie samą odnajduje w sumieniu człowieka. Gdy potrzeby zaczynają zanikać, a wierzenia i uczucia przernaczać się, wtenczas instytucje, które nimi żyły, umierają swoją naturalną, nieuniknioną śmiercią i żadne recepty ministerialne ani wysiłki reakcji rządzącej nie dają jej ocalić. Z tych małych, drobnych przemian ludzkich, przemian wewnętrznych, psychologicznych, z zaczątków nowego sumienia, które w jakiś inny sposób zaczyna normować codzienne postępowanie człowieka i jego stosunki z ludźmi, idzie potężny dech śmierci i srodzina społecznej. Instytucje, zwalczone politycznie, walczą moralnie, których źródła potrzeb i uczuć wyschły, są umarłe naprawdę. I dlatego powinniście tworzyć przede wszystkim nowego człowieka; prawdziwie nowego, to znaczy nie tylko z nowymi potrzebami, ale i z nowym sumieniem. Bo nie kancelaria ministrów i prefektów, ale ono jest mocarzem świata; z tego rodzi się nowe życie, nowe formy i nowy ustrój. Dlatego też nie okłamujcie swej duszy - bo każąc jej zmyślać się starych wzorów życia, niszczyicie przez to samo zarodek tego nowego świata społecznego, którego przycisnąć zwastujecie - i głosicie kłamstwo. Dalej mówi ona to jeszcze: Pozwólcie, aby dusze wasze przyleżały w sposób prosty i jasny ową prawdziwą ideę "braterstwa ludzi", jeżeli chcecie odnaleźć cel i piękno życia, jeżeli chcecie w sobie samych dojść do rzeczy wiekistej. Idea ta nie znosi teorii i rozumowania, jest większa niż rozumowanie. Bierze się ją bezpośrednio, ako dar nie mający swej ceny ani nagrody. Właściwością tej wyłączną, której żadna inna nie posiada, jest to, że jednocześnie musi być życiem i wejść do wszystkich najprostszyszych stosunków ludzkich, nie mając żadnych zastrzeżeń i pęt warunkowych, nie będąc służebnicą żadnych celów innych, korzyści osobistych lub dążeń społecznych. Musi być jak najzupełniej wolna i być wykonywana przez wolne tworzenie życia. Wtedy tylko jest ona sobą i daje poznać swoje prawdziwe oblicze, wyzwalaając człowieka od osobistych trosk, obaw i nędzy. Zwracając jednostce utraconą godność twórcy życia, zmieniając jednocześnie i dotychczasowe postulaty polityki społecznej. Zamiast oczekiwać, aż zjawi się nowy Mesjasz - państwo ludowe - które w kadry swej biurokracji umie wszelkie zagadnienia i receptami będzie zaprowadzało równość i braterstwo, tępiąc, na dawny sposób, nowego buntownika - reakcję, stawiamy tworzenie "świata przyszłości" jako zadanie dzisiejsze, aktualne, wolne, zadanie ludzi "dobrej woli". W tym pojmowaniu życia jako wolnego aktu braterstwa ludzi zawiera się cała idea kooperatywności.

W istniejącym społeczeństwie kapitalistycznym są warunki, siły i formy, które umożliwiają budowanie nowego społeczeństwa, opartego na wspólności ekonomicznej i demokracji pracujących. Są to przede wszystkim kooperatywy spóżywców, które składając w ręce zrzeczonego ludu rynek i kapitały kupieckie, pozwalają mu stawać się stopniowo właścicielem warsztatów, fabryk, kopalni, folwarków - jako kolektywnej własności stowarzyszonej. Kooperatywy te, otwarte dla wszystkich, wymagające dla własnego interesu, nieograniczonego rozszerzania się, naturalnie nieprzyjaciółki monopolu, urzeczywistniają ideal "narodowienia", zamieniają pracujących na współwłaścicieli wszystkich przedsiębiorstw, przystosowują produkcję do interesów ogółu spóżywców, "nadwartości" czynią wspólną wartość stowarzyszonych, dają ludowi samorząd gospodarczy. To co je różni od tego "narodowienia" państwowego, z którym zżyła się myśl masza, jest to jedno tylko, że nie odbywa się ono przymusowo, pod komendą biurokracji, lecz swobodnie,

mocą naturalnego interesu ludzi i mocą samej idei, że, urzeczywistniając wspólność ekonomiczną, nie zabija jednocześnie wolności, ducha inicjatywy, samopomocy, dzielności osobistej, lecz przeciwnie, wymaga tego wszystkiego, rozszerza, wzmacnia, zaszczenia, tworzy nie tylko demokrację, ale i prawdziwych demokratów, to jest ludzi samodzielnych. Są także kooperatywy rolne, włościńskie, które w połączeniu z kooperatywami kredytu dążą do naturalnego przeobrażenia samolubnych gospodarstw chłopskich, borykających się nieustannie z nędzą - w gospodarstwa zrzeszone, kulturalne. Zaczynają one od wspólnego posiadania narzędzi rolnych i przechodzą w dalszym swoim rozwoju do wspólnej produkcji mleczarskiej, owocowej, hodowlanej, podejmują wreszcie zadanie wspólnej sprzedaży zboża i wspólnych młynów, a idąc po tej drodze, siłą naturalnych interesów drobnych posiadaczy, osiągają dla nich wyższą kulturę ekonomiczną i dobrobyt, złączonych ściśle z coraz dalej rozszerzającym się zrzeszeniem różnych stron gospodarstwa wiejskiego. Czyli, że wchodzi w kolektywizm rolny, w kolektywizm, który nie niszczy wprawdzie indywidualnych zagród włościńskich, nie przemienia ich gospodarstw w folwarki państwowe "kolonizowane", lecz pomimo to jest istotnym kolektywizmem, w jego demokratycznym, wolnościowym znaczeniu, albowiem daje wszystkie korzyści techniki gospodarskiej wielkich folwarków, umożliwia masom włościńskim osiągnięcia jak największej kultury rolnej i ekonomicznej, na zasadzie nie walki rynkowej, majoratów i parcelacji, lecz na zasadzie zrzeszenia i solidarności. Są także sandykaty robotnicze, w których tworzyć się zaczyna ten nowy ustrój przyszłości. Wytworzyły one instytucję zbiorowego kontraktu najmu, która gwarantuje nie tylko robotnikom zabezpieczenie od kapitalistycznego wyzysku, ale także daje im pewien udział w rządzeniu przemysłem i zmusza do uwzględnienia, w sprawach przemysłowych, interesów specjalnie robotniczych. Syndykaty nie poprzestają na tym, dążą jeszcze do tego, aby się stać zupełnymi gospodarzami swego fachu, ażeby przeobrazić się na spółki, które przyjmują od przedsiębiorcy całkowitą robotę na umowionych warunkach, lecz całe zorganizowanie tej roboty, wewnętrzny podział płac i zajęć należy do syndykatu. W tej zaś roli syndykat pragnie urzeczywistnić komunistyczną równość, znieść hierarchie robotnicze, nierówności zarobków nie odpowiadające skali pracy, i cały zarobek swój kolektywny, jako spółki, dzielić równo pomiędzy wszystkich. Tym sposobem, przemysł kapitalistyczny przejdzie w ręce nowych administratorów i gospodarzy samodzielnych spółek robotniczych, rządzących się zupełnie nową zasadą życiowego braterstwa; wytworzą się te realne podstawy, wyłonione z samej klasy pracującej, na których oprócz się będzie mogła nowa organizacja gospodarstwa społecznego. Z tych to ognisk życia tworzyć się będzie przyszłość, przyszłość tego świata, który ma człowieka wyzwolić przez braterstwo. Zapewne, że junkierskie ideały koszar społecznych, zbowanie ludzkości metodą jakobinów, wymarzone dyktatury parlamentów ludowych długo jeszcze uciemnić będą niewolnicze mózgi, zniekane dusze tych, którym życie nie pozwalało zobaczyć i umiłowić piękna wolności i mocy twórczej człowieka. Ale równie pewne, jest to, że "wiedza radosna" znajdzie także swoich apostołów i wyznawców, że obok polityki "upaństwowiania" stworzy swój świat młody i żywy - instytucji uzdrawiających życie i ludzi umięających je tworzyć.

Maria Grodecka

Krzywda zwierząt jako problem moralny

Fragment książki pt. "Siewcy dobrego jutra"

"Hodowla przemysłowa! - Najpierw wiloczone zostają w istnienie, wepchnięte w życie inseminacją lub inkubacją. I od tej chwili aż do końca trwają w przerażeniu i udrcę. Świat jest jednolitym koszmarem oblepiącym ciaśno ich strach i cierpienie. Nie ma kogo prosić, nie ma na co liczyć, opór jest bezsilny, ucieczka niemożliwa, śmierć nieunikniona, strach bez pociechy, rozpacz bez ukojenia,

męka bez zadośćuczynienia. Najwyższą, ostatnią instancją zwierzęcego Kosmosu reprezentuje Człowiek-Rzeźnik. Umierają w przekonaniu, że Bóg jest oprawcą. Z niebiańskich wyzn ludzkiego wspaniałego i niepojętego świata, zamiast oczekiwanego gestu opiekuńczej dłoni, spada na bezbronny kark - dźwignia gilotyny". (Lektury i pomyślenia - maszynopis) Maria Grodecka

Gehenna

Rzadko kto zdaje sobie sprawę, jakimi drogami trafia mięso na jego talerz albo mleko do szklanki. Niewielu zastanawia się nad tym, że ceną za ten pokarm jest śmierć i cierpienie zwierząt. W całym świecie każdego roku ginie w rzeźniach ponad 20 miliardów krów, cieląt, świń, drobiu i innych zwierząt. A każda ta śmierć jest poprzedzona osobną, indywidualną męką, strachem i bólem.

Wielu ludzi obecnie ucisza skryty niepokój i trwa w stanie samozadowolenia, żywiąc przekonanie, że zwierzęta są w rzeźniach zabijane "humanitarnie". W ten sposób uwalniają się od wszelkich etycznych zastrzeżeń wobec faktu jądania mięsa. Niestety, nie jest to zbyt bardziej odległe od rzeczywistych faktów życia i... śmierci.

Cale życie zwierząt przeznaczonych na pokarm i pozostających w hodowlanej niewoli jest nienaturalne. Począwszy od sztucznych narodzin, spowodowanych inseminacją, brutalnej kastracji i stymulacji hormonalnej, karmienia nieprawidłową dietą w celu szybszego utuczenia, aż do ostatniej długiej podróży w warunkach skrajnej niewygody, podróży zmierzającej do ostatecznego końca. Ciasna przegroda, paniczny strach i przerażenie, elektryczny cios, wszystko to stanowi część "najnowocześniejszego" systemu hodowli zwierząt, ich transportu i uboju. Aby akceptować to wszystko i sprzeciwić się jedynie nadmiernej brutalności ostatnich kilku sekund życia zwierzęcia, wystarczy używanie obłudnego słowa "humanitarny". Gdy przyjmujemy do wiadomości fakt "humanitarnego uboju" uznajemy, że wszystkie inne elementy cierpienia zwierzęcia mogłyby pozostać takie same, nie wywołując z naszej strony żadnego sprzeciwu. Rzadko zdajemy sobie sprawę, z tego w jaki sposób zwierzę, którego mięso jzdamy, zostało wyhodowane, przetransportowane i zabite. Bo nie zawsze i sam ubój jest dokonywany tymi nowoczesnymi "humanitarnymi metodami". (Facts of Vegetarianism).

Te fakty, najczęściej wstydliwie przemilczane lub ignorowane, docierają jednak ostatnio do coraz szerszych kręgów ludzi we wszystkich krajach na świecie. Dla wielu z nich jest to zupełnym zaskoczeniem, są zdumieni i przejęci grozą, nigdy dotąd nie myśleli, że ich codzienny pokarm, który uważali za taki zwykły i normalny, zostaje okupiony niekończącą się udrcę i przerażeniem czujących istot. Czasem nagle zrozumienie bezmiaru ich męki przychodzi jak olśnienie. Trudno pojąć, że do tej pory tolerowaliśmy ten koszmar tak łatwo i tak beztrząsko. Najczęściej ci, do których to dotarło, przestają od razu jeść mięso, aby chociaż osobiście wycofać się z zbiorowej ludzi za dającą się zwierzętom okrutną krzywdę. Liczna wegetarian na świecie potroiła się w ciągu ostatnich kilku lat i dalej wzrasta z roku na rok.

Innym nie wystarczy to, że sami nie jedzą mięsa, pragną i drugich zjednać dla tej sprawy, zarazić ich własnym współczuciem, przekonać. Wstępują do stowarzyszeń wegetariańskich lub sami organizują nowe stowarzyszenia,



BASIC WAGE

piszą artykuły na ten temat i książki. Wielkiego rozgłosu nabrała ostatnio w całym świecie książka Petera Singera pt. "Animal Liberation" (Wyzwolenie Zwierząt, 1975). Jej autor jest profesorem etyki w Melbourne. Drugą napisał wspólnie z amerykańskim dziennikarzem Jimem Mansonem, nosi ona tytuł "Animal Factories" (Fabryki Zwierząt, 1982) i jest wstrząsającą relacją sytuacji zwierząt hodowlanych w współczesnym systemie przemysłowym. Zanim zostaną dowiezione do rzeźni przeżywają gehennę okresu tuczu lub użytkowania mlecznego. Krowy całe życie spędzają w zamknięciu, umieszczone w ciasnych boksach, na podłodze z betonu lub perforowanej blachy. Nieodpowiednie podłoże powoduje, że chorują na zapalenie racic, co sprawia im niesychany ból i wiele z nich stoi wtedy przez całe dni na ugiętych kolanach. Boksy, w których przebywają, są tak ciasne, że gdy krowa kładzie się, żelazne prety wbijają się głęboko w jej ciało. Karmione treściwą paszą chorują na wątrobę, co jest jeszcze jedną przyczyną bólu. Hodowcy nie biorą w ogóle pod uwagę wszystkich tych uciążliwości i udręk, bo dopóki taka forma hodowli jest opłacalna, nie widzą powodu, aby dokonywać jakichkolwiek zmian. Angielska pisarka Brigid Brophy tak komentuje tę sytuację: "Wydaje nam się wprost niewiarygodne, że greccy filozofowie, którzy tak wnikliwie analizowali problemy dobra i zła, nie dostrzegali nigdy tego, jak niemoralnym systemem jest niewolnictwo. Może za następne trzy tysiące lat również niewiarygodne wyda się to, że do naszej wyobraźni nie dostrzegali moralny aspekt systemu ciemienia i udręki zwierząt".

Jeżeli czasem hodowcy decydują się na dokonanie poprawy warunków życia zwierząt, to tylko wtedy, gdy istnieje obawa, że nadmierna ich śmiertelność może spowodować finansowe straty. Nie dotyczy to jednak kurcząt, bo nawet najdrastyczniejsze niewygody nie skłaniają hodowców do jakichkolwiek zmian. Nieprawdopodobne stłoczenie w klatkach lub na podłodze wielkich hal powoduje śmiertelność dochodzącą do 20%. Obliczono jednak, że nawet jeszcze większa śmiertelność wypadła taniej niż stworzenie im dogodniejszych warunków życia.

Pod koniec dziesiątego tygodnia życia każde kurczę ma dla siebie nie więcej miejsca do stania niż kartka w notesie. Ulegają wtedy stresom, atakują się nawzajem, a nawet zjadają. Aby temu zapobiec, przycina się im dzioby rozpalonym ostrzem. Taka operacja nazywa się debeaking. Gdy są już gotowe do konsumpcji następuje transport do rzeźni. Zostają wrzucone ciasno do klatek, jedne na drugim i tak przebywają swoją ostatnią drogę w przerażeniu i udręce. W rzeźni zostają zawieszane za nogi na ruchomej taśmie. Taśma się przesuwa, a pracownik dokonujący egzekucji wsuwa każdemu kurczę do dzioba skalpel i przecina tętnice szyjne. Wisząc głową w dół umiera ono wskutek zadławienia się własną krwią.

Równie okrutna jest procedura transportu i uboju krow. Platformy do ich przewożenia są najczęściej przeladowane, zwierzęta jadą więc stłoczone, narazone na mróz lub upał, a ponadto bardzo brutalnie traktowane przez konwojentów. Przy gwałtownym ruszaniu lub hamowaniu ciężarówkę często padają i łamią nogi. Czasem spędzają w samochodach 2-3 dni, nie pojeone i bez jedzenia. Gdy oczekują w rzeźni na egzekucję przez całe nieraz godziny, trwają w przerażeniu, czując zapach krwi i słysząc głosy bólu tych, które poszły na śmierć przed nimi. Często płaczą. Ulegają licznym stresom, które w technicznym języku hodowlanym nazywają się "stresem samotności" występującym u cieląt oddzielonych od matek, lub "stresem transportowym". W stanie stresu obserwuje się wzmogłą akcję serca, zaburzenia czynności układu krążenia, układu oddechowego i pokarmowego. A już po kilku dniach oczekiwania na ubój w pobliżu miejsca egzekucji występują przypadki owróżdzenia żołądka, powiększenia wątroby i inne objawy chorób powstających na tle nerwowym.

Takie są fachowe diagnozy tego stanu zwierzęcia, który w kategoriach humanistycznych nazywa się po prostu cierpieniem.

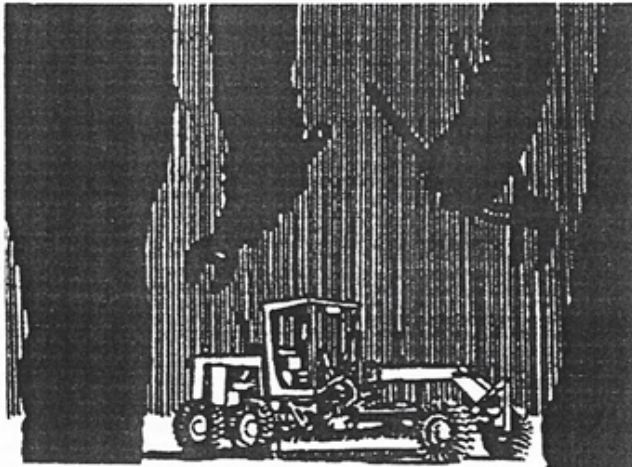
Swinie hodowlane trzymane są w przegrodach tak ciasnych, że nie mogą chodzić, ani nawet się obrócić. Jedną z fotografii w książce Singera przedstawia swinie leżącą w ciasnej klatce i przymocowaną za głowę łańcuchem do podłogi, aby nie mogła się poruszać, poruszając się bowiem traci na wadze

Koncząc swoje relacje Peter Singer pisze: "...Większość

ludzi woli nie dowiadywać się o tym, ja giną zwierzęta, które oni potem zjadają. Uważam jednak, że ci sami ludzie, którzy swoimi zakupami prowokują i wymuszają zabijanie zwierząt, nie mają prawa zasłaniać oczu na te wszystkie zjawiska, jakie towarzyszą produkcji kupowanego przez nich mięsa. Jeżeli człowiek wzdryga się nawet przed myśleniem o tym, czym to musi być dla zwierząt, które całą tę gehennę przeżywają".

Protest

W całym świecie działa coraz więcej stowarzyszeń, których celem jest obrona zwierząt i propagowanie diety roślinnej. Ukazują się liczne broszury i apele, mające zwrócić uwagę ludzi na te dramatyczne fakty. "Etyka wegetariańska protestuje nie tylko przeciwko samemu zabijaniu, ale również przeciwko przemysłowej hodowli, przeciwko poniżeniu zarówno ludzi, jak i zwierząt, przeciwko transportowaniu zwierząt i ich zabijaniu. Uznajemy za nasz moralny obowiązek aktywną działalność dla naprawienia tej sytuacji i to nie tylko przez doraźne



akcje, ale przez zniesienie całego bezlitosnego systemu zabijania zwierząt na pokarm dla ludzi" (Facts of Vegetarianism)

Szczególnie dynamiczny jest ten ruch protestu w Anglii, RFN i Stanach Zjednoczonych. W Anglii działa Towarzystwo Wegetariańskie (The Vegetarian Society) i ma swoją siedzibę Międzynarodowa Unia Wegetariańska (The Vegetarian International Union). Obie uprawiają działalność informacyjną i wydawniczą, a oprócz tego patronują powstawaniu nowych zakładów wytwórczych i usługowych ukierunkowanych na potrzeby klientów wegetarian w dziedzinie spożywczej, gastronomicznej, hotelarskiej, medycznej i innych.

Regulaminie ukazują się starannie opracowane broszury informujące o roli wegetarianizmu w różnych dziedzinach życia m.in. ekonomicznej, zdrowotnej i etycznej. Na okładce każdej z nich widnieje wydrukowana dewiza międzynarodowego wegetarianizmu, która brzmi: *Wegetarianizm to po prostu zdrowy rozsądek i współczucie* (Vegetarianism just common sense and compassion).

Równoległe z nimi działają towarzystwa opieki nad zwierzętami, znane również i w innych krajach, oraz towarzystwa walki z wiwisekcją. Jeden ze znanych arystokratów angielskich ufundował wysokie stypendium dla naukowców, którzy wyłączają ze swoich badań bolesne doświadczenia na zwierzętach, zastępując je metodami innymi, nie łączącymi się z cierpieniem i śmiercią zwierząt.

Te wszystkie próby przezwyciężenia dramatycznej sytuacji zwierząt współdziałają zgodnie z programem wegetariańskim, który postuluje całkowitą zmianę eksploatorskiego i brutalnego stosunku ludzi do zwierząt. Opiera się on na przekonaniu, że tylko suma indywidualnych decyzji o wyłączeniu mięsa z diety może skutecznie zablokować tryby tej gigantycznej maszyny śmierci i udręki, jaką jest współczesny system hodowli i produkcji mięsa.

Oprócz działalności zorganizowanej, coraz więcej pisarzy i humanistów zaczyna dostrzegać doniosłość i zasięg tego problemu. Ogłaszają artykuły i piszą książki. W 1980 roku polski Instytut Filozofii i Socjologii przygotował cały numer czasopisma "Etyka", w którym zostały

zamieszczone liczne teksty, polskie i tłumaczenia dotyczące moralnych aspektów stosunku ludzi do zwierząt; m.in. R.D. Ryder - Szowinizm gatunkowy, czyli etyka wiwisekcji, S.R.L. Clark - Zwierzęta i Ludzie, czyli granice moralności. A także recenzje książek o tej samej tematyce. Bibliografia współczesnych pozycji związanych z problematyką wegetariańską jest już bardzo bogata. Do tego ruchu coraz liczniej włączają się lekarze. W "Index medicus" hasło "wegetarianizm" ma już od lat swoje stałe miejsce.

Jeszcze pod koniec XIX wieku ukazały się w Anglii dwie cenne książki napisane w obronie zwierząt i zachęcające do wegetariańskiego odżywiania. Obie są teraz tłumaczone i wznawiane, ponieważ ich aktualność coraz bardziej wzrasta. Pierwsza pt. "Animal Rights" (Prawa Zwierząt), została w 1892r., a jej autorem jest Henry Salt. Peter Singertak ją ocenia: "Obróńcy zwierząt, włącznie ze mną, niewiele mogą dodać do tego, co napisał Salt w 1892 roku. Ale możemy pocieszyć się faktem, że nasi przeciwnicy nie mogą już wystąpić z żadnymi obiekcjami, z którymi Salt nie rozprawiliby się już przedtem". Druga, której autorem jest

Howard Williams, nosi tytuł "The Ethics of Diet" (Etyka Diety) i została wydana w 1883r., a więc jeszcze przed Saltem. Lew Tołstoj, na którym książka ta zrobiła ogromne wrażenie, przetłumaczył ją na język rosyjski, opatrując obszernym wstępem. Napisał w nim między innymi: "Strasznie jest nie tylko cierpienie i śmierć zwierząt, ale i to, że człowiek niepotrzebnie tłumy w sobie wyższe zdolności duchowe - uczucia życzliwości i współczucia dla innych żyjących istot, podobnych do niego samego - gwałcą własne uczucia, staje się okrutny".

Wśród współczesnych wegetarian można wymienić tak wielkich pisarzy jak Bernard Shaw, Albert Schweitzer, Annie Besant, Romain Rolland i wielu innych. Albert Schweitzer powiedział: "Dopóki ludzkość nie potrafi rozszerzyć swojego kręgu współczucia i włączyć w niego wszystkie żyjące istoty, nigdy sama nie znajdzie pokoju". Romain Rolland w książce "Jan Krzysztof" zamieścił płomienny protest przeciwko krzywdzie i niesprawiedliwości, jakie spotykają zwierzęta ze strony ludzi. "Dla człowieka niezależnie

myślącego, w cierpieniu zwierząt jest coś nawet trudniejszego do zaakceptowania niż w cierpieniu ludzi. Tu przynajmniej wiadomo, że cierpienie jest złem i że ten, kto je powoduje, jest przestępcą. Lecz codziennie zabija się niepotrzebnie tysiące zwierząt, nie mając nawet śladu wyrzutów sumienia. A przecież jest to niewybaczalna zbrodnia. Już ona sama jest usprawiedliwieniem wszystkich cierpień, jakie mogą być udziałem ludzi. Wola ona o pomstę na rodzaj ludzki... Jeżeli nie ma sprawiedliwości wobec słabszych i posłaniejszych, wobec biednych stworzeń, których zagładę przedkłada się nad humanitaryzm, to znaczy, że nie istnieje nic takiego jak dobro, nic takiego jak sprawiedliwość".

Postulaty etyczne i żywieniowe bardziej jeszcze radykalne niż wegetarianizm wysuwa weganizm, głosząc potrzebę eliminowania z diety nie tylko samego mięsa, ale również innych pokarmów pochodzenia zwierzęcego - jajek i mleka. Weganie uważają bowiem, że przemysłowe hodowle krow mlecznych i kur niosek powodują tak samo okrutne cierpienie i niewolę tych zwierząt, jak hodowle na rzeź.

A
gdy



MAXIMUM INCREMENT

krowy z hodowli tracą mleko, a kury przestają znosić jajka, są skazane na ten sam los co zwierzęta rzeźne. Od 1940 roku istnieje w Anglii Towarzystwo Wegańskie, które propaguje zasady żywienia wyłącznie roślinnego. Serena Coles, która jest prezesem tego stowarzyszenia pisze tak: *"Jesteśmy przekonani, że obecnie zostało już dostatecznie dowiedzione, że śmierć i cierpienie głęboko czujących istot, w celu dostarczenia człowiekowi pokarmu lub innych produktów, są całkowicie niepotrzebne. Odwrotnie, wiemy, że dalsza eksploatacja zwierząt wyrządza krzywdę nie tylko zwierzętom, ale i samym ludziom. Wiąże się bowiem z marnotrawieniem skąpych już zasobów potrzebnych pilnie do zaspokojenia głodu świata. Prowadzi do niszczenia środowiska i w ten sposób*

mystyfikacja, zbudowały cały system organizacyjny i administracyjny, miało swoje komórki urzędowe i placówki naukowo-badawcze, a wreszcie miejsce funkcjonowania samego przemysłu śmierci - obozy zagłady.

Wszystkie one zatrudniały urzędników, robotników, naukowców, którzy żyli w glorii dobrze spełnianego obowiązku. *"Zbrodnie, pisze Lem, jeżeli nie jest sporadycznym przekroczeniem norm, lecz regułą kształtującą życie i śmierć, wytwarza własną autonomię, własne określenia będące eufemizmem zbrodni, cały panteon wartości i celów, godnych stosowania wszelkich środków do ich osiągnięcia. Miało swoją nadbudowę administracyjną i naukową, swoje >szacowne urzędy, sądy, kodeksy, gmachy... rzesze pracowitych biuralistów, żelazny sztab generalny<"*

Każda forma lokaty śmierci w kulturze powołuje się na wartości będące fundamentalnymi założeniami istniejących systemów, dąży do zachowania pozorów zgodności z nimi, zostaje w te systemy możliwie ciasno wkomponowana. Przydaje sobie uzasadnienia, czerpiące z repertuaru nazw najwyższej aktualnie cenionych, sięga nawet do panteonu tych o największej randze i znaczeniu. Czyni to w taki sposób, aby do upragnione zabijanie zalegalizować i uświęcić, podnieść do rangi obowiązku, zasługi, a nawet bohaterstwa. Tak, aby ewentualne próby jego zakwestionowania można było usytuować wśród wykrecozeń przeciwko porządkowi społecznemu

lub przeciwko prawowitej władzy. Zdyskwalifikować jako ataki na społecznie usankcjonowane, nienaruszalne wzory oceniania i podstawowe struktury życia. W takim zwartym systemie aksjologii nie ma szpar, ani pęknięć, którymi mógłby przeniknąć protest albo apel do rozumu, serca, litości, odwołanie się do rozsądku czy współczucia. *"Zadne perswazje i apele, żadne błagania, żadne powoływania się na ludzką solidarność, czy na jakiegokolwiek okoliczności łagodzące, żadne prośby o miłosierdzie, żadne dowody bezsensu czy wręcz praktycznej bezskuteczności mordu, żadne argumenty nie zbiją oprawców z tropu, ponieważ dysponują maszynką pseudouzasadnień..."* Każdy taki apel obraca się przeciwko apelowi, jako dowód jego obrazoburczych napaści na świętości systemu.

Lemowski Horst Aspencius traktuje hitlerowskie ludobójstwo jako ostatni, kulminacyjny akord historii ludobójstwa w dziejach obszaru śródziemnomorskiego, od rzymskich wypraw zdobywczych i lupieżczych, poprzez średniowieczne sądy inkwizycyjne, aż do współczesnego terroryzmu. Terroryzm jest według autora prostą kontynuacją hitlerysty - *"dokonuje mordów w masce obowiązków, wyrzeczeń i sprawiedliwego gniewu"* Oprócz tych omawianych przez Lema lokat śmierci w kulturze można by wymienić jeszcze inne, jakkolwiek nie wszystkie z nich były realizowane na tak rozległą skalę jak tamte. Można by do nich zaliczyć walki rzymskich gladiatorów, hiszpańską corridę, wyprawy krzyżackie i przed trzy wieki trwające palenie na stosach kobiet podejrzanych o uprawianie czarów. Każda taka lokata zachowuje pozory zgodności z akceptowanym powszechnie systemem wartości i zostaje w ten system ściśle wkomponowana.

Po stwierdzeniu, że ludobójstwo dotarło w hitlerysty do swojej "logicznej końcówki", kończąc się zbiorowym "obłędem suicydalnym", autor zadaje pytanie: *"Cóż więcej pozostaje ludzkości na terenie tych ponurych robót? Jakie jeszcze wymyśli sobie zabawy ze śmiercią raz zafekcją, a raz podniecającą krwawym strip-teas'em?"* Zwążywszy na istnienie i sposób funkcjonowania współczesnych fabrycznych hodowli zwierząt, można by od razu odpowiedzieć na to pytanie: Ta "nowa zabawa" już została wymyślona. Kolejną lokatą śmierci w kulturze jest zwierzbójstwo.

We współczesnym systemie produkcji żywności ma swoje poczesne miejsce ja również uporządkowaną wewnętrzną strukturę organizacyjną. Ma także swoją nadbudowę naukową i administracyjną. Ma też swoje miejsce funkcjonowania samego przemysłu śmierci, są

nimi fermy hodowlane i rzeźnie. A nade wszystko jest z niezawodną precyzją wkomponowane w system najwyższej cenionych aktualnie wartości. Wśród nich królują: ludzkie zdrowie i dobrobyt, dotychczasowe osiągnięcia i dalsze postępy nauki oraz jej autorytarne opinie, a ponadto codzienny znoyny trud człowieka pracy. W tej formie lokaty śmierci jaką jest zwierzbójstwo, wszystkie te wartości, jako idole naszych czasów, zostały zaangażowane i wykorzystane. Nowoczesne zdobycze nauki potwierdzają autorytarnie potrzebe jądania mięsa dla zachowania zdrowia. Obfitość mięsa i wędlin w sklepach czy na stołach jest oczywistym dowodem dobrobytu kraju i każdej rodziny. A wszyscy pracownicy zatrudnieni w placówkach obsługujących przemysł śmierci - administracyjnych, naukowych i przemysłowych - trudzą się pracowie nad obsługą swoich codziennych obowiązków. Otrzymują za to zasłużone wynagrodzenie. Ich pracowitość, wydajność, pomysłowość są cenione i premiowane tak samo wysoko, jak zalety innych profesjonalistów. Administratorzy, uczeni, pracownicy traktują to co robią "jako prawo, jako święty obowiązek, ofiarny mozoł i tytuł do chwały". To przemianowanie nie tylko sankcjonuje, ale nawet uszlachetnia każde poczynanie, którego realnym efektem jest zwiększenie liczby zwierzęcych agonii. Ale *"wobec zbrodni uprzemysłowionej całkowicie bezradne stają się tradycyjne kategorie winy i kary..."*

System zwierzbójstwa posługuje się bardzo sprawnie uzasadnieniami z repertuaru nauki: za jądaniem mięsa przemawiają naukowe względy żywieniowe i zdrowotne, a za używaniem zwierząt do okrutnych zabójstw przemawiają względy poznawcze. Wtąkiej ideologicznej fortecy cały proceder zwierzbójstwa może funkcjonować nie tylko bezkarnie, ale nawet w blasku świętości.

Żadna lokata śmierci w kulturze nie odbywa się bez klimatu społecznego uznania i akceptacji. Hitlera podtrzymywało żarliwe "Heil" ogromnej większości niemieckiego społeczeństwa. Stosy czarownic płonęły tylko dzięki asyście zgromadzonego dokoła zacietrzewionego tłumu. Walki gladiatorów na arenie rzymskiego Koloseum mogły się odbywać tylko przy aplauzie bijącej brawo widowni i zachwytach rzymskich dam, wieńczących zwycięzce kwiatami. Tę rolę asysty i przychylnie widowni spełniają obecnie nabywcy mięsa i jego konsumenci.

Nad światem współczesnym zaciążył przemysł cierpienia i śmierci milionów zwierząt. Przemysł ten funkcjonuje systematycznie, planowo, naukowo, starannie i nowoczesnie. Wykonywany jest przez wykwalifikowanych, cenionych i dobrze zarabiających fachowców. Nie oni jednak, nie ci "trudniący się ofiarnie" odgrywają w tym przemyśle decydującą rolę. Jego siłą napędową i podstawową inspiracją są oczekiwania konsumentów. To właśnie presja popytu podtrzymuje strukturę uprzemysłowionego zwierzbójstwa. To na skutek nieustannego, nieustępliwego nacisku rzeszeń nabywców, mięsa działa ona co dzień od nowa, w dostojności prawa i moralności i przy pełnej akceptacji wszystkich, którzy w nim uczestniczą jako producenci, konsumenci i apologety.

Istnienie przemysłu hodowlanego, podobnie jak innych, wcześniejszych form lokaty śmierci w kulturze, wspierają największe potęgi i autorytety świata: prawo, ekonomia, przemysł, religia i nauka. Zwierzbójstwo dokonuje się zgodnie z istniejącymi ustawami i przepisami, z ukształtowanym sumieniem i z osiągniętą wiedzą naukową. Aktorzy codziennego spektaklu: transportu, uboju, preparowania i dystrybucji, mogą go jednak realizować tylko dzięki oklaskom zachwyconej widowni. Tak samo jak stosy dla czarownic mogły płonąć tylko w asyście wyjących uczestników egzekucji, tak samo teraz egzekucje w rzeźniach i naukowych laboratoriach mogą się odbywać jedynie w klimacie społecznej przychylności dla "empirycznych badań naukowych" i dla "obfitości produkowanego mięsa".

Hitlerysty skompromitował ludobójstwo na dłuższy czas, zdemaskował jego pseudouzasadnienia i ujawnił mechanizm ich konstruowania. Obozy śmierci dla ludzi czy też wezwania do nowej krucjaty wojennej nie miałyby szans uzyskania powszechnej akceptacji i możliwości wkomponowania się bez oporu w jakiegokolwiek system autentycznych wartości. Zbyt silnie kojarzyły się z hitlerysty. Nowa forma lokaty śmierci w kulturze musiała odbiegać całkowicie od zdeprecjonowanych wzorców. Nie mogła już dotyczyć żadnej kategorii ludzi, ani w czymkolwiek przypominać obozów ich zagłady.

To Love and Respect



Should be the only rule

zagroza całemu życiu. A przede wszystkim podcina korzenie wiary w Miłość, Sprawiedliwość i Miłosierdzie, wiary, która stanowi sedno wszystkich religii, filozofii i dążeń humanitarnych".

Zwierzbójstwo

Mozna by się zapytać, jak to się dzieje, że współczesna kultura tak łatwo toleruje koszar przemysłowych hodowli, że pogodnie i ulegle znosi ten balast niewiarygodnego barbarzyństwa? Jak to się dzieje, że rozległe budynki rzeźni i fabryk hodowlanych istnieją w tych samych miastach, gdzie są również sale koncertowe, muzea i galerie sztuki, biblioteki, kościoły i uczelnie? Dlaczego to sąsiedztwo nie brzmi w ludzkich uszach zgrzytliwym dysonansem

Aby podjąć próbę odpowiedzi na to pytanie, spróbujmy przyjąć hipotetyczne pojęcie "lokaty śmierci w kulturze", które sformułował Stanisław Lem w wydanej niedawo książce pt. "Prowokacja". Pojęcie to posłużyło mu do wytłumaczenia zjawiska hitlerowskiego ludobójstwa, które tak łatwo, z zadziwiającą tolerancją było przez kilkanaście lat akceptowane, a nawet afirmowane przez niemieckie społeczeństwo. Akcent lemowskiej fantastyki ogranicza się tu do samej formy książki, będącej recenzją nieistniejącego dzieła pt. "Der Volker-mord" (ludobójstwo). Wyimaginowanym autorem tego wyimaginowanego dzieła jest Niemiec, Horst Aspencius. Rzecz dotyczy historii ludobójstwa ilustrowanego głównie ludobójstwem hitlerowskim. Jednak jego analiza nie jest ostatecznym ukierunkowaniem zainteresowań autora. Ma mu jedynie posłużyć jako przesłanka i dowód prowokacyjnej tezy, że człowiek jest z natury istotą czerpiącą głębokie satysfakcje z dokonywania mordów i że jego historia jest wyrazem nieustannego poszukiwania pretekstów do tego aby je popełniać. Jako taki pretekst służą najczęściej uzyskiwane z niego korzyści. W istocie są one jednak tylko formą racjonalizowania i sankcjonowania dokonywanych gwałtów. Chodzi bowiem o nadanie im pozorów celowości i nadanie rangi środków, mających rzekomo służyć wyższemu, sprawiedliwym celom. Ani wyprawom kolonizacyjnym, ani poborom afrykańskiego niewolnika, ani wcześniej wyzwalaniu Ziemi Świętej, czy rozbićciu państwa Indian południowoamerykańskim nie patronowała wprost intencja ludobójstwa, jako że szło o siłę roboczą, o nawracanie pogan, o zabór ziem zamorskich. I rzezie aborygenów oznaczały pokonywanie przeszkód na drodze do celu. W rzeczywistości jednak wszystkie one były właśnie formami "lokaty śmierci w kulturze".

Ludobójstwo hitlerowskie, jako kolejna historyczna

Jako kolejna jej forma, nie obciążona negatywnymi wspomnieniami, nadawała się więc znakomicie przemysłowa hodowla zwierząt. Obozy zagłady dla zwierząt stały się po roku 1950 najbardziej dogodną i możliwą do zaakceptowania nową formą lokaty śmierci w kulturze. Nie nasuwały analogii do tego, co już zostało skompromitowane w przeszłości, a ceny i atrakcyjność przydawał im jeszcze fakt, że były takie nowoczesne i zmechanizowane. Przybrały więc kostium zacnego mozołu i zbożnego trudu dla dostarczania ludziom żywności, a nauczanie danych empirycznych. Idealna mistyfikacja, doskonała maska prawie nie do zdarcia.

Snując te gorzkie rozważania, obracamy się wciąż w konwencji prowokacyjnej, hipotetycznej tezy Lema. Poruszając się na tym grząskim gruncie, nie sposób otrząsnąć się całkowicie z przynębiającego wrażenia, że przykłady historii dawnej i najnowszej w dramatyczny sposób zdają się ją potwierdzać. Dla sprytnego vegetarianizmu teza ta ma jednak przede wszystkim wartość heurystyczną: w tej właśnie konwencji cała groza zjawiska zwierzoobojstwa może zostać przedstawiona w formie równie dramatycznej jak samo to zjawisko. Bez względu na to, czy tezę Lema uznamy za trafną, czy chybioną i czy zwierzoobojstwo potraktujemy jako nową formę lokaty śmierci czy nie. Pozostając jednak nadal w obszarze tej konwencji, pytamy: czy człowiek ma szansę aby wybronić się od strasznego oskarżenia o niestanne poszukiwanie pretekstów do popełniania morderstw? Czy to uporczywe znajdowanie w kulturze coraz nowych kanałów dla bezkarnego zabijania i wciąż ponawiane dorabianie do tego afirmujących i racjonalizujących uzasadnień jest przejawem ludzkiej natury czy też wynaturzenia? - Ponieważ oczywiście nie sposób udzielić na to pytanie rozstrzygającej odpowiedzi, można tylko postulować: cokolwiek ono jest musi zostać świadomie przewyżczone! Jeżeli jest rzeczą nie do zaakceptowania natury, to należy życzyć sobie tak radykalnej przemiany tej natury i dążyć do tak głębokiego wewnętrznego przeobrażenia osobowości, aby osiągnęło ono wymiar mutacji całego gatunku. Jeżeli natomiast oskarżenie jest zbyt surowe i fałszywe, to wystarczy może tylko zderzyć z siebie kostium oprawcy, ujawnić wrażliwość i dobroć i dotrzeć do prawdziwej ludzkiej natury człowieka.

Współczucie

W całej dotychczasowej historii vegetarianizmu, we wszystkich jego nurtach i odmianach, znaczenie decydujące i ostateczne miały motywy, które trudno było nazwać ściśle etycznymi. Każda decyzja o nie jądaniu mięsa, na zawsze lub tylko przez pewien okres, była podejmowana nie ze względu na dobro zwierzęcia a tylko ze względu na jakieś dobro człowieka. Były to więc motywy w zasadzie egoistyczne, ukierunkowane ku realizacji celów i aspiracji ludzkich. Intencja, aby ocalić życie zwierzęcia, oszczędzić mu strachu i bólu, aby go nie skrzywdzić, pojawia się tylko sporadycznie i tylko jako wynik indywidualnego odczucia, a nie zasady. Posty religijne były zawsze formą pokuty i zmierzaly do oczyszczenia z win poszcząającego, natomiast fakt, że wpływało to pośrednio na ocalenie życia zwierzęcia, nie był w ogóle brany pod uwagę. Dopóki panowało przekonanie, że zasługa i warunkiem nagrody po śmierci jest składanie krwawych ofiar, składano je bez żadnych oporów, aby tylko tę nagrodę uzyskać. Wskazań wegetariańskich zaczęto przestrzegać dopiero wtedy, gdy zapanowało przekonanie, że zabijanie zwierząt nie jest zasługą, lecz właśnie winą i pociąga za sobą karę dla zabójcy. W wielu kulturach zabronione jest jądanie niektórych gatunków mięsa, ponieważ są uznawane za "nieczyste", co oznacza, że plamią tego, kto je zjada.

O szczegółowych zaleceniach dotyczących spożywania mięsa mogły zawsze orzekać tylko autorytety przewodników duchowych kapłanów i mędrców. Dlatego zapewne dotychczasowe nurty tradycji wegetariańskiej były zawsze związane z religią lub filozofią. Przestrzeganie określonej diety, mięsnej lub bezmięsnej, wynikało z prostego podporządkowania się normom, stosowania do przepisów i zaleceń. Zalecenia te odwoływały się z reguły do dążeń i pragnień osobistych, zawsze coś w zamian obiecywały lub przed czymś ostrzegały. Na przykład obiecywały nagrodę po śmierci, oczyszczenie win, udoskonalenie umysłowe lub moralne, opanowanie namiętności, rozwój wyższych władz duchowych, zabezpieczenie od ujemnych wpływów niskich wibracji mięsa itd.

Współczesny wegetarianizm zachodni jest zjawiskiem zupełnie odmiennym, nigdy dotąd na szerszą skalę niespotykanym. Punkt ciężkości zostaje w nim przeniesiony z perfekcjonistycznych i eschatologicznych korzyści człowieka na sprawę losu zwierzęcia, które ma zostać zabite. W odróżnieniu od poprzednio funkcjonujących, egoistycznych motywacji, współczesny wegetarianizm jest bezpośrednią uczuciową reakcją na uświadomienie sobie gehenny zwierząt hodowlanych oraz praktycznym wnioskiem wysnutym z tego uświadomienia i uczucia. Najistotniejszym jego motywem i inspiracją jest współczucie dla zwierząt żyjących w nieskończonej udręce, pozbawionych jakichkolwiek nadziei. Współczucie to narzuca się razem z wrażeniem współodpowiedzialności za tę niezawinioną krzywdę, o której nawet myśleć jest trudno, a która jest codziennym udziałem milionów czujących istot. Poczucie budzące się zgrozę pogłębia zrozumienie, że sprawcami tej krzywdy są ludzie, czyli my! I wtedy do wyboru diety wegetariańskiej skłania nieodparta potrzeba wycofania się z uczestnictwa w tym systemie uprzemysłowionej śmierci, odmowa dalszego w tym udziału.

Współczucie jako motyw bardzo osobisty, wyzwala decyzje niezależne od tego, co nakazane lub zabronione. Będąc bezpośrednim wewnętrznym impulsem, samo kieruje się ku temu, co uzna za sprawiedliwe, dobre i słuszne. Dlatego współczesny wegetarianizm jest ruchem niezależnym, nie wynika z podporządkowania się zewnętrznym zaleceniom czy normom w zamian za uzyskanie dla siebie korzyści. Rodzi się i rozrasta jako suma osobistych, indywidualnych decyzji i samodzielnego wyboru. Obywa się bez autoritarnych wskazań, jest bezpośrednim, kategoriowym imperatywem serca, wrażliwości i wyobraźni.

Przykładem tego nagłego obudzenia się i współczucia, które przeobraża całego człowieka, jego świadomość i sposób życia, jest historia Ewy Batt. Opisuje ona wydarzenie, które wyzwoliło jej własną decyzję i miało głęboki wpływ na jej dalszy umysłowy i duchowy rozwój. Pewnego dnia czekała z mężem na pociąg na małej stacyjce, używanej głównie przez miejscowych farmerów do transportu bydła. Na jednym końcu peronu stało przywiązanych kilka krów, a na drugim grupa cieląt. Niektóre z nich były jeszcze takie młode, że z trudem utrzymywały się na swoich długich nogach. Krowy niestannie spoglądały w stronę cieląt, zachowywały się bardzo niespokojnie, ryczały głośno, a od strony cieląt odpowiadało im ciche, wuszające pobekiwanie. Eva zatrzymała jednego z konwojentów, pytając: *- Dlaczego ich pan nie połączy, te zwierzęta są strasznie zgnębione rozłąką.*

- Dlatego proszę pani - odpowiedział żartobliwie - że krowy jadą teraz na targ, aby pani mogła mieć swoje mleko do herbaty, a cielęta zostaną zabrane do rzeźni.

- Dlaczego do rzeźni?
Mężczyzna cierpliwie próbował to wytłumaczyć nieświadomionej mieszczance: *- Proszę zrozumieć, gdyby te biedne krowy nie miały dzieci, pani nie dostalaby przecież swojego mleka, a nie można trzymać zbyt wielu cieląt. Dlatego właśnie ta reszta zostaje zabita na cielecine, aby pani mogła mieć swój sznycel na obiad.*

"Byłam wstrząśnięta - pisze Eva - nie uświadomiłam sobie, że również i mleko jest przyczyną okrucieństwa i uboju. Sądziłam zawsze, że krowy pasą się spokojnie na zielonych łąkach, a dobry gospodarz ujmując nadmiar mleka z wymion przynosi im ulgę.

Staliśmy tak blisko krów, zwróceni do nich plecami. W pewnej chwili odwróciłam się, bo poczułam, że jedna z nich położyła swój wilgotny pysk na moim ramieniu. Nie wydała żadnego odgłosu, tylko jej rojące się od much oczy spojrzały prosto w moje oczy. I wierzyć mi, ja sobie tego nie wyobraziłam, stanęłam twarzą w twarz z milczącym błaganem. To spojrzenie było zupełnie nie podobne do spokojnego wzroku krów, które widuję się na pastwiskach. W oczach tej krowy był popłoch i rozpacz. Ona błagała mnie aby oddać jej cielaka. To cierpienie w niczym nie różniło się od cierpienia ludzkiego. Ta niewysłuchana prośba została przy mnie na zawsze i na zawsze mnie zobowiązała. Ignorując potem rady i przestrogi trwałam przy swoim postanowieniu, aby nigdy więcej żadnej krowie z mojego powodu nie odebrano cielaka" (The Vegan Way..., 1981)

Eva Batt podobnie jak wielu innych wegetarian i wegan, została porażona współczuciem, ośniona zrozumieniem dziającej się zwierzętom straszliwej

krzywdy. Ten ogromny ładunek emocjonalnego napięcia, który kieruje się jedynie i bezpośrednio do przedmiotu litosci i żalu, jest we współczesnym wegetarianizmie czymś zupełnie nowym i świadczy o gwałtownym rozszerzeniu się ludzkiej moralnej wyobraźni, świadczy też o głębokiej przemianie sposobu doznawania i oceniania, o przełomowym przeobrażeniu reakcji i postaw. To współczucie, jako doznanie nieuwarunkowane żadnymi osobistymi względami czy rachubami, a dotyczące jedynie cierpiącego i krzywdzonego stworzenia, można uznać za widomy objaw awansu ludzkiej świadomości, za przekroczenie wysokiego ewolucyjnego progu.

Współczesny wegetariański styl życia i myślenia i cała jego moralna orientacja wyrasta z głębi ludzkich przekonań, z subiektywnych sposobów oceniania i bezpośrednich, indywidualnych doświadczeń. Nie znajdując oparcia w tradycji własnej kultury moralnej, religijnej i filozoficznej, musi szukać go i odkrywać zupełnie od nowa. Aby jednak okrzepnąć i zjednać sobie szersze zrozumienie i akceptację, musi przebić się przez opór własnej tradycji obyczajowej, przewyżczać wiele nawyków, stereotypów myślenia i oceniania, przekonań i dogmatów. W przeszłości nie ma się na co powoływać, odwrotnie trzeba wciąż myśleć, oceniać i działać wbrew zakorzenionym przyzwyczajeniom, wbrew utartym opiniom, wbrew ustaleniom autorytetów medycyny, etyki, religii i filozofii. A tym wszystkim potęgą można przeciwstawić tylko własną wrażliwość i wyobraźnię.

Z czasem to ośnienie zrozumieniem i odczuciem gehenny zwierząt otwiera dostęp do dalszych, nowych obserwacji, również i w innych dziedzinach życia. Patrząc przez pryzmat współczucia zauważa się różne, nieuwzględnione dotychczas aspekty sytuacji kulturalnej, ekonomicznej i moralnej współczesnego świata - aspekty niedostrzegane w oglądzie bezlitosnym. Lecz gdy się wreszcie zobaczy, wtedy w całym obrazie życia dokonuje się znacząca przemiana proporcji spraw. Percepcja współczująca powoduje głębokie przeobrażenie w gradacji dążeń i osiągnięć, przemieszcza wartości z dotychczasowych hierarchicznych szczebli przydaje ceny jednym, a odbiera ją innym.

Obraz świata jakim go ludzie "teraz i tutaj" widzą, przyniata swoim twardym, pragmatycznym realizmem. Ale szparką w tej nieustępliwiej jednoznaczności, luką przez którą można dojrzeć zupełnie inną jego postać - jest współczucie. Patrząc przez nią człowiek też odkrywa na nowo samego siebie.

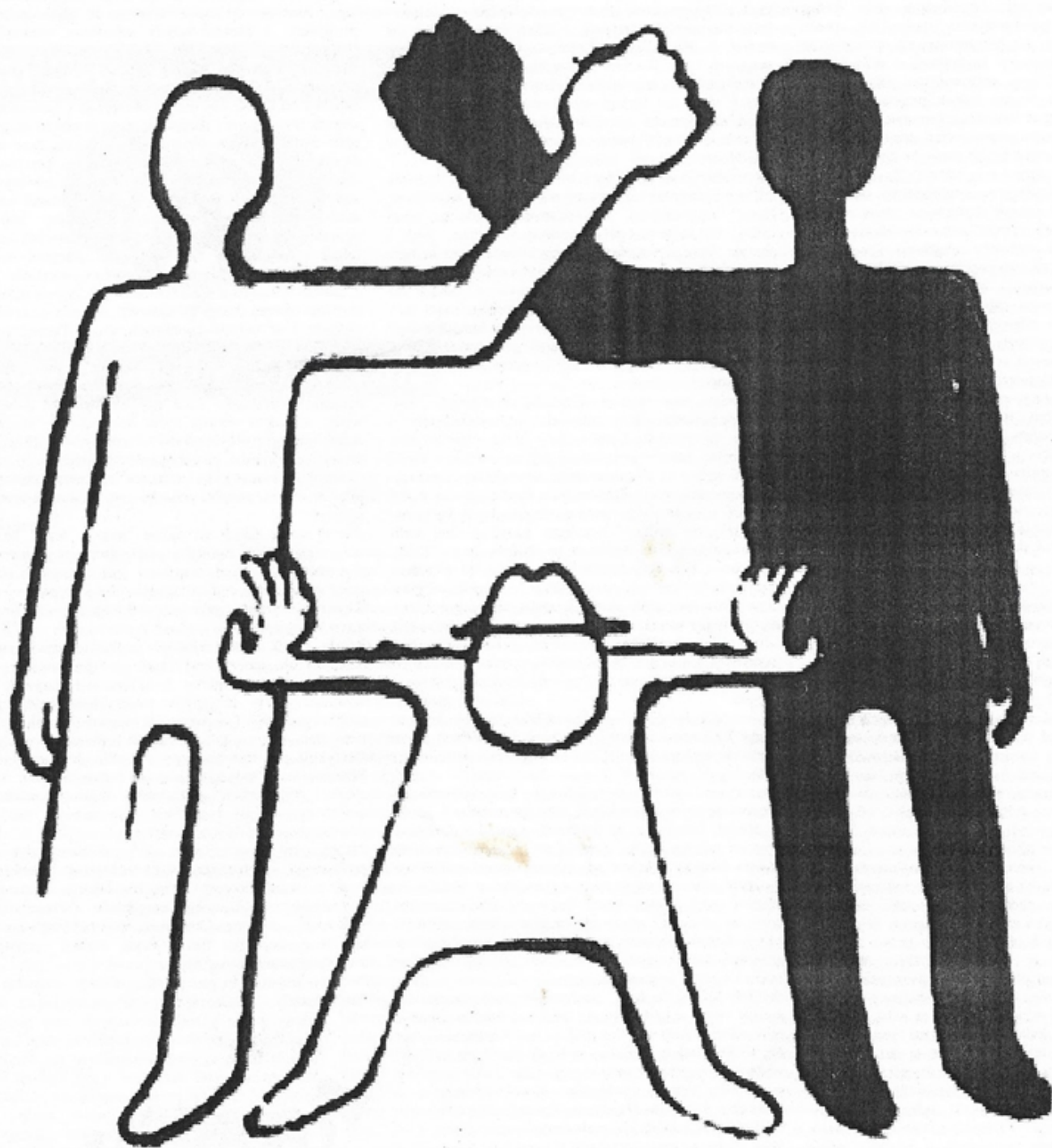
Zanim jednak nastąpi ośnienie zrozumieniem krzywdy dziającej się innym, wynikające z tego wnioski nie przychodzą nawet do głowy. A nie sposób je przekazać ani wytłumaczyć w przyjętych powszechnie kategoriach pragmatycznych. Tak samo jak nie można głuchemu przekazać "na migi" dźwięków słyszanej muzyki. Gestykulację tłumaczącego potraktuje ona jako bezsensowną i szaloną, i dalej nie będzie wiedział o co chodzi. Współczucie jest jakby szóstym zmysłem, umożliwia widzenie wszystkich spraw w nowy sposób - przydaje światu dodatkowy wymiar.

Współczesny wegetarianizm, kierując się trudną do przekazania, współczującą wizją losu zwierząt, przebija się wciąż przez mur oporów i zastrzeżeń. Dlatego prześcignął w żarliwości i konsekwencji dawne nurty tradycji antycznej i orientalnej. Lansuje zupełnie nowy styl życia i myślenia, oparty na jednym tylko prostym bezdogmatycznym stwierdzeniu:

"Wegetarianizm to po prostu zdrowy rozsądek i współczucie"



WORKERS



TOGETHER